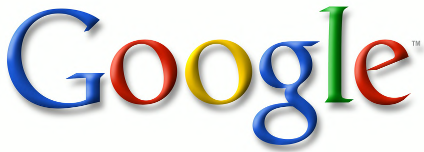



Historya literatury polskiej
Piotr Chmielowski
W.p.
Digitized by Google



YCH

wą:

rs. 12
„ 6
„ 3

Wszyscy prenumeratorzy otrzymują Literaturę P. Chmielowskiego w miejsce zwyczajnego tomu, bez żadnej dopłaty.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.



Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47

Dla prenumeratorów

BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH.

HISTORYA

Literatury Polskiej



Piotra Chmielowskiego

z przedmową

Bronisława Chlebowskiego.

(Z ilustracyami).

TOM VI.

Cena 2 rs.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA.
Redakcya i Administracya
47. Nowy-Świat 47.
1900.

HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ.

Piotr Chmielowski.

HISTORYA
Literatury Polskiej.

Z przedmową

Bronisława Chlebowskiego.

(Z ILUSTRACYAMI).

Tom VI.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава 19 Сентября 1900 года.

o

OKRES IV.

(1851 do 1864).

Przekwitanie romantyzmu.

---

1. Po stłumieniu ruchów rewolucyjnych roku 1848 i 1849 zapanowała w całej kontynentalnej Europie ciężka reakcya religijno-polityczna, nawołująca do powrotu ku ideałom dawno już pogrzebanym. Wpływ jej odbił się oczywiście i na naszych stosunkach w sposób nader wyraźny. Filozofię niezależną, myśl swobodną, badania krytyczne zagadnień wszelkich obwołano za wrogów porządku społecznego, groźnych ołtarzom i tronom. Wiara korna, bez rozbioru, stała się hasłem umysłowem i politycznem.

Dużo dzieł teologicznych znacznego rozmiaru, a pisanych przystępnie, znajdowało teraz chętnych tłomaczy, co się tej pracy jako obowiązku obywatelskiego podejmowali. „Zasady i całość wiary katolickiej“ (8 tom., 1852—55, drugie wyd. 1857) księdza Gaume, oraz inne jego książki; „Wykład historyczny, dogmatyczny, moralny, liturgiczny i kanoniczny wiary katolickiej” (4 tomy, 1857, drugie wyd. 1863—4) i „Katecheta na kazalnicy“ (3 tomy 1859—60) księdza Guillois; — „Zasady wiary katolickiej, przykładami historycznemi objaśnione“ (3 tomy, 1855) księdza

Schmidta;— „Historya powszechna kościoła“ (1855, dwa odrębne przekłady: jeden w 4, drugi w 3 tom.) księdza Alzoga;—„Historya powszechna“ Cezara Cantu, w duchu ściśle katolickim skreślona (11 tomów, 1853—1857): oto główniejsze objawy silnego zwrotu religijnego w dziedzinie tłomaczeń.

Oryginalni nasi pisarze nie zdobywali się na tak rozległe utwory; ale w tym samym duchu pisali i wydawali pomniejsze rozprawy lub dzieła. *Aleksander Tyszyński* rozpoczyna r. 1850 w „Bibliotece Warszawskiej“ szereg artykułów p. t. „Początki filozofii krajowej“, oceniając ze stanowiska katolickiego wszystkich naszych autorów, piszących o „królowej nauk“; artykuły te wypełniły następnie cały pierwszy tom „Rozbiorów i krytyk“ (1854). Ksiądz *Waleryan Serwatowski* (1810 † 1891) prócz wielkiej liczby „wykładów“ różnych części Pisma ś. i innych dziełek pobożnych, ogłasza „Pierworys systematu filozofii ze stanowiska chrześciańskiego pojętej“ (1852); *Maksymilian Jakubowicz* (1785 † 1853) ciężkim i zawiłym stylem walczy z poglądami poprzedniego okresu w dziele trzytomowem p. t. „Chrześciańska filozofia życia w porównaniu z filozofią naszego wieku panteistyczną“ (1853); *Eleonora Ziemięcka*, znana już nam redaktorka „Pielgrzyma“, po kilkoletniem milczeniu znowu głos zabrała, wydając „Zarysy filozofii katolickiej“ (1857) i „Studya“ (1860) i zyskała sobie większe niż dawniej uznanie. Wreszcie pośmiertne dzieło *Józefa Gołuchowskiego* (1797 † 1858): „Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka“ (2 duże tomy, 1861) stanowi jakby uwieńczenie zwrotu religijnego przez nawróconego filozofa, który będąc niegdyś gorącym zwolennikiem systematu Schellinga, teraz wszystkie wątpliwości swoje poddał pod rozstrzygnięcie kościoła, a w katechizmie widział najlepsze ich rozwiązanie.

Tak też robili i inni, co filozofii zgoła nie studyowali; we wszystkich rozumowaniach i poglądach

powoływano się na objawienie; poezya, historya, nauki przyrodnicze nawet musiały się zabarwiać jaskrawo odcieniem teologicznym. Były przykłady, że ciż sami, co przed r. 1850 śmiało występowali przeciw uroszczeniom hierarchii, teraz korzyli się (jak np. *Antoni Marcinkowski*, dawniejszy *Albert Gryf)* potulnie przed cenzurą duchowną, poddając pod jej wyrok wszystkie swoje myśli i uczucia. Zapewne, w niektórych osobistościach to „nawrócenie" było przynajmniej szczere, ale wielu i bardzo wielu „napełniało wóz Chrystusem"—że użyję wyrazów Słowackiego—tylko dla przypodobania się kierunkowi, idącemu z góry, dla karyery i zysku. Obłuda, ta najobrzydliwsza zaraza ducha, zaczęła się szerzyć wśród inteligencyi. I czyż inaczej być mogło, jeśli z ust tak rozumnego skądinąd człowieka, jak ks. *Ignacy Hołowiński*, słyszano sofistyczny rozkaz, by w księdzu czczono jego godność kapłańską, bez względu na to, czy on jest dobry, czy zły, czy postępkami swemi sieje zgorszenie, czy też krzewi moralność. W „Liście pasterskim" z r. 1852 (na str. 28) metropolita wszech rzymsko katolickich kościołów w cesarstwie mówił do wiernych, potępiając „buntowniczą mądrość ludzką" i piętnując wszelkie nieposłuszeństwo jako grzeszny „racyonalizm": „Jeśli kapłan jest zły i dający zgorszenie, wcale nie dlatego można nim poniewierać... Cóż to bowiem za wielka rzecz szanować osobę godną poszanowania! to i poganie czynili i czynią; ale w złym szanować posłannictwo boskie, święty Sakrament kapłaństwa, jest dowodem prawdziwej wiary, do której się nie miesza nic ludzkiego i ziemskiego; jest źródłem łaski i błogosławieństw bożych." Tak to przewrotnie zużytkowano zalecenie Chrystusa o „kochaniu" złych, nakazując nam, byśmy ich szanowali. Oczywiście, że bez obłudy zrobić tego niepodobna.

A cóż się działo z wybitnymi przedstawicielami filozofii niezależnej poprzedniego okresu? *Kremer*

i *Libelt,* unikając kwestyj drażliwych, zwrócili się przeważnie do zagadnień estetycznych; *Cieszkowski* milczał zupełnie zajęty sprawami ekonomicznemi; Trentowski raz się odezwał w czasopiśmie, w „Tece Wileńskiej", ale zgromiony przez duchowieństwo, które nie dopuściło drukowania dalszego ciągu rozprawy, zamilkł, a w r. 1861 taką zapisał skargę, mającą się pojawić w druku dopiero po latach kilkunastu: „Coraz okropniejsze położenie kraju, zwrot Europy całej na piekielne manowce stare, muzułmanizm chrześcijański w zażartej walce z oświatą chrześcijańską... wszystko to zarazem przyprawiło mię o dziesięcioletnią niemoc... Naród sam zwrócił się lewo w tył i pędził szybko, by kolej żelazna, ku XIII wiekowi, prześcignął wnet pod tym względem Zachód, który stawiał potężny i w końcu zwycięski opór, że stał się coś nakształt Hiszpanii północnej. Rzucano klątwy na filozofię, poniewierano rozum ludzki i umiejętność niepodległą... potwarzano, a nawet prześladowano uprawiaczów i przyjaciół światła... Głos swobodniejszy i słowo, oświecić kraj chcące, nie znalazły przyjęcia w czasopismach. Dzieło filozoficzne szukało daremnie czytelnika, a więc i wydawcy. Stany te bolały mnie mocno i nie mogły mi dopomódz do zdrowia. Potrzeba mi było wyczekiwać przyszłości lepszej, albowiem dla chwil barwy takowej pracować i pisać nie warto..."

Zamilknięcie filozofów niezależnych pozbawiało literaturę dopływu samodzielnie wytworzonych, głębszych poglądów, a lichy stan dwu zgermanizowanych uniwersytetów (lwowskiego i krakowskiego), albo brak ich zupełny usuwał nas od ruchu ogólnoeuropejskiego. Wielki np. ruch, wywołany wówczas przez teorye materyalistyczne (Feuerbacha, Vogta, Moleschotta, Büchnera) w Niemczech, a w znacznej części i w innych krajach Zachodu, u nas nie odbił się ani przyjaznem, ani wrogiem echem; poprostu ogół nic o nim nie słyszał; a tylko nieliczne jedno-

stki znały nazwiska przewódców. Podobnie nowe zdobycze w dziedzinie nauk przyrodniczych, a nawet historycznych nie dochodziły do naszej wiadomości bardzo a bardzo długo po ich dokonaniu. Natomiast wszystko, co się jakokolwiek łączyło z cudownością, z wiarą bezkrytyczną, jak doświadczenia z wirującymi stolikami, pukanie duchów itp. rychło się u nas przyjmowało i obałamucało umysły nawet niepowszednie (np. Zygmunta Krasińskiego). „A kto już cudom wiary dać nie może, o! ten zmarnieje jak chwast na ugorze!“—śpiewała *Seweryna Puszakowa* w „Córze wdowy.“

2. Naturalnem następstwem takiego zacieśnienia lub zaćmienia widnokręgu umysłowego było przekonanie, że u nas wszystko idzie dobrze, że nie tylko nie potrzebujemy niczego zazdrościć „zmateryalizowanemu“, czy nawet „zgniłemu“ Zachodowi, gdzie maszyny i fabryki „zagasiły ducha“ i utrwaliły cześć dla złotego cielca, lecz że owszem ten okrzyczany Zachód mógłby od nas z wielkim dla siebie pożytkiem przejąć wiele rzeczy doskonałych: otwartość serca, szlachetność duszy, szczerość, czystość obyczajów, patryarchalność stosunków rodzinnych i społecznych. Wielka „idea mesyaniczna“ poprzedniego okresu, albo została zaprzeczona, jak w pismach i czynach *Aleksandra Wielopolskiego* i w umysłach jemu pokrewnych, albo też spłaszczyła się, przybrała kształt kieszonkowy, w jakim mógł ją ogół mało ukształcony zrozumieć.

Wszystko, co było swojskie, nabrało wielkiego znaczenia; nawet nasze chatki z wklęśniętem poszyciem słomianem, nawet nasze mostki klawiaturowe, nawet nasze wioski z chałupami dowolnie powykrzywianemi, nawet pańszczyzna i poddaństwo chłopów miały swoje zalety niepowszednie, były malownicze lub przemawiały do serca.

Toż samo i w zastosowaniu do przeszłości. Co w niej było rozumnego i dzielnego, co świadczyło

o wyższym polocie umysłu, to nie mogło być wtedy podniesionem i uwielbionem. Ani wiek XVI ze swym ruchem reformacyjnym i humanistycznym, ani druga połowa XVIII ze swemi ideami racyonalistycznemi nie przypadały do smaku tym, co rozum potępiali. Szczególniej „wiek oświecony", jako najbliższy i najlepiej stosunkowo znany, nie znajdował łaski wobec czcicieli ciasnej swojszczyzny; nie chciano w nim widzieć podniesienia się myśli, pomijano dążność i usiłowania reformatorskie, a uderzano na bezbożność, na zepsucie obyczajów i rozpustę, wskazując oświatę francuską jako główną przyczynę złego. Wolter i Encyklopedyści stali się przedmiotem drwin i szyderstwa. Natomiast z jakiemże to uwielbieniem malowano postaci kontuszowe, perorujące, pijące, bijące się i całujące! Były to zazwyczaj figury bezmyślne, ale jakie znamienne, jakie malownicze! Krok tylko, by potępiając „wiek oświecenia", czcią zapłonąć dla pijackiej i ciemnej epoki Sasów—i krok ten zrobiono. Dla wielu wszystko doskonałe było za Sasa: i wiara, i animusz, i serdeczność, i miłość kraju... Wiara wprawdzie kończyła się na klepaniu pacierzy, animusz przejawiał się głównie w zwadach i zajazdach; serdeczność nie wyłączała obłudy, miłość kraju nie przeszkadzała zrywać sejmów i tracić poczucia niezależności narodu; ale na to wielbiciele zamykali oczy; dla nich wystarczał fakt, że postaci szlachty jaśniały weselem, śmiały się na całe gardło, były zdrowe i zadowolone z siebie. Polska szlachecka stanęła w apoteozie, opromieniona bengalskimi ogniami sztucznego zachwytu. Co szlachta zrobiła, było wyborne, bo wypływało z przepełnionego serca, nie zaś z „mędrkującego" rozumu. Tak szczęśliwie żył naród, dopóki prąd obcy, zagraniczny nie zmącił czystego wód zwierciadła.

Zamilkły dawniejsze gorące spory o arystokracyę i demokracyę. Gorętsze żywioły przycichły dobrowolnie lub z musu; umiarkowani dążyli do ja-

kiejś zgody, niejasnej w swych podstawach, a nader chwiejnej pod względem samej treści, ale mającej wyrazowy swój wykładnik w terminie „gminowładztwa szlacheckiego”, użytym przez znakomitego historyka, Lelewela, do określenia rodzaju rządu, jaki panował w byłej Rzeczypospolitej. Otóż ta demokrakcya szlachecka, nie obca już i poprzedniemu okresowi, miała pod hasłem ideału szlachetności i dążenia do udoskonalenia objąć zarówno warstwę niegdyś wyłącznie rządzącą, a obecnie już panowania pozbawioną, jak i te warstwy niższe, co wznosząc się na wyższy szczebel wykształcenia, przejmowały się zasadami i hasłami pierwszej. Miłość wspólna miała wyrównać nierówności i utworzyć ze wszystkich klas całość spójną.

W tym duchu napisał *Waleryan Wróblewski* (Koronowicz † 1878) „Słowo dziejów polskich“ (3 tomy, 1858—60), filozofię naszej „demokracyi szlacheckiej“; w tym duchu tworzono poematy, gawędy i powieści; w tym duchu pisała publicystyka. Był to jakby ostatni odblask zachodzącego słońca szlachetczyzny w literaturze, odblask nie oświetlający, niestety, stron jej najlepszych.

Powyżej określone znaczenie demokracyi szlacheckiej warunkuje jej stosunek do mieszczan i chłopów. Zajmuje się ona nimi, zwłaszcza kmieciami, dość żywo, ale pod warunkiem pozostawienia ich pod jej zwierzchnictwem i kierunkiem. Namiętne rozprawy o uwłaszczeniu chłopów ustają po r. 1850 na lat kilka, a jeżeli ukazują się nawet dzieła w tej sprawie z datą r. 1851, to są one wynikiem rozpędu poprzedzającego te datę; dopiero od r. 1856 zjawia się ona ponownie w Królestwie polskiem, oraz na Litwie i w innych dzielnicach, gdzie jeszcze istniało poddaństwo, i dąży, pod wpływem rządu, do swego ostatecznego rozwiązania. W powieściach i poezyi raczej dbano o zaspokojenie ciekawości, dotyczącej życia włościan, co więcej chwa-

lono stan pańszczyźniany i poddańczy, jako patryarchalny; pisarze, poświęcający swe pióro, mniej lub więcej utalentowane, malowaniu życia chłopskiego, albo dawali obrazki rodzajowe, tu i owdzie moralizowaniem ubarwione, jak *Jan Kanty Gregorowicz* († 1891), albo też z pewnem zamiłowaniem wydobywali na jaw ujemne tylko strony, jak *Walery Wielogłowski* († 1865). Zmiana w tej mierze nastąpiła również dopiero w r. 1856, gdy na nowo zaczęto kreślić zarysy niedoli chłopskiej z wyraźnem dążeniem do zaradzenia jej, w imię już nie litości i miłosierdzia, ale obowiązku.

Mieszczaństwo wskutek wzmożenia się przemysłu i handlu zaczęło w tym czasie nabierać znaczenia. W Królestwie Polskiem przemysł, chwilowo podniecony przez ministra Lubeckiego między rokiem 1822 a 1831, wegietował tylko następnie, dopóki otwarcie granicy celnej od cesarstwa w r. 1850 i ułatwienie komunikacyi przez zbudowanie kolei żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, a następnie warszawsko-petersburskiej, oraz przez zaprowadzenie statków parowych na Wiśle nie otrzymał i bodźca nowego i miejsca zbytu. W przedsiębiorstwach zaczęli brać udział i magnaci, a mianowicie *Andrzej hr. Zamoyski* († 1874). Nie uważano już wtedy za rzecz uchybiającą szlachectwu trudnienie się handlem, przemysłem, a nawet rzemiosłem, ale mało kto miał ochotę iść w tym kierunku i potrzeba było wielkich zachęt do obrania raczej pracy, niż jakiegokolwiek urzędu, w razie zubożenia. To też w przemyśle wyłącznie się napotykało nazwiska niemieckie, w bankierstwie—żydowskie; a Polaków znaleźć można było wśród rzemieślników i drobnych kupców głównie. Ponieważ wzbogaceni dążyli tak samo jak w wieku XVI do zlania się z warstwą szlachecką, nie było tedy możności wytworzenia i teraz silnego stanu mieszczańskiego. W literaturze występują bankierzy ze śmiesznej tylko strony przedstawieni, tak samo jak

wogóle „dorobkiewicze"; dodatnie postaci brano jedynie z warstwy drobnomieszczańskiej, przenosząc na nią to spółczucie, jakie miano dla ludu wiejskiego.

3. Takimi właściwościami zawarunkowana była twórczość poetycka, powieściopisarska i historyczna. Najogólniejszą jej cechą jest porzucenie lotów wysokich, natchnień nadziemskich i proroctw, a zejście na ziemię, zbliżenie się jak największe do stanu umysłów średnich, stanowiących masę „ogładzoną". Co znamionowało w poprzednim okresie tylko niektóre utwory, to się stało teraz dążeniem powszechnem.

Chciano zapomnieć bodaj na czas krótki o niesmaku chwili bieżącej i zanurzyć się w ożywczem źródle tradycyi; chciano sobie osłodzić przykrość położenia rzeczywistego przypomnieniem dawniejszej sławy. Nie żądano ani demokratycznych, ani arystokratycznych, ani nawet czysto naukowych, objektywnych poglądów na wypadki dziejowe; pierwsze bowiem, wobec zmienionego nastroju, nie mogły już popłacać; do trzecich nie miano jeszcze dostatecznego przygotowania. Przedstawić tedy przeszłość w obrazie żywym taką, jaką była, a choćby nawet dobrze jej pochlebić, zainteresować ubiorami, sprzętami, szczegółami życia domowego, ciekawostkami archeologicznemi, rapsodami rycerskiemi — oto zadanie dla usiłowań autorów, oto punkt zbieżny pragnień czytelników. Komisye archeologiczne w Wilnie i Kijowie, muzea w Krakowie i Lwowie posługiwały skutecznie do obudzenia zapału dla takich badań; wydawanie pamiątek dziejowych, wizerunków królów, zabytków sztuki średniowiecznej w przepysznych księgach podtrzymywało go i do nowych zachęcało wysiłków; pisanie wreszcie życiorysów, szkiców, opowieści w sposób niemal belletrystyczny czyniło zadość wymaganiom i ogromnie się przyczyniło do spopularyzowania dziejów narodowych, zwłaszcza gdy się pojawił niepospolity w tym kierunku talent. Podobne objawy z obcej literatury, np. „Zdobycie Anglii

przez Normandów" (1825) Augustyna Thierry'ego teraz dopiero przyswojono językowi naszemu (1858—60). Historyę Anglii i Szkice Macaulaya znały jednostki, ceniły je wysoko, częściowo tłomaczyły (1861—1864); ale całość wyszła w przekładzie dopiero znacznie później (1873). O Tocqueville'u zaś, głębokim, lecz suchym, wówczas nawet nie wiedziano.

W poezyi dostrzegamy, tak samo jak w płaskiem przetworzeniu idei mesyanicznej, zniżenie się do poziomu ogółu mało ukształconego, niesklonnego do poważnej a długiej zadumy, do zagłębiania się w treść niecodzienną. Życie powszednie, czy to w teraźniejszości, czy w przeszłości, z jego powszedniemi radościami i smutkami, z jego płytkością umysłową, ale z sercem dobrem, miękkiem, wypełniało przeważną część obrazów i obrazków, które w formie zaniedbanej, w tak zwanej „gawędzie" starały się spoufalić z sobą czytelników. Nie wymagały one wielkiego natężenia umysłu, bo przedstawiały wypadki łatwo zrozumiałe; bo ludzie, w nich odmalowani, nie grzeszyli nadmiarem inteligencyi; nie wymagały również wielkiej pracy ze strony wyobraźni dopełniającej, gdyż same nie odznaczały się lotem wysokim. Wielka serdeczność, prostota, a nawet rubaszna jowialność, cześć dla cnoty, uwielbienie dla przeszłości, rzewność umiarkowana, a przytem wiersz gładki, potoczysty: oto środki, którymi przeważnie szturmowały utwory poetyckie do serc ogółu. Takie środki skuteczniejsze były od niesłychanej potęgi fantazyi Słowackiego, od filozoficzno-społecznych pomysłów Krasińskiego; nie dziw więc, że ci, co się nimi posługiwali, otrzymywali nieraz zwycięstwo nad wielkimi mistrzami, zwycięstwo naturalnie ciche, nieprzyznawane otwarcie, niemniej przeto upajające duszę. Czytano więc owoczesne poezye z rozkoszą, rozkupywano poemata szybko, księgarze nietylko chętnie drukowali, lecz nawet nieźle płacili za wiersze. Poemata owoczesne, a raczej gawędy, pospolicie wierszem

tylko różniły się od prozaicznych powieści; nastrój zaś ogólny, stopień twórczej fantazyi, sposób uwydatniania scen i charakteryzowania ludzi miały z nimi wspólne.

4. Powieść też święciła naówczas największe może tryumfy swoje, a przynajmniej po raz pierwszy u nas stała się naprawdę popularną. Długo toczona walka przeciwko rozmiłowaniu się w powieści francuskiej, a przytem silne a jednostronne poczucie swojszczyzny, panujące w tym okresie, sprawiły ten skutek, że zmniejszyła się znacznie liczba przekładów powieści francuskich i że utwory naszych powieściopisarzów czytano, roztrząsano troskliwie, uwielbiano. A było ich wtedy dużo. Prócz dawniejszych przybyło kilka nowych talentów, a kilkanaście drugorzędnych opowiadaczów. Wszystkie niemal stany: magnaci, szlachta, duchowieństwo, urzędnicy, wojskowi, bankierzy, lud miejski i wiejski, żydzi, przemytnicy, cyganie itd. znalazły swoich malarzy, co ze szczególną pilnością podpatrywali ich wady i zalety, ich przyzwyczajenia i obyczaje, ich ubiór, miny i giesta, i z serdeczną dobrodusznością, lub niezbyt zjadliwą satyrą, przedstawiali je w mniej lub więcej udatnych obrazach i obrazkach.

Zaczęto powieść, jako rodzaj literacki, cenić niezmiernie wysoko. Taki urzędowo poważny człowiek, jak *Józef Korzeniowski*, oddawszy się w tym czasie prawie wyłącznie pisaniu powieści, nie wahał się napisać w r. 1850 słów następujących: „Dramat i powieść są to jedyne rodzaje poezyi, które czas, zmiana wyobrażeń o literaturze i stanie społeczności, a szczególnie powódź dziennikarstwa od zagłady ocaliły. Wszystkie inne rodzaje *zaginęły nazawsze*, a z nimi i formy tak rozmaite, niekiedy tak miłe i wdzięczne, przepadły i powrócić już nie mogą. Życie dziś uchodzi tak prędko, tyle w niem porusza się kwestyj, że to, co najmocniej interesuje społeczność, nie mieści się już w owych kształtach udatnych, ale

drobnych lub wyszukanych; nie cierpi zwłoki omówień, figur i rymowania; ale musi być zamknięte w obrazach, branych wprost z życia, mieć inne rozmiary, więcej wmieszczające ramy i wyrażać się językiem tegoż życia: poprostu, jędrnie, jak mówi każdy człowiek, który się śpieszy, którego czas rozliczony, zajęcie silne i stanowcze... Dlatego to ci pisarze (dramatów i powieści) są dziś, że tak powiem, *jedynymi reprezentantami tak zwanej pięknej literatury*, mając możność skoncentrowania w swoich płodach tego wszystkiego, co się dawniej w tragedyach, komedyach, satyrach, bajkach itd. rozpraszało; mogąc złocić obrazami imaginacyi, zaprawiać interesem niezmiennych uczuć serca ludzkiego poważne, żywotne, choć może przemijające kwestye; mogąc nareszcie uderzać satyrą i śmiesznością wszystkie te szumowiny, które w dzisiejszem wrzeniu społeczności wyszły na wierzch i jeszcze z łona jej występują... Chociaż dramat i powieść, owładnąwszy całą dziedziną poezyi, dotąd jeszcze przyjazne podają sobie dłonie, gdyż czerpiąc z jednego źródła, co do treści i wrażeń, jakie czynią, są jednem i temże samem; zdaje się wszakże, że powieść, nieznana prawie w starożytności, długo poniewierana, jako najpośledniejszy z rodzajów, *zamknie w sobie z czasem wszystkie elementa poezyi, a nawet dramat zagłuszy i wyruguje.* Ten wzrost, to rozszerzenie da jej forma pełna swobody, elastyczna i wszystko w sobie mieszcząca. Dramat, zmuszony rozwijać się w oczach widzów, pozbawiony pomocy opowiadania, licząc tylko na teraźniejszą chwilę i posuwając swoją treść jedynie przez rozmowę, porusza się w takiej ciasnocie, tak związany jest niedoskonałym mechanizmem sceny i jednostajnemi postaciami aktorów, że nie będzie mógł wyrazić tego wszystkiego, co wyraża i ogarnia powieść. Ustąpi więc miejsca swojej młodszej towarzyszce, pełnej życia, pełnej sił, swobodnej w swoich ruchach i ani miejscem, ani czasem nieskrępowanej. Przewaga też

powieści nad dramatem już się zaczęła i szybko postępuje...” Pisząc te zdanie, „śmiało wywracające dawniejszą poetykę”, chciał Korzeniowski, jak sam powiada, wykazać niesłuszność mniemania, odmawiającego nazwy poetów powieściopisarzom, chciał ośmielić tych, „co nie mogąc zdać sobie sprawy, dlaczego im się podoba powieść, wstydzą się, że ją czytają”, chciał wreszcie „uprzedzić tych, którzy nic nie czytają, odkładając zajęcie się literaturą do tego czasu, aż się zjawią ważniejsze niby utwory poetyczne pod dawniejszemi ich formami, że oczekiwanie ich próżne, gdyż to nie nastąpi wcale, lub przyjdzie do nas w jakichś apokaliptycznych ciemnościach, których nikt nie zrozumie, a które będą znakiem końca wszelkiej literatury...“

Tak wysokie mając pojęcie o przyszłości formy powieściowej, stanął on w jej obronie, gdy *Kraszewski*, pobudzony przez krytykę *Antoniego Marcinkowskiego* (wtedy występującego pod nowym pseudonimem *Nowosielskiego*), widząc niezdarne utwory swoich naśladowców, oświadczył, że jeżeli nie sama powieść, to przynajmniej jej forma przeżyła się, że żaden z ówczesnych utworów powieściowych u nas ani o włos nie różni się od tysiąca pięciuset powieści i powiastek, których obfitość zagraża potopem... Korzeniowski na te sarkazmy odpowiedział ładnym wierszem, rozwijającym myśl, że nie tyle o formę, ile o treść świeżą i piękną chodzić powinno:

Chcecie formę odmienną w nowej dać budowie?
Nudzicie się jak wyschłe przesytem panięta?
To nowe jest nie w formie, lecz w sercu i głowie;
Każda forma jest dobra, gdy życiem natchnięta.

„Znać ludzi, kochać ludzi—oto sekret cały“ zajęcia czytelników i powodzenia autora. Kraszewski jednak nie odstępował od swego twierdzenia i uskarżał się ponownie, że wszystkie powieści nasze są na

jedno niemal kopyto zrobione, że to waryacye na jeden temat, niekiedy z talentem pomyślane, odgrywane prześlicznie, ale ostatecznie męczące i nudne, że to odbitki pierwotworów, wyglądające, „jak kompozycye sławnych malarzy, litografowane na chustkach od nosa.“ Nie umiał atoli wskazać, co i jak odświeżyć należy.

Podjął się tego Antoni Marcinkowski, który obok studyów archeologiczno-etnograficznych, obok krytyk literackich, pisywał także i opowiadania. Miał on niewątpliwie na myśli potrzebę przejścia od malowania zewnętrznej strony ludzi i rzeczy do przedstawiania procesów duchowych, nie tylko grubych i namacalnych, lecz delikatniejszych i subtelniejszych, ale to wymaganie głębszej psychologii w powieści wyraził trochę rozwiewnie. Oto jego myśli: „Potrzeba wieszcza, króryby mocnem uderzeniem w skałę wywiódł z niej żywe źródło interesu, coby stworzył nowe, świeże wpośród starego, odwiecznego, zużytego materyału. *Pod grubą powłoką rudy fenomenalnego świata kryją się głębokie żyły jasnego, drogiego metalu*; potrzeba tylko umieć dokopać się do tej miny, do tych bogactw moralnych. Kiedy grunt zjałowiał i nie chce już wydawać chleba, potrzeba go głębiej przeorać; kiedy morze ciche, gładkie, spokojne, ktoż się pod niem spodziewa niezgłębionej bezdni, strasznych tajemnic przyrodzenia? I życie nasze jest oceanem niezgłębionym. Mówicie, że żywot ludzki zastygł w kamiennej skorupie, ale w tym kamieniu jest ogień ukryty i do sztuki to należy wskrzesić go, wskrzesić życie, wyprowadzić owo cudowne, tajemnicze światło, ten promień idei, którym tak uroczo oświecają się postaci i grupy ludzi, szykując w jeden wielkiego moralnego znaczenia obraz. U nas zapomniano już prawie o kompozycyi, o inwencyi, o poglądzie głębokim na świat i ludzi, na cele moralne żywota, na sens jego.“ Marcinkowski protestował namiętnie przeciwko twierdzeniu, że powieść ma być

kopią życia i to kopią zewnętrznych jeno zjawisk jego (fenomenalnej skorupy), gniewał się, że „za normę prawdy artystycznej obrano zewnętrzną postać fenomenów życia realnego“, zapominając o tem, iż „powieściopisarz *powinien być psychologiem i filozofem*, że *powinien być artystą*, że powinien tworzyć ideał jak poeta, a nie kopiować jak jaki tuzinkowy portrecista.“ Artysta ma tworzyć tak oryginalnie jak natura; w tej „samodzielności tworzenia“ tkwi właśnie całe podobieństwo między sztuką a przyrodą. „Rozmaitość charakterów — pisał Marcinkowski — może być tylko przy prawdziwej twórczości ducha, przy wielkiej żywości imaginacyi; inaczej musi się koniecznie wywinąć w końcu monotonia; *nowe*, którego szukamy ustawicznie, do którego dziś wzdychamy jeszcze więcej, niż kiedykolwiek, jest w naturze, ale ono nie przesadza się z niej do sztuki; z żywych, dyszących zapachem kwiatów natury unosi się delikatny pyłek żywotny, który wciska się do duszy poety; myśl twórcza geniuszu zapładnia go, nadaje mu kształty indywidualizmu, formy nowego samodzielnego życia sztuki. Taki pojaw życia jest równie świeży, wonny i nowy, jak pojaw życia natury; ale warunki ich bytu są wcale inne. Studyowanie natury obudza w myśli twórczej poety nowe, żywe, pokrewne sobie postaci, które kunszt wyprowadza na jaśnię intelektualnego świata, dając im własne warunki bytu...“ Marcinkowski mówił także o „objektywności“ sztuki, ale nie umiał jej znaczenia uwydatnić wobec podnoszonego przez siebie indywidualizmu artysty—i pozostawił sprawę w mglistym powietrzokręgu. I na tem naówczas rzecz się zatrzymała. Nikt ani jaśniej, ani dokładniej nie potrafił wtedy kwestyi powieściowej rozwikłać. Dużo tylko pisano w powieściach o artystach i artyzmie.

5. Pomimo wielkiego nacisku na swojskość, zasilanie się obcemi literaturami większe niż w poprzednim okresie przybiera rozmiary, ale przeważnie ma

charakter zewnętrzny: ukazuje się dużo tłomaczeń, dających świeżą karm' duchową ogółowi, lecz nie wywierają one widocznego wpływu na twórczość oryginalną. Tak np. poeci nasi znają i przekładają Heinego i Musseta, których śmierć, w tym czasie zaszła, zwróciła baczniejszą uwagę na ich dzieła, ale nie przejmują się zazwyczaj duchem sceptycznym, ironią i pessymizmem.

Literaturę francuską wogóle mniej teraz niż dawniej uwzględniano; powieści tłomaczono takie tylko, co zyskały sobie rozgłos europejski, jak np. „Nędzarze“ Wiktora Hugo; więcej przekładano dramatów, komedyj i poezyj liryczno-epicznych. Ten brak pilniejszego śledzenia nowych przejawów sprawił, że nie spostrzeżono wtedy u nas ważnej reformy, jakiej dokonał w dziedzinie powieściopisarstwa Gustaw Flaubert („bezosobowość“ twórcza), a w dziedzinie filozofii i krytyki literackiej Hipolit Taine (uwydatnienie zależności twórcy od rasy, środowiska i chwili dziejowej.)

Zwrócenie się żywsze do innych literatur nie miało również na celu wyszukiwania świeżych prądów; owszem tłomaczono przeważnie dzieła autorów dawniejszych. Znamiennem jest odwołanie się do starożytności klasycznej, a mianowicie greckiej. Wielcy mistrze nasi nigdy nie lekceważyli tej starożytności, przeciwnie, często z niej czerpali; ale pomniejsi pisarze, nie mówiąc już o ogóle czytających, sądzili, że ona została już całkowicie wyzyskana. Otóż obecnie, gdy z prądu romantycznego nie można było wydobyć nowej siły, zaczęto ponownie pielgrzymować myślą w strony dalekie, gdzie przed wiekami ideały piękna w skończone zaklinano formy. Homer, Eschilos, Sofokles, Horacy doczekali się nowych tłomaczów, starających się już to o najzupełniejszą wierność filologiczną, już to przedewszystkiem o ponętne kształty estetyczne. W pierwszym względzie *Zygmunt Węclewski* i *Aleksander Bronikowski*, w dru-

gim—*Lucyan Siemieński*, *Kazimierz Kaszewski* i *Aleksander Krajewski* ważne piśmiennictwu naszemu oddali usługi.

Obok prawdziwie klasycznej tragedyi, bardzo pilnie zajmowano się wówczas Szekspirem, a po części Goethem, jakby na dowód, że nie myślano się oddawać wyłącznie pod władztwo jednego kierunku. Z Szekspira mieliśmy do owego czasu bardzo niewiele udatnych przekładów; teraz ukazują się równocześnie dwie poważne próby: jedna dokonana przez *Komierowskiego* (1857—60 trzy tomy), druga przez *Józefa Paszkowskiego* (od 1856 — 62 w „Bibliotece Warszawskiej“); a prócz tego i przekładów sztuk poszczególnych nie brakło. Z nowszej literatury angielskiej, prócz tłomaczeń Dickensa, których dokonywano dużo, tak samo, jak w okresie poprzednim, dano teraz poznać utwory Thackeray'a („Pendennis,” „Henryk Esmond“, „Snoby“), Disraelego („Tankred de Montecute“), Wisemana („Fabiola“) i poemata Alfreda Tennysona, mianowicie jego „Idylle królewskie“. Przekładano też i amerykańskich pisarzy jak: Longfellow, Fullerton, Beecher-Stow, a nawet ekscentryczny Edgar Poe.

„Faust“ Goethego ponownie został przełożony przez *Aleksandra Krajewskiego*; a niektóre jego dramata jak „Torquato Tasso“ (1861), „Ifigenia w Taurydzie“ (1863) i poemata przyswoił nam w formie oryginału *Ludwik Jenike*.—Z nowszej literatury niemieckiej przekładano głównie utwory dramatyczne: tragedye lub komedye; powieść natomiast prawie zupełnie była pomijana, chociaż wtedy właśnie zaczęła się ona w Niemczech na wyższy szczebel doskonałości podnosić w dziełach Wiktora Scheffela, Bartolda Auerbacha, Gustawa Freytaga i Fryderyka Spielhagena. Za to wprowadzono prawie nieznane dawniej u nas utwory skandynawskie, lecz także nie najświeższe, jeno takie, co już sobie w Europie zyskały uznanie. A więc z duńskiej literatury przy-

swojono baśnie, powiastki i powieści Andersena (1857 do 1862) głównie dzięki *H. Feldmanowskiemu* i *Fryderykowi Lewestamowi*, i dwa dramata Oelenschlägera („Corregio“ przez *Stanisława Budzińskiego* 1855, oraz „Hagbart i Sygna“ przez *Juliana Bartoszewicza*); ze szwedzkiej zaś liczne powieści Fryderyki Bremer (od 1852 do 1860) i aż trzy przekłady całkowite głośnego „Frytyofa“ Tegnéra, dokonane przez *Ludwika Jagielskiego* (1856), *Józefa Grajnerta* (1859) i *Jana Wiernikowskiego* (1861), co już dawniej wydał był „Axela“ (1842) tegoż poety.

Z literatur romańskich poza francuską ponownie zaczęto tłomaczyć Kalderona („Kochankowie nieba“ przez *Karola Balińskiego*, 1858), „Czarnoksiężnik“ przez *Stanisława Budzińskiego* 1861), Cervantesa („Don Kiszot“ przez *Walentego Zakrzewskiego* 1854—55); „Boska komedya“ ukazała się po raz pierwszy w całości w przekładzie *Juliana Korsaka* (1860), a nowszy powieściopisarz włoski, d'Azeglio, znalazł tłomaczów w *Józefie Korzeniowskim* („Nicolo de'Lapi“) i *Janie Chęcińskim* („Hektor Fieramosca“). Myślą uprzystępnienia utworów obcych powodował się L. H. Merzbach, wydawca ilustrowanego „Skarbca arcydzieł piśmienniczych Europy“ (Warszawa, 1856—58, razem 13 dzieł w 21 tomach).

6. Czasopiśmiennictwo przybrało także barwę belletrystyczną. Ani miesięczniki, których było zaledwie trzy w przeciągu tego okresu („Biblioteka Warszawska“, „Przegląd Poznański“, „Dodatek do Czasu“), ani tygodniki, ani gazety nie mogły się obejść bez powieści i poezyi. W dziennikarstwie nastąpiła ważna i wpływowa reforma. Nie mogąc swobodnie dotykać spraw politycznych, musiało ono zwrócić baczną uwagę na sprawy krajowe wewnętrzne, a ponieważ i w nich przez lat kilka najważniejsze społeczne zagadnienia pomijać musiano, zwrócono się więc do objawów ekonomicznych, towarzyskich i literackich. Reformę zapoczątkowały dwie gazety o bar-

wie zachowawczej: „Czas“, założony w Krakowie w końcu r. 1848 i „Dziennik Warszawski“ w roku 1851. Zwiększyły one format (przedtem przedstawiający się w małej ćwiartce), dały lepszy papier, postarały się o korespondentów z różnych stron Europy i kraju, dbały o zobrazowanie ruchu artystycznego i literackiego, w odcinkach drukowały powieści, poezye, pamiętniki i rozprawki popularne, wprowadziły wreszcie *feljetony*, w których stylem lekkim, żywym, dowcipnym dotykano różnorodnych zagadnień mniejszej lub większej wagi, mogących zająć czytelników, bo będących na dobie.

W „Czasie“ feljetony te miały przeważnie charakter artystyczno literacki. Pisał je „nawrócony“ demokrata, stylista wytworny i znawca piękna, *Lucyan Siemieński*, i wyrobił sobie w tym czasie rozgłos świetnego krytyka, umiejącego zainteresować szerszy ogół do literatury i sztuki. Pisał istotnie bardzo zręcznie, miał smak wyrobiony, sąd trafny, o ile go nie zaślepiała niechęć stronnicza lub też uprzedzenia osobiste. Jego krytyki wychodziły w kształcie książkowym pod różnymi napisami: „Pogadanki literackie“ (1855, Kraków), „Kilka rysów z literatury i społeczeństwa“ (1859, Warszawa, 2 tomy), „Roztrząsania i poglądy literackie“ (1869, Poznań). Stworzył on wreszcie u nas pierwszy, na wzór Francuzów, „portrety“ literackie. Z początku były to właściwie nekrologi, pisane bezpośrednio po zgonie sławniejszych pisarzów i prócz skąpych wiadomości o życiu zawierały króciutką charakterystykę talentu. Niebawem wszakże Siemieński zmienił tę ich cechę w dwu kierunkach: zaczął „portretować“ autorów z wieków ubiegłych, i rozszerzać niektóre do zakresu monografij, zawsze jednak unikając ciężaru erudycyjnego. Mają one wogóle powab feljetonu, bo żwawo i swobodnie zaznajamiają nas z portretowanemi osobistościami, podają jasno i wyraziście grubsze znamienne ich rysy; rzadko atoli odznaczają się głębokością,

a nigdy nie wyczerpują przedmiotu. Z powodu świeżości zużytkowanego materyału najważniejsze są wizerunki Trembeckiego, Węgierskiego i Franciszka Morawskiego, oraz „Obóz klasyków.“ Wyszły 4 tomy tych „Portretów literackich“ (w Poznaniu, 1865—1875). Obecnie wraz z innemi pismami Siemieńskiego mieszczą się w 10-tomowem wydaniu „Dzieł“ jego (Warszawa, 1880).

„Dziennik Warszawski“ założył z zasiłku rządowego *Henryk hr. Rzewuski*, potrafiwszy pozyskać dla niego dawnych swych przeciwników, co redagowali „Gwiazdę”, t. j. *Jakóba Jurkowskiego*, *Antoniego Nowosielskiego* i *Zenona Fisza*,—jak niemniej innych literatów z głośnem już imieniem, jak *Augusta Wilkońskiego*, *Juliana Bartoszewicza*, *Fryderyka Henryka Lewestama*. Feljetonistą na wzór francuski był tu *Wacław Szymanowski*. Założyciel umiał zgromadzić znaczne siły literackie i pozyskać wielką liczbę prenumeratorów, ale nie potrafił ich utrzymać. Mniemając, że nadeszła stosowna pora do najotwartszego wypowiedzenia swych wstecznych i dziwacznie legitymistycznych poglądów, pomieścił w „Dzienniku“ obszerną rozprawę p. t. „Cywilizacya i religia“—i zraził nią czytelników zupełnie. Twierdził on tu, że „chrystyanizm a rozum ludzki na stopniu, jaki zajął, są nieprzyjaciele nieubłagani“, skarcił duchownych, chcących wiarę z rozumem pogodzić i broniących rozumu jako daru bożego. Chrystyanizm, według Rzewuskiego, podniósł ignorancyę ledwo że nie do zaszczytów cnoty; dla chrześcijanina szaleństwo krzyża jest mądrością, a mądrość ludzka — szaleństwem. „Chrystyanizm nakazuje posłuszeństwo a nawet miłość dla istniejącego rządu, bez względu na jego naturę i sposób, w jaki jest sprawowany; żadne nadużycia władzy w rzeczach wyłącznie ludzkich do oporu podwładnych upoważnić nie mogą; takowy opór zawsze większe klęski przynosił społeczeństwu niż te, z których usiłowało się uwol-

nić. Chrystyanizm potępia bogactwa, więc ekonomia polityczna powinna być wykorzeniona z prawdziwego nauczania chrześcijańskiego.“ Obronę przywileju szlacheckiego połączył Rzewuski z obelgą rzuconą przemysłowcom i kupcom. Tylko Bóg tworzy szlachcica; szlachectwo może być zniszczone samobójstwem, ale nigdy przez obcą siłę. Szlachcic skalany szalbierstwem, lichwą, zapieraniem się wierzeń ojczystych, podłością, przekupstwem, nawet oddaniem się „profesyom poniżającym“, przy najpiękniejszym przywileju urzędowym, przestaje być szlachcicem i swoją degradacyę moralną przekazać może potomstwu. „Cywilizacya tegoczesna—mówił w końcu—jest skażona; rozum ludzki, który ją wyrobił, jest nikczemny; społeczeństwo powinnoby się z pod niego wyłamać, innego przewodnika szukając, chociażby ten krok miało opłacić kosztem nauk, kunsztów, przemysłu i *powrotem do barbarzyństwa*“.

Ogół uczuł się dotkniętym do żywego; niektóre punkta drażniły niezagojone rany; w innych była jaskrawość arystokratyczno-wsteczna, której społeczeństwo nie cierpiało. Lubiło ono, jak już wiemy, środek: było religijnem, ale z pewną skromną dozą wolnomyślności; było szlacheckiem, ale pragnęło inne warstwy podnieść ku sobie: rozbratu między chrystyanizmem a cywilizacyą nie uznawało, lecz chciało je ze sobą godzić. Opuściło więc Rzewuskiego; wielu abonentów odesłało numery „Dziennika“ z jego artykułem, oświadczając, że przestają pismo prenumerować. Choć Rzewuski usunął z „Dziennika“ swój podpis, pierwotna jego wziętość nie wróciła; musiano w końcu przezwać gazetę „Kroniką wiadomości krajowych i zagranicznych”, ale i to nie uchroniło od ostatecznego upadku (w końcu r. 1860).

Z niepowodzenia „Dziennika“ skorzystała głównie najdawniejsza nasza „Gazeta Warszawska“, zostająca pod kierunkiem zręcznego i zabiegliwego właściciela, a zarazem krytyka teatralnego, *Antoniego Lesznow-*

skiego († 1859). Zapełniając odcinek najlepszemi powieściami swojskich i obcych autorów, dając dużo miejsca dla sprawozdań z życia towarzyskiego, literatury i sztuki, gorliwie się zajmując teatrem, „Gazeta" pozyskała taką liczbę prenumeratorów, jakiej nigdy przedtem nie miała, mogła wypłacać niezłe honorarya i budziła rzeczywiście ruch umysłowy w społeczeństwie.

Starała się pójść w jej ślady „Gazeta Codzienna," ale już to z braku zręcznego redaktora, już to z braku funduszów, długo nie zdołała wywalczyć sobie poważniejszego stanowiska, dopóki jej nie nabył bankier Leopold Kronenberg i nie powierzył redakcyi najpopularniejszemu wtedy powieściopisarzowi, Kraszewskiemu. Ten w r. 1861 przemienił jej tytu na „Polską" i doprowadził cyfrę abonentów do niesłychanej wówczas cyfry 7,500.

„Gazeta Warszawska" miała swego feljetonistę w osobie *Aleksandra Niewiarowskiego* († 1892), „Gazeta Codzienna"—w osobie *Józefa Aleksandra Miniszewskiego* († 1863). Obaj należeli niegdyś do grona cyganów literackich; obaj już około r. 1843 pierwsze próby swego pióra drukiem ogłosili; obaj następnie wyszli zagranicę i lat kilka tam przebywali; obaj wróciwszy rzucili się do feljetonu i feljetonowych powieści. Niewiarowski pisał żywo, jaskrawo, nie wahał się używać wyrazów dosadnych, chętnie popisywał się gryzącym dowcipem i sarkazmem; charakter miał atoli nietylko lekkomyślny, lecz poprostu lichy i handlował swem piórem. „Gwiazdki" jego, t. j. feljetony w „Gazecie Warszawskiej" chciwie czytano; chociaż, jako związane z chwilą, dzisiaj nie mają wartości. Miniszewski pojmował swe zadanie poważniej. Występował jako Cześnikiewicz w „Listach do marszałka", drukowanych w „Gazecie Codziennej" w charakterze szlachcica, bardzo ceniącego swój klejnot, lecz pragnącego, żeby szlachectwo nierozłącznem było ze szlachetnością; gorąco zachęcał do zachowa-

nia i utwierdzenia charakteru narodowego, do wyrzeczenia się małpiarstwa zagranicy i życia nad stan, do poprawy rolnictwa, do rozumnego wspierania przemysłu i handlu. I Niewiarowski i Miniszewski pisywali także powieści, ale znaczenie tychże jest przeważnie publicystyczne. Niewiarowski dał nam poznać rodzinne swoje Podlasie i Warszawę, Miniszewski — Kaliskie. Z licznych szkiców pierwszego najznamienniejsze jest „Życie na żart“ (1855), malujące stosunki cyganeryi warszawskiej; z powieści drugiego „Szlachecka dusza na komornem w chłopskiem ciele” charakteryzuje się samym napisem, a „Życie w parafii,“ „Hypoteka szczęścia małżeńskiego” daje nam moralizatorskie zarysy prowincyi.

7. Nie potrzebujemy w tym okresie przedstawiać osobno ani literatury na wychodztwie, tracącej swe dawniejsze znaczenie, ani też działalności w poszczególnych prowincyach, gdyż wszyscy pisarze z różnych dzielnic pochodzący, zazwyczaj drukowali swe prace, nie tylko w swojej, ale i w innych.

Z naciskiem jeno zwrócić winienem uwagę na przebudzenie się świadomości narodowej nie tylko wśród Mazurów i Ślązaków pruskich, jak w okresie poprzednim, lecz także Ślązaków austryackich, w Cieszyńskiem. Głównymi sprawcami tego przebudzenia byli: *Piotr Stalmach* (1824 † 1891) i *Andrzej Cinciała* (1825 † 1898). Stalmach, urodzony w Bażanowicach pod Cieszynem, już w gimnazyum założył w Cieszynie towarzystwo celem kształcenia się i czytania w języku polskim. Ukończywszy studya filozoficzne w liceum preszburskiem (na Węgrzech), chciał wydawać czasopismo ludowe, ale nie uzyskał pozwolenia rządowego, i dopiero gdy w roku 1848 wskutek rewolucyi wiedeńskiej ludy, pod panowaniem Austryi zostające, swobodniej odetchnęły, założył przy pomocy kolegi swego Cinciały i adwokata Ludwika Kluckiego, „Tygodnik Cieszyński.“ Jako biedny nauczyciel, zarabiający lekcyami na utrzymanie, o chło-

dzie i głodzie wytrwale pracował nad oświeceniem ludu i choć liczba prenumeratorów nie pokrywała kosztów wydawnictwa, w pracy nie ustawał i do urządzenia czytelni publicznej polskiej się przyczynił. Gdy „Tygodnik“ został zakazany w Galicyi, gdzie miał więcej przedpłacicieli niż na Ślązku, musiał w lutym 1851 roku go zawiesić, lecz z początkiem r. 1852 znów wskrzesił pod zmienionym napisem: „Gwiazdka cieszyńska.” Władza rządowa robiła trudności; Stalmach przerwał znowu wydawnictwo; dopiero od marca 1853 regularnie je mógł czytelnikom dostarczać przez długie lata; sam najwięcej w niem pisząc z wielką umiejętnością przemawiania do ludu. W r. 1859 „Gwiazdka“ otrzymała debit w Królestwie Polskiem i byt jej został utrwalony. Dopiero na parę lat przed zgonem Stalmach odstąpił „Gwiazdkę“ stronnictwu katolickiemu, wydającemu pismo to do dziś dnia. W r. 1873 uczczono wielkie zasługi Stalmacha ogłoszeniem książki zbiorowej p. t. „Wisła,“ gdzie *Władysław Ludwik Anczyc*, pisząc jego życiorys, powiedział między innemi te słowa: „Maleńka Gwiazdeczka Cieszyńska jasnymi promykami rozdarła cienie kilkowiekowej nocy, ogarniając włościan śląskich, zelektryzowała ich ducha, wzbudziła w nich zamiłowanie do czytania i oświaty, doprowadziła do poznania praw swoich i dopominania się na prawnej drodze o nie.“

Przykład Stalmacha, Cinciały i Kluckiego rozbudził poczucie odrębności narodowej Ślązaków nie tylko od Niemców, ale i od Czechów, którzy ich zagarnąć chcieli, wytworzył z czasem instytucye, pomagające do utrzymania tego poczucia i przeprowadzenia go w praktyce życia domowego i publicznego (Towarzystwo rolnicze, Towarzystwo pomocy naukowej, Dom narodowy i t. p.). W zaprowadzeniu śpiewów polskich po kościołach na Ślązku austryackim najczynniejszym był pod koniec tego okresu

ksiądz *Jerzy Heczko*, który wydał „Kancyonał dla chrześcian ewangielickich“ (1865, Cieszyn).

8. Wyróżnić musimy w tym okresie dwie doby. Pierwsza z nich (1851—1855) przedstawia nam rozpanoszenie się reakcyi i bezwzględne panowanie belletrystyki; druga zaś (1856—1863) obok cech zasadniczych, spólnych z pierwszą, okazuje już zarodki dalszego rozwoju, przez wprowadzenie czynników naukowych (przyrodniczych głównie i ekonomicznych).

---

1. Doba pierwsza.

Panowanie reakcyi.

I. Czasy między r. 1851 a 1855, jako bezpośrednie przeciwieństwo okresu poprzedzającego, znamionuje najsilniej głoszone hasło zwrotu do poglądów przebrzmiałych. Filozofię niezależną potępiono zarówno w imię religii, jak w imię swojskości, zarzucając jej bezbożność i naśladowanie obcej duchowi narodowemu niemczyzny. A lubo odrzucono krańcowe potępienie rozumu i cywilizacyi spółczesnej, uwydatnione jaskrawo przez Henryka Rzewuskiego, nie kazano jednak rozumowi ufać, a cywilizacyi europejskiej zmateryalizowanej przeciwstawiono oświatę narodową, pełną jakoby zdrowia moralnego.

Najwymowniejszym rzecznikiem reakcyi religijnej staje się w czasopiśmiennictwie „Przegląd Poznański“ (wychodzący do końca roku 1865 pod redakcyą *Jana* i *Stanisława Egberta Koźmianów*), który z religijnego, jakim był poprzednio, staje się ultramontańskim, oceniającym wszystko—literaturę, sztukę, naukę, stosunki ekonomiczne i społeczne—ze stanowiska interesów Kościoła. W r. 1847 „Przegląd“ ten potępiał jezuitów, jako przedstawicieli „kosmopolityzmu chrześcijańskiego,“ oskarżał ich, „że nie dosyć szanowali wolne rozwijanie się indywiduów i po-

mimo wszelkich tradycyj pedagogicznych i skarbu psychologicznego doświadczenia wychowali ludzi na małoletnich," że „trzymali zawsze z możnymi", nie pomnąc na to, iż „Chrystus przyszedł szczególniej dla maluczkich," że „dawali wychowanie niezgodne z nauką Chrystusa, wychowanie wyraźnie arystokratyczne" i t. d. Ale od r. 1852 tenże sam „Przegląd" żarliwie występował w obronie jezuitów, pragnął rozkrzewienia się ich zakonu, a „kosmopolityzm chrześcijański" wcale go już nie raził: owszem był dla niego punktem wyjścia we wszelkich poglądach. Wobec tego głosu, umilkły wszelkie inne. Wypowiedziano wprawdzie protest przeciw „kosmopolityzmowi chrześcijańskiemu" (L. Żychliński: „Jezuici i ich dążność," 1853), ale na tem poprzestano. W. Ks. Poznańskie, które w poprzednim okresie kroczyło na czele ruchu postępowego, teraz stało się pod względem naukowym i literackim martwe, tak dalece, że obok „Przeglądu" utrzymywała się zaledwie skromna zbieranina literacka zwana „Pokłosiem" (od 1859 do 1862 r. sześć tomików), na dochód sierot wydawana. W innych dzielnicach wtedy jeszcze ultramontanizmu nie było; lecz poglądy religijne były zaznaczane silnie i odbijały się na wszystkich innych. Zagadnienia, dawniej rozbierane namiętnie, albo usuwano zupełnie z pod rozwagi jak np. emancypacyę kobiet, albo też rozwiązywano w duchu zgodnym z istniejącymi stosunkami, np. w sprawie włościańskiej.

Przeszłość uwielbiano zupełnie bezkrytycznie; co gorsza, podziwiano w niej nawet rzeczy zasługujące nie na pochwałę, lecz na potępienie. Przejawia się to i w poezyi i w powieści i w dramacie, jak niemniej w zarysach historycznych. Twórczość poetycka tej doby zniżyła swój lot i natężenie, przystosowując się do pojęć, wyobrażeń i sposobu mówienia, panujących wśród średnio ukształconego ogółu, który nadzwyczaj rzadko przebywał studya uniwersyteckie. Oddziaływa na nią nie „Pan Tadeusz", nie

twory Słowackiego, lecz nasza romantyczność pierwiastkowa, nieco zmodyfikowana. Cudowność, częścią ludowa, częścią kościelna, chętnie bywa brana za osnowę, lub też stanowi jej poetycką okrasę; daje się jej już wszakże kiedy niekiedy nieśmiałe wyjaśnienie psychologiczne, albo, co częstsza, znaczenie allegoryczno moralne. Podania byle jakie z przeszłości obrabiają się z wielkiem zamiłowaniem, choć pospolicie z małym artyzmem. Poufała forma „gawędy," pozwalająca się rozdymać dowoli, zapanowuje w literaturze. O kompozycyę mało kto dba, dając się unosić prawu swobodnego kojarzenia wyobrażeń. Przemowy autorskie i morały szeroko rozprowadzane w poezyi i powieści są częstsze niż kiedykolwiek. O „przedmiotowości" opowiadania myślą tylko bardzo nieliczne wyjątki. Zazwyczaj autorom chodzi tylko o styl „kontuszowy," naśladowany z „Pamiętników Paska", z „Pamiątek Soplicy," czasami z oracyj staroświeckich, o ile przedstawiają przeszłość; albo o znamienne wyrażenia prowincyonalne lub indywidualne, o ile malują teraźniejszość. Ludowy pierwiastek dosięga w twórczości jednego z poetów największego stopnia artyzmu, na jaki się dotychczas w tym zakresie zdobyto.

Powrotną falą pierwocin romantyzmu jest też ocknięcie się pierwiastku dydaktycznego tak ulubionego klasykom, a teraz dość obficie ukazującego się we wszystkich poematach w formie morałów, prócz tego zaś wybitnie w twórczości najgłośniejszej ówczesnej poetki. W związku z tem ocknięciem się był ponowny, chociaż szczupły udział starych klasyków lub ich przyjaciół w literaturze, jako to: *Kajetana Koźmiana*, *Franciszka Wężyka*. Odczuli oni niejakie pokrewne nastroje i przerwali długoletnie swe milczenie.

Cztery nazwiska poetów pozyskały olbrzymi rozgłos w tej dobie: Wincenty Pol w drugiej fazie twórczości swojej, Władysław Syrokomla, Teofil Le-

nartowicz i Deotyma. W przedstawieniu ich natchnień nie będę się trzymał ram tej doby wyłącznie; postaram się je odtworzyć w całości, gdyż zmian ważnych po roku 1855 w ich tworzeniu nie dostrzegam.

II. WINCENTY POL, zostawszy w listopadzie r. 1849 profesorem jeografii powszechnej w uniwersytecie krakowskim, wykładał ten przedmiot przez trzy lata, t. j. do końca r. 1852. W tym czasie ogłosił, prócz kilku rozpraw pomniejszych, dwa wyciągi ze swoich odczytów: „Północny Wschód Europy pod względem natury“ i „Rzut oka na północne stoki Karpat.“ Pierwszą z tych prac, podaną tylko jako zeszyt pierwszy, wydał w całości dopiero w r. 1869—71, dopełniwszy ją „Obrazkami z życia i natury,“ pisanymi już to stylem belletrystycznym, już to urzędowo sprawozdawczym. Pod względem ściśle naukowym nie przyniosła ona podobno nic nowego, a w części (co do geologii) była błędną; pod względem zaś literackim nie celowała wielkiemi zaletami i poczytną nie stała się nigdy. O Polu jako jeografie, starającym się pójść w ślady Humboldta, wiedział mało kto; słynął on jedynie jako poeta. Pomimo bowiem posady uniwersyteckiej tworzyć nie przestał, a gdy ją z 1 stycznia r. 1853 utracił, oddał się poezyi całkowicie i utrafiwszy w smak chwili, osiągnął popularność nadzwyczajną.

Z dawnego piewcy ludu wiejskiego i miejskiego, co kochał wprawdzie szlachtę, lecz ją nazywał „znarowioną“ i pragnął, by Bóg dał jej „rozum kmiecy“, z piewcy, który sztabowcom wymuskanym rzucał ostre sarkazmy, a niecierpiał półpanków, Pol przemienił się teraz na bezwzględnego wielbiciela przeszłości szlacheckiej, poczytując ją w czambuł za rozumną i zacną oraz przeciwstawiając jej bezwzględnie nowsze czasy, poczynając od rewolucyi francuskiej, kiedy wraz z religią i pobożnością wygnano z obyczajów szlachetność, poświęcenie, a nawet pro-

stą uczciwość. Nie przeczył on wprawdzie, że i dawniej „było złego wiele“, te jednak złe strony życia przeszłości tłómaczył z niesłychaną pobłażliwością synowską, twierdząc, że religia, węzły rodzinne i opinia publiczna powstrzymywały występne zapędy i czyniły najzacniejszych obywateli z głów wichrowatych. Wyrozumiałość ta najściślej się łącząc z uwielbieniem, paczyła sądy poety, nasuwała mu sofistyczne wyjaśnienia postępków, świadczących wprost o zaniku poczucia prawdy i istotnej moralności. Wyśmiewa on np. „ciemięgów“ piszących, że w Rzeczypospolitej „możne domy stały tylko starostwami, a szlachta dworską służbą za panów plecami“, bo jego zdaniem „możne domy stały tradycyą narodu, a szlachta stała w życiu familijną radą“. Taki jest morał przez Pola rzucony w oczy nowszym czasom, kiedy „Bogu niema świeczki, lecz bies ma gromnicę“. Ale gdy mu przyjdzie opowiadać fakta, to się okaże, że owe „ciemięgi“ nie tak bardzo pobłądziły, gdyż oto „byle sygnet na palcu, łyżka za cholewą, to się pomknął gdzieś szlachcic i w prawo i w lewo, i ktoś go potrzebował i przecież coś znaczył, i niejeden go chlebem i przyjaźnią raczył.“ A któż górą na sejmiku? Pol nie zająknie się w odpowiedzi:

. . . . Ani ten, co z rodu,
Ani ten, co z zasługi znany u narodu,
Ani głowacz, ni siłacz, ni bogacz mosanie,
Ale ten, co najraniej umiał dać śniadanie.

Nie zawaha się dać nawet objaśnienia, bardzo naturalnego wprawdzie, lecz nie bardzo zalecającego podniosłość tradycyi i mądrość familijnej rady:

Bo to głosy wychodzą przez gardło i zęby,
I grzeczne za nadobne—więc daj co do gęby...
Kochasz? Kocham!—To daj jeść—i buzi i basta!
Bo datuje się zwyczaj takowy od Piasta.

Myślałby kto, że to ironia przemawia z poza słów poety? Zapewne, gdy był Januszem, na taką ironię pozwoliłby sobie; ale w tej dobie przy skrzywionem zapatrywaniu się na przeszłość szlachecką, to tylko mimowolna rubaszna szczerość, nie przeszkadzająca bynajmniej unosić się równocześnie nad rozumem, zacnością i szlachetnością przodków. Inaczej niepodobna tego nazwać jak zaślepieniem; bo gdyby poeta rozważnie wybierał temata do swoich „gawęd", toby przecie potrafił znaleźć w dziejach naszych osobistości i wypadki, wymownie świadczyć mogące o cnotach naddziadów. Ale on po większej części opowiadał właśnie takie zdarzenia, które tej tezie były wprost przeciwne i usiłował je oświetlić z jaknajlepszej strony. Zdarzenia te, rozważane same w sobie, mają cechę anegdotyczną, a pomimo swojej błahości, gdyby opowiedziane były tak jak „Przygody JMPana Benedykta Winnickiego w podróży z Krakowca do Nieświeża", t. j. bez żadnych uwag ze strony samego opowiadacza, możnaby im było przyznać, choć w mniejszym stopniu, zalety tego utworu, możnaby je uważać za znamienne rysy krewkich, ale poczciwych animuszów szlacheckich. Oświetlenie atoli, w jakiem je Pol nam ukazał, zmienia ich znaczenie i zamiast podnosić, obniża ich wartość moralną i estetyczną.

Najwięcej zarzutów w tej mierze zrobić można „Senatorskiej Zgodzie" i „Sejmikowi w Sądowej Wiszni", ogłoszonym w r 1853—4 wraz z trzeciem wydaniem „Przygód Winnickiego", jako dalsze jego „Pamiętniki". Wiemy od Aleksandra Tyszyńskiego [1]), że „Senatorska Zgoda" ukończona już była w roku 1845, ale nie wiemy, czy w owoczesnem obrobieniu znajdowały się już te ramy moralizatorskie, jakie widzimy w druku. Mnie się zdaje, że ich jeszcze nie było, że dorobił je poeta dopiero po r. 1850, ażeby

[1]) Wizerunki Polskie, Warsz. 1875, str. 286.

niezbyt budującą anegdotę o podzieleniu się szlachty sanockiej na dwa obozy, z powodu że pan Bal podkomorzy starostę Mniszcha nazywał uparcie Mniszkiem. Zajściu, może krwawemu, jakieby z tej niezgody wyniknąć musiało, przy zbliżającym się sejmiku, zapobiegł biskup Krasicki zręcznie i dowcipnie pomyślaną przypowiastką o Leszczyńskim i Popielu, a wypowiedzianą podczas uczty. Że Bal i Mniszech pogodzili się, temu łatwo uwierzyć, ale żeby przez to miała trwale zapanować zgoda w ziemi sanockiej, jak zapewnia Pol, temu nikt, znający moc nałogu, uwierzyć nie zdoła; kostyczność i uraźliwość nie dają się zażegnać najpiękniejszym nawet toastem; zgoda będzie trwała póty, póki się wrażenie chwilowe podchmielonych nie ulotni, a później nastąpią dawniejsze stosunki—i cały morał poety w niwecz się obróci.

Tak samo rzecz się ma i z „Sejmikiem w Sądowej Wiszni“, tylko że ta anegdota jest jeszcze błahszą a morał jeszcze niewłaściwszy. Więcej tu kłótni, burd, pijatyk, a węzeł niewybrednej intrygi na tem polega, iż jedno stronnictwo spoiwszy członków drugiego, gdy się spać pokładli, pościągało im szarawary i uniemożliwiło stawienie się w kościele, gdzie dokonywano wyborów. Za to ci mszcząc się następnie przy zakończeniu sejmiku, dobyli szabli, i byłoby przyszło do siekaniny, gdyby nie wyszedł ksiądz z Przenajświętszym Sakramentem i nie zażegnał burzy. Pol wielbi szlachtę, że się tak ukorzyła przed świętością i za wzór ją nam stawia... Czyż to ukorzenie się przemieniło usposobienia szlacheckie? Czyż na sejmiku następnym nie zajdą znowu kłótnie i burdy? Czy zmieni się w czemkolwiek stosunek jednych do drugich? Czy nie będzie górą ten, co „najraniej da śniadanie“? Pol takich pytań nie zadaje sobie; nie wnika wcale w istotę rzeczy; płytko i powierzchownie rozwodzi się nad zacnością żartkiego animuszu, co nie może długo trwać w rankorze, i z try-

umfem przywodzi swą anegdotę na pohańbienie naszych czasów, wykrzykując:

Pokaż mi dziś człowieka, coby w imię Boga
Miecz zatrzymał nad głową, gdy ma w ręku wroga!..

Inne gawędy nie zawierają wprawdzie tak jaskrawych przeciwieństw między zdarzeniem a morałem, ale pod względem błahości tematu nie ustępują powyższym. „Stryjanka“ — nazwa tańca — (Warsz. 1861) mieści rozwlekle opowiedzianą historyę rodu Bączalskich, którym wskutek przekleństwa prababki jeden się tylko syn wychowywał, a treścią właściwą jest spór odwieczny dwu spokrewnionych rodzin o mniemany skarb, jakoby w Bączali ukryty. Spór ten doprowadza do najazdu, zakończonego pomyślnie przez małżeństwo przybranego syna ostatniego z Bączalskich z córką przeciwnika. Ważną w tem pogodzeniu rolę ma gra Bączalskiego na skrzypkach, gdyż nią zapędził grono tańczących w mury zameczku i zmusił do kapitulacyi.—W „Staroście Kiślackim“ jądro opowiadania zajmuje bunt ukochanego charta Sokoła, który pieszczony dawniej a potem ukarany za szkodliwe figle, uprowadził całą psiarnię w góry i dopiero dał się ubłagać Jagusi. Sama ta przygoda jest interesująca jako pierwszy u nas przykład psychologii zwierząt, ale za szczupła na wytworzenie obszernej opowieści, która musiała się sztukować różnemi dygresyami.

Wogóle mówiąc, ponieważ treść zasadnicza tych gawęd jest bardzo szczupła, wielką w nich rolę odgrywać muszą epizody, a raczej dygresye, złożone z anegdot, dykteryjek, luźnych obrazków i t. p. Poezyi w tem wszystkiem jest bardzo mało; a często brak jej zupełny. W wysłowieniu panuje najczęściej proza, charakterystyczna, coprawda, pełna zamaszystości i jowialnych zwrotów w stylu kontuszowym, gdzie przysłowiowe wyrażenia, nieraz bezmyślne

(„więc ale“), dobrze znamionują ludzi rozumujących i mówiących nie indywidualnie, lecz sposobem tradycyjnym. Rozwój opowiadania jest słabą stroną ich charakterystyki. Pol miał dosyć wyobraźni, by nakreślić śmiałą ręką kształty zewnętrzne i psychologię osób w grubszych rysach, ale nie umiał osobistości swych wprawić w ruch, nie umiał rozwinąć akcyi, ani pogłębić charakterów. Jak nakreślił z początku pewną postać, tak ją już pozostawiał bez zmiany do końca. O ile treść gawędy zawierała się w drobnym przeciągu czasu, właściwość ta nie raziła, ale gdy się rzecz przeciągała na całe lat dziesiątki, czuło się dziwną skamieniałość osób. A i w samej ich plastyce niewiele można odnaleźć zalet, bo wszyscy przedstawiciele szlachty są nader do siebie podobni, tak że ich czasami tylko po przysłowiu wyróżnić można, albo po specyalnem jakiem zamiłowaniu.

I takie utwory, które Pol od gawęd odgrodził odrębnem określeniem, zowiąc je „poematem“ lub „rapsodem rycerskim“, mało w gruncie rzeczy od nich odskakują pod względem samej roboty. Ważniejszy w nich bywa temat; styl kontuszowy częściowo przynajmniej znika; lecz kompozycya pozostaje równie niespójną, a wysłowienie rzadko kiedy nabiera polotu. Byłoby jednak błędem utożsamiać „Wita Stwosza” (1855, Kraków) i „Mohorta“ (tamże t. r.) z gawędami wcześniejszemi od nich, czy późniejszemi.

W „Wicie Stwoszu“, początek—charakterystyka wieków średnich, Norymbergi, pierwsze ukazanie się Stwosza z wnuczką—jest wspaniały i mieści w sobie kilka obrazków i kilka porównań mistrzowskich; ale ciąg dalszy, włożony bez dostatecznego powodu w usta samego snycerza, w niektórych jeno miejscach wykazuje talent niepowszedni, a w ogóle swoim i w myśli przewodniej jest słaby i niesmaczny. Z głębokiem poczuciem trwogi artysty, przystępującego do pierwszej większej pracy, odmalo-

wał Pol rzeźbienie krucyfiksu przez Stwosza, zwłaszcza kiedy „przyszło Panu bok otworzyć“:

Na to już w końcu nie stało odwagi
I grzeszne dłuto musiałem odłożyć,
Bo Pan przede mną stanął w prawdzie nagiej,
A bez obrony jako na Golgocie.
Więc jakaś dziwna trwoga serce zjęła,
Jakby mię szatan opętał w robocie
I uciekałem od mojego dzieła.....
U sakramentów szukałem ratunku.....

Późniejsze atoli przejścia coraz to bledziej się zarysowują; motyw zaś tragiczny, stanowiący o losach nieszczęśliwych mistrza, jest dla nas dzisiaj poprostu śmieszny. Stwosza spotkała hańba piętnowania w Norymberdze, nie tyle za to, że szukał sławy u postronnych, że nie przylgnął całkowicie do ziemi rodzinnej (Pol uważał Stwosza za Polaka), ile za to, że zgrzeszył pychą, odrzucając ofiarowane sobie przez Długosza szlachectwo..... Poeta napomyka niby to względy praktyczne, iż tytuł szlachecki byłby go ochronił w Norymberdze od kaźni; ale w istocie rzeczy szło mu o samo wzgardzenie klejnotem szlachectwa, gdyż punkt ten uwydatnił najwyraźniej.

„Mohort“, uważany zazwyczaj za najcelniejszy utwór Pola, ma zasadniczy pomysł dobry: obraz rycerza kresowego, czujnego jak żóraw, wyłącznie i jedynie oddanego aż do zgonu służbie kraju; lecz pomysł ten ułomnie został wcielony w kształty poetyckie. Przedewszystkiem bohater ten zamało działa; widzimy w nim nieruchomy niemal posąg, tak że i jego zgon na Boryszkowieckiej grobli nie wywiera należytego wrażenia. Powtóre, zamało w nim rzutkości myśli, gdyż cała jego duchowa strona polega na formalistycznej, a poczęści zabobonnej pobożności i na wzgardzie warszawskich modnisiów i całej francuskiej ogłady. Potrzecie, kompozycya poematu jest zbiorem 6-ciu luźnie ze sobą złączonych obrazów, nie wiążących się ze sobą ani chronologicznie, ani

psychologicznie, a przedstawiających nam jakby na wywrót dzieje bohatera od starości sędziwej (w 1-ym obrazie) do wspomnienia (w 5-ym) młodocianej, jeszcze za czasów wojny szwedzkiej, miłości do Anusi Różańskiej; dopiero po tem ostatniem wspomnieniu następuje opis bohaterskiego zgonu, bez żadnej spójni psychologicznej z obrazem poprzednim. Opowiadanie o owej pierwszej i jedynej miłości rycerza, ujęte w słowa proste, ale tętniące głębokiem uczuciem, jest najpiękniejszą rzeczą, jaką w tym rodzaju Pol kiedykolwiek napisał. Być może, iż epizod ten powstał o wiele wcześniej, niż całość rapsodu, wiadomo bowiem, że niektóre tegoż części były już napisane w pierwszych latach po roku 1840 ym.[1]) Pięknym również jest obraz pierwszy, przedstawiający zasadnicze rysy charakteru rycerza kresowego.

Zarysy tylko! Bo na stworzenie wielkiej postaci w ruchu nie stawało sił Polowi. Okazało się to w najobszerniejszym poemacie jego: „Hetmańskie pacholę“ (Warszawa, 1862), słusznie nazwanym przez samego autora „*Dyaryuszem* Walentego Rożanki ” Wiek XVI jest tłem, na którem rozsnuwa się opowiadanie, a Jan Tarnowski mógł dostarczyć wątku wyobraźni do wzniosłych obrazów. Pol i ze stulecia tak bogatego w ruch duchowy i z postaci tak imponującej zdołał wytworzyć jeno suchą i nudną kronikę, w której nawet swego zamaszystego, kontuszowego stylu rozwinąć nie mógł. Takież niedobory są w rapsodzie „Z wyprawy wiedeńskiej“ (1865, Lwów).

W „Pieśni o domu naszym“ (1866) chciał poeta dać dopełnienie „Pieśni o ziemi“. Starał się przybrać ton dawniejszy, użył formy dawnej 8 zgłoskowego wiersza, którą tak świetnie władał niegdyś, ale prócz kilku ładnych ustępów (początkowych głównie) dał niespójne, ciągłemi refleksyami przerywane obraz-

[1]) Kornel Ujejski: „Listy z pod Lwowa“ (Lipsk, 1861, str. 143).

ki kilku zwyczajów narodowych (kulig, święta wielkanocne, sobótka i t. p.).

Prócz epiki i dydaktyki, uprawiał Pol także lirykę i w r. 1856 zebrał swe pieśni w sporym tomie p. t. „Poezye: Z podróży po burzy". Pomieścił tu, jak sam oświadcza, „kilka wspomnień świętych z wieka, pierwszych natchnień bożą rosę, kilka cichych wrażeń z boru i z klasztoru i ze dworu; trochę świeżych liści z dębu, trochę wonnych malin z zrębu i konwalij trochę z puszczy i zielonych trochę bluszczy". Jako liryk nie był Pol egotystą; własne radości czy smutki chował w głębi duszy i czasami tylko wśród wielkiego ucisku serca wydobywał się jęk, tłumiony zaraz uczuciem rezygnacyi. Za najpiękniejszy w tym względzie słusznie uchodzi „Makowe ziarnko" — rodzaj spowiedzi z tego, co poeta zamierzał a co zdziałał. Ale i ten wiersz jest raczej szeregiem rozmyślań, niż wybuchem uczuciowym. Wogóle powiedzieć można, iż liryzm czysty, to jest z samego bezpośredniego uczucia płynący, jest nadzwyczaj rzadkiem zjawiskiem w poezyach Pola; najczęściej mieszają się z nim pierwiastki epickie i refleksyjne. Tak np. w cyklu drobnych wierszy: „Z podróży po burzy" zaledwie pierwsze dwa: „Miłościwe lato" i „Przebolało" mogą być uważane za czysto liryczne, gdy reszta—to mieszanina mniej lub więcej poetyczna rozmaitych rodzajów twórczości: obrazków, gawęd maleńkich, legend, rozmyślań, opowiadań.

Pol nie był poetą subtelnych uczuć, nie zapuszczał się w głębiny myśli, choć w początkach swego zawodu przyjaźnił się z Kremerem, a w nieco późniejszym czasie, ale przed r. 1850, wielbił Trentowskiego; nie rozporządzał wielkimi skarbami wyobraźni, która była bierną i umiała odtwarzać tylko rzeczy widziane, słyszane, doznane; samoistnie w wieki odległe przenieść się nie umiała; nie można go nawet nazwać mocarzem języka i stylu, gdyż pomimo przyswojenia sobie toku mowy staropolskiego, pomi-

mo wsłuchiwania się w gwarę ludu (górali) i szlachty, skąd zaczerpnął wiele wyrazów i zwrotów, nie pozbył się on wielu błędów, wynikłych z dość późnego zaznajomienia się z polszczyzną i to polszczyzną galicyjską. Skutkiem takiego stanu umysłowego było, że zarówno w rzeczach smaku jak w formułowaniu poglądów ogólnych napotkać można u Pola dziwną mieszaninę płytkości i głębi, piękna i brzydoty, poczucia miary i przesady karykaturalnej. Jak w najgorszych nawet jego utworach znajdują się tu i owdzie wiersze prześliczne, obok całkiem niesmacznych; tak w jego zdaniach sąsiadują z sobą paradoksy staroszlacheckie w tym np. rodzaju: „Kochałem ja pieski, więc kocham i cnotę“ (*Starosta Kiślacki*) i myśli jakby żywcem z ust Trentowskiemu wyjęte: „Kto nie dobył Boga z siebie, Temu niema zmartwywstania“ (*Pieśń o domu naszym*). A w stylu obok ładnych, z natury wziętych porównań, idą całkiem prozaiczne stronice; obok połączeń zręcznych, całe szeregi zdań zjednoczonych za pomocą spójnika *i* (w „Stryjance“ 11 wierszy po sobie następujących tak się zaczynają), całe szeregi wierszy z wtrąconemi najniepotrzebniej: *więc*, *tam* i t. d.—Przyznać mu jednak potrzeba, że „torował sobie drogę własną“, że posiadał w poezyi styl sobie właściwy, że mówił po prostu, szczerze i bez ogródek to, co w danej chwili myślał i czuł. Ponieważ tworzył w ciągu lat 40 wśród okoliczności bardzo doniosłego znaczenia, które na pojęcia wpływ wywierały potężny i ponieważ nie miał ściśle wyrobionych zasad filozoficznych, ani też nie był opanowany jedną silną namiętnością, nie trwał tedy przy tych samych, raz wypowiedzianych przekonaniach. Tkwiło w nim atoli zawsze jedno niezmienne uczucie, wiążące go serdecznie z ogółem, uczucie wyśpiewane niejednokrotnie, a najwyraźniej w „Pieśni o ziemi“ i o „domu“, uczucie, które go uczyniło sympatycznym i popularnym. Choć doznawał niekiedy razów krytyki bolesnych, które odczu-

wał strasznie, przejmując się coraz bardziej niechęcią do chwili bieżącej, wiedział przecież, że jest szanowany, bo dowodów uznania ociemniałemu pod koniec życia autorowi „Pieśni Janusza“ nie brakło.— Zmarł w Krakowie 2 grudnia 1872 i pochowany został na Skałce w grobie zasłużonych. Zbiorowe wydanie „Dzieł wierszem i prozą“ wyszło r. 1878 we Lwowie w 10 tomach.

III. Mniej poważnie, lecz wnikliwiej do serca przemawiał drugi słynny gawędziarz tej doby, LUDWIK KONDRATOWICZ (1823—1862), pisujący pod pseudonimem *Władysława Syrokomli*. Był on śpiewakiem, nie zamożnej, karmazynowej szlachty jak Pol, lecz biednej, szaraczkowej. Urodzenie, wychowanie, wpływy literackie w pierwszej młodości odebrane, wyrobiły w nim żywą skłonność do demokracyi szlacheckiej i tej skłonności pozostał wiernym do zgonu. Przyszedł na świat we wsi Smolhowie, na błotnistem Polesiu, w rodzinie ubogich dzierżawców. Czytać uczył się na „Złotym Ołtarzyku,“ a w szóstym roku życia „podarł już na szmaty“ dziesięć tomów dzieł Krasickiego, zatapiając się w nie tak gorliwie, że z owych czasów zapamiętał nawet ważniejsze dyalogi Lucyana i głośniejszych bohaterów Plutarcha, co mu, jak zapewnia, wielką było pomocą w nauczeniu się historyi starożytnej. Nauki aż do klasy IV-ej pobierał u dominikanów w Nieświeżu, co później upamiętnił w „Szkolnych czasach Jana Dęboroga“. Do matematyki nie okazywał upodobania; językami, historyą, jeografią zajmował się chętnie. Piątą klasę bez szczególnego pożytku ukończył w Nowogródku.

Przy charakterze powolnym, rozważnym, nieśmiałym a upartym, zachowywał pewną niepodległość umysłu i niewiarę we wszelką „powagę;“ serce miał miękkie i wielce wrażliwe. O rozwoju literatury nie mógł w szkole nabrać należytego pojęcia; wyznawano tam jeszcze zasady pseudoklasycyzmu; teoryi wy-

mowy i poezyi uczono z dzieł Euzebiusza Słowackiego, o Mickiewiczu i wogóle o ruchu romantycznym nie wspominano zgoła. Najważniejszą korzyścią, jaką Ludwik wyniósł ze szkolnego wykształcenia, była dość dobra znajomość łaciny, która miała mu następnie utorować drogę do dalszego rozwinięcia umysłu.

Oddany przez ojca w r. 1840 do kancelaryi Radziwiłłowskiej w Nieświeżu, pracował w niej blizko lat 5, zaznajamiał się z dokumentami dziejowymi, czytywał dużo po polsku i po francusku, o ruchu literackim dowiadywał się z „Tygodnika Petersburskiego“ i z „Athenaeum“ Kraszewskiego. Znamienną jest rzeczą, że pierwsze jego wiersze nie są bynajmniej poezyami miłosnemi (choć się podkochiwał nieraz od roku już 1839), lecz utworami żartobliwymi, wywołanymi przez stosunki towarzyskie. Pisał je oczywiście w formie preudoklasycznej, bo innej jeszcze nie znał („List Krysztalewicza z pól Elizejskich do Rajmunda Baranowskiego“ i t. p.). Dopiero w r. 1843 daje się w jego wierszach widzieć znajomość poezyj Mickiewicza, ale płomienne „Dziady“ wywołują w nim narazie tylko skłonność do parodyi, jak to zaświadcza żartobliwe przerobienie piosnki: „Z pałaców sterczących dumnie“... W r. 1844 pojawiają się pierwsze u niego rymy męskie i w tymże roku pierwsze oświadczenie miłosne, bardzo blade, do ubogiej panny Pauliny Mitraszewskiej, która miała zostać jego żoną.

Po ożenieniu osiadł na maleńkiej dzierżawie w Załuczu, niedaleko od Mira. Wielka tu rozpościerała się bieda; dach zaciekał; nieraz nie było nawet czterdziestówki do rozporządzenia; przytem brak towarzystwa i książek dotkliwie uczuwać się dawał. Młody małżonek czasami sądził, że mu serce wyschło do szczętu, że nie ma ani jednej myśli zdrowej w swej głowie. Pisał jednak. Tworzył pierwsze swe sonety na wzór Mickiewicza („Wspomnienia Nieświeża“). Nie ufając jednak w swe siły, nie miał

odwagi wysłać swych wierszy do jakiego czasopisma. Zdecydował się nareszcie. Gawęda „Pocztylion“ została wydrukowana r. 1845 w „Athenaeum“, a gdy ją w katalogu księgarza Glücksberga nazwano „prześliczną“, radość twórcy była niezmierna; zanotował ją w swoim dzienniku: „O Boże! ukląkłem, coś mówiłem na podziękowanie Ci, ale wiem, żem Ci lepiej dziękował sercem niż usty. Począłem ściskać żonę, płakać z radości; nastawić kazałem samowar, słowem godzin kilka nie posiadałem się z radości“... Wszedł w stosunki literackie listownie. Kraszewski w „Athenaeum“ pomieszczał i jego powiastki prozą („Rywale,“ „Stary kawaler“) i króciutkie biografie i wierszowane gawędy czy inne poezye („Trzy gwiazdki,” „O moim starym domku,“ „Do niemowlęcia”). Zaproszony do współpracownictwa w „Gwieździe”, mającej wyjść jako wyraz opozycyi przeciwko „Tygodnikowi Petersburskiemu,“ dał do niej legendę o „Świętym Sadoku,“ ale podpisał się tylko literami N. N. Z opozycyą tą młodocianą spółczuł, a gdy mu się zdarzyło spotkać gdzie studentów uniwersytetu, chciwie przysłuchiwał się ich rozprawom, bolejąc niewątpliwie, że sam wyższych studyów nie przechodził. Nieufność względem własnego talentu trwała w nim wciąż i lubo już w r. 1846 przepisał był do druku zbiorek poezyj swoich, nie wydał go jednak, ale powziął myśl przysłużenia się ogółowi przekładem poetów-Polaków, co pisali po łacinie, a gdy ten zamiar zyskał pochwałę Kraszewskiego, wziął się żwawo do pracy i już w r. 1848 ogłosił tłómaczenie poezyj Janickiego, a w latach następnych (do 1852)—Kochanowskiego, Klonowicza, Szymonowicza, Sarbiewskiego i innych pomniejszych. Chociaż Syrokomla naginał pierwotwory do swojego sposobu pisania, a więc nie zawsze mógł je oddać wiernie, tej mu zasługi zaprzeczyć nie można, że udostępnił publiczności poznanie utworów, obcych jej i nieznanych z powodu języka. Studya nad nimi poprowadziły go do myśli

napisania popularnych „Dziejów literatury polskiej,“ głównie na podstawie materyału, znalezionego w znanem dziele Michała Wiszniewskiego, z dodatkiem atoli własnych spostrzeżeń co do piśmiennictwa polskiego w języku łacińskim, z którem się osobiście zapoznał. W pracy tej (ogłoszonej w dwu tomach r. 1851—1852 w Wilnie) doprowadził opowiadanie o dziejach literatury naszej do połowy wieku XVII. Dalszemu jej ciągowi stanęły na przeszkodzie dwie głównie okoliczności: brak takiego przewodnika jak Wiszniewski i zajęcie się twórczością oryginalną.

Poezye, pomieszczane w czasopismach, rozgłosiły jego nazwisko, a raczej pseudonim. Syrokomla zapragnął być bliżej ogniska ruchu umysłowego i w r. 1852 przeniósł się do Wilna; na niedługo jednak, bo w mieście żyć nie umiał, lubo się „tej trudnej sztuki“ nauczyć starał. Otaczało go wprawdzie zewsząd współczucie; wszystkie znakomitości wileńskie garnęły się do niego; ale gwar miejski i konieczność utrzymywania ciągłych stosunków towarzyskich nie były żywiołem odpowiednim dla Syrokomli, przywykłego do ciszy i samotności. „Gdyby nie noc—powiadał wówczas—nie miałbym ani chwili czasu na pracę intuicyjną.“ Usiłował usuwać się od gwaru, a wpływów swych użyć na „wyniszczenie koteryj,” na zaszczepienie harmonii pomiędzy tymi, którzy „stojąc na wznioślejszem stanowisku, dobry przykład stawić powinni.“ Zawiódł się w tej mierze mocno. Już w połowie r. 1853 przenieść się musiał do Borejkowszczyzny, pod Wilnem, upadłszy pod „komarowemi żądłami“ plotek i obmowy ludzi, co go zrozumieć nie chcieli, czy nie mogli. W tym roku 1853, wyszła pierwsza własna książka Syrokomli z poezyami, zawierająca „Gawędy i rymy ulotne,“ a w następnym, najświeższy jego poemacik: „Urodzony Jan Dęboróg,“ tworzony ułamkowo już od r. 1846. Obie książki, to owoc zacisznej pracy we

wsi Załuczu, i dają nam poznać talent Syrokomli w najczystszym wyrazie.

Ani rozum, ani fantazya autora „Gawęd“ i „Dęboroga“, nie wprawiają nas w zachwyt. Rozum, nie pogłębiony nawet tak ulotnemi studyami filozoficznemi, jak u Pola, z natury nie mający skłonności do zagłębiania się w tajniki czy to przyrody, czy społeczeństwa, czy duszy jednostkowej, wystarczał mu tylko na rozejrzenie się w powszednich stosunkach życia codziennego, a w tem, co po za jego zakres przechodziło, szukał rozwiązania w katechizmie. Niechęć do uznawania „powagi“ nie rozciągała się wcale do spaw i zagadnień religijnych, przyjętych trybem tradycyjnym od dzieciństwa. Cudowność—o ile przez Kościół nie była stwierdzona—w trzeźwiejszych chwilach poddawał Syrokomla łagodnej krytyce, powiadając np. ustami księdza definitora, że „czasem szatan widmami do złego nas drażni, ot *prosto z duszy naszej* wyrobi upiora i postawi przed oczy.“ W takichże chwilach sarknie i na przeszłość historyczną, i na tradycyjną mądrość narodu, wyrażoną w przysłowiach, wołając: „Cóż to! czy my dzieci? Ktoś dwa słowa skleci, to dlatego zapomnieć przykazania Boga!“ Ale innym razem i cudowność uzna, i przeszłość nazwie „świętą“, i przysłowia poszanuje, szeroko prawdziwość ich przedstawiając. W zawilszych zagadnieniach nie mógł sobie poradzić, i z boleścią duszy, szarpanej wątpliwościami, wyznawał głośno, a niewytwornemi słowy:

Dziś, gdy człowiek sam nie wie, choć usilnie bada,
Co jest biało, co czarno, co prosto, co krzywo,
Jako chmiel bez podpory na ziemię upada,
Aż zginie przygłuszony ostem i pokrzywą.
Gdy ludzkość bolejąca zgodzić się nie może,
Co jest fałsz, a co prawda, co szpetne, co piękne,
Człek załamuje ręce: o Boże mój, Boże!
Co mi trzeba podeptać, a przed czem uklęknę?

Uspokajał się atoli łatwo; nie znał udręczeń trwałych niezaspokojonej myśli rozbiorczej; poprze-



Ludwik Kondratowicz (Władysław Syrokomla).

(Według rys. W. Podkowińskiego z Tygodnika Ilustrowanego).

Niechaj grecki Homerus albo rzymski Maro
Klecą o ~~st[illegible]~~ o Trojańszczyźnie epopeję starą
Niech Tasso głosi dzieje krzyżowców [illegible]
Milton raj odzyskiwa, Dante śmierć ogłasza
Niech jeden gra na lutni, drugi na multance
Wszak krainy rymowej bezbrzeżne są krańce

Autograf Syrokomli.

(Ze zbiorów Leopolda Meyeta).

stawał na prawdach, dostępnych dla rozsądku i na dogmatach.

Fantazya Syrokomli nie szybowała wysoko, trzymając się blizko ziemi. Odtwarzała wybornie to, co widziała naokoło siebie: pola, bory, chaty, dworki, kościołki i cerkiewki, szlachtę zaściankową, dzierżawców, strzelców, księży, organistów, zakrystyanów, starych prostych wiarusów, służbę folwarczną i trochę postaci z ludu wiejskiego, wreszcie i obyczaje tej warstwy „szaraczkowej,“ wśród której poeta urodził się i przeżył najwrażliwsze lata. Gdy chodziło o twórczość wyższego rodzaju, o malowanie tego, czego się własnemi nie widziało oczyma, co się tylko poznało z książek lub mglistego podania; gdy chodziło o skreślenie wielkich ludzi, wielkich wypadków, wielkich namiętności, wielkich uroczystych obchodów lub bitew, fantazya Syrokomli gubiła się w ogólnikach, bladła w określeniach, lub wyuczonych z książek porównaniach. Potężnych charakterów, wrzących uniesień, wzniosłych polotów, nigdy oddać nie potrafiła. Plastyczność jej, podobnie jak u Pola, odnosiła się przeważnie do strony zewnętrznej i gdzie to dla scharakteryzowania postaci lub położenia wystarczało, tam powstawały rzeczy piękne, wykończone, jak „Dyferencya“, „Kradzione“—a z późniejszych: „Kapral Terefera i kapitan Szerpentyna“, lub też śliczne ustępy w mniej udatnych całostkach. Natomiast, gdzie ta zewnętrzna charakterystyka nie mogła uwydatnić wnętrza duszy, istoty pewnej osobistości, lub doniosłości pewnej sytuacyi, tam chybiały próby stworzenia jakiegoś większego poematu, jak to dostrzedz nietrudno wszędzie, poczynając od rozpoczętego zaledwie „Kanonika przemyskiego,“ w którym bogata w przejścia duchowe postać utalentowanego warchoła, Stanisława Orzechowskiego, miała się nam ukazać na tle wspaniałych ruchów polityczno-reformacyjnych.

Uczuciem głównie zdobywał sobie Syrokomla serca czytelników. W uczuciu tem można, jak u Bohdana Zaleskiego, dwie wyróżnić strony: tęskną, pełną zadumy,—i wesołą, żartobliwą. Świadczyło to o naturze prostej, szczerej, nie skłonnej do objawów namiętnych i wybuchowych, ani też do ustawicznego łzawienia się, ale folgującej chętnie chwilowemu nastrojowi do swobodnego żartu, lekkiej ironii, a niekiedy ciętej satyry. Miłość dla płci pięknej opiewał rzadko, a nigdy nie wykazał w tym względzie wielkiego uzdolnienia, nawet wówczas, gdy umyślnie, z pewnym wyraźnym zamiarem, czynił ją głównym przedmiotem utworu („Stella Fornarina" 1859). Miłość natomiast kraju, zwłaszcza w formie uwielbienia dla rodzinnej Litwy, wciąż miał w sercu i na pamięci. Miłość ta ma cechy fizyczne, że tak powiem; krajobrazy, zapach pól, szum lasów, ubiory, zajęcia, zabawy ludzi zamieszkujących Litwę, mianowicie wsie i zaścianki, pociągały go ku sobie urokiem nieprzepartym i wywołały nieskończoną ilość westchnień, obrazków, zachwytów. Jak we wstępie do „Urodzonego Jana Dęboroga," tak później wszędzie, czy w dużych, czy małych gawędach, w lirykach i wierszach okolicznościowych, tchnie to uczucie serdeczne, w wyrazie niewyszukane, a tkwiące w duszy głęboko. Nie jednako rozdzielało się ono na wszystkie stany; Syrokomla miał wstręt instynktowy do jasnych panów, w ich towarzystwie czuł się jak nieswój; chłód ich ceremonialny mroził mu duszę, więc śpiewać dla nich nie chciał; więc drwił z nich wszędzie, aż do karykatury się posuwając („Hrabia na Wątorach"), chował zaś całą swą duszę dla „gminu szaraczkowego," który przyjmował jego słowa z uniesieniem, jako szczery a piękny wyraz własnego swego usposobienia. Głęboko był przeświadczony o równości wszystkich ludzi z urodzenia i miał w dogmacie religijnym argument nieprzeparty, powiadając, że kiedy sam Bóg został „człekiem", to czemu ja-

śnie wielmożny być nim nie chce i wynosi się nad ogół. Stąd płynęło jego umiłowanie ludu, upominanie się o ulżenie mu doli (w ślicznej gawędzie „Lalka“), stąd potępienie tej szlachty nierozumnej, co podniosła sto szabel na biednego pana „Filipa z Konopi“ (1864), gdy ten, obrany posłem, ośmielił się zaprojektować wyzwolenie ludu, a nawet wprowadzenie do sejmu jego przedstawicieli, wołając:

Oni w swojej dostojnej a skromnej postawie
Lepiej się zasłużyli, niż my, w naszej sprawie:
Warci równości z nami:
Patrzajcie, jaki projekt do sejmu przyniosłem,
Oto moja najpierwsza kmiotków zapomoga:
Równość w obliczu prawa, jak w obliczu Boga,
Jeden statut dla wszystkich, zobopólna rada,
Miejsce w izbie poselskiej, gdzie szlachta zasiada;
Patrzcie, mości panowie! czysty zysk w tym względzie!
Ileż głów zdrowej rady krajowi przybędzie!
Ile serc nieskalanych!... A na ich oświatę
Wszak mamy jezuitów kolegia bogate.
Toż w Rzeczypospolitej nie dziwna nowina;
Daj mu miejsce, szlachcicu, obok twego syna!...

Oczywiście, idealne to równouprawnienie, o jakiem ledwie najśmielsi demokraci marzyć u nas mogli, przedstawia się tylko jako wyrzut zrobiony szlachcie, że w przeszłości go nie dokonała. O czemś podobnem w warunkach rzeczywistości sobie spółczesnej Syrokomla nie mógł nawet myśleć; chodziło mu tylko o wyzwolenie włościan z poddaństwa i pańszczyzny, które w całej jeszcze pełni na Litwie istniały, a przynajmniej o złagodzenie stosunku poddanego do pana. Jakkolwiek poeta nasz gorąco spółczuł ludowi wiejskiemu, nie wchodził przecież w szczegóły jego życia realnego, a jeżeli nawet wybierał bohaterów z pośród ludu, to ich stawiał w warunkach niezwykłych: „Janko Cmentarnik“ 1856 — wojak wspólnie z panem dzielący dolę i niedolę; „Wielki czwartek“—pieśniarz wioskowy, zgasły z rozpaczy

i pijaństwa—i nie naśladował mowy wieśniaczej, zdobiąc ją po swojemu. Zawsze oczywiście patronat szlachcica nad chatą wiejską trwać miał nieprzerwanie, jako opieka, rozciągnięta nad młodszymi braćmi.

Kompozycya w drobnych jeno gawędach jest dobra, tylko niekiedy za rozwlekła; w większych natomiast utworach szwankuje pod wielu względami i rozpada się na szereg obrazków, jak u Pola, luźnie tylko ze sobą związanych. Wątek zazwyczaj bywa szczupły, lubo nie tak błahy jak w większej części gawęd Pola; epizody i dygresye zabierają dużo miejsca i przedzierzgają się w samoistne całostki. Widać to zaraz w pierwszym większym utworze Syrokomli: w „Janie Dęborogu". Nieprzyjaźń dwu sąsiednich rodów z powodu kawałka gruntu, zabranego niegdyś Brochwiczom przez Dęborogów, nieprzyjaźń, zażegnana małżeństwem Dęboroga z Brochwiczówną—to rzecz główna; lecz poświęcono jej stosunkowo mniej miejsca, aniżeli charakterystyce upartego w swoich przesądach względem chłopów szlachcica, i obrońcy tradycyi, choćby niedorzecznej i niemoralnej, a dalej zacnego, wyższym umysłem obdarzonego księdza definitora, czasów nauki szkolnej Jasia i jego wycieczek myśliwskich. Najpiękniejszy w całej gawędzie ustęp, nocleg w polu przy pilnowaniu koni, stanowi zupełnie zaokrągloną w sobie całostkę i miał początkowo ukazać się oddzielnie; był już gotów w r. 1846.

Te właściwości umysłu i serca, przejawiające się zaraz w pierwszej seryi „Gawęd i rymów ulotnych" jak nie mniej w „Janie Dęborogu", odnajdziemy we wszystkich późniejszych utworach Syrokomli, tylko że w skutek pośpiechu, wywołanego potrzebą zarobkowania, rzadko tchnęły pierwotną świeżością, rzadko jaśniały wynalazczym talentem; a powtarzania myśli, sytuacyj, wyrażeń zdarzały się coraz częściej. Charakter miękki, miłość dla kobiety, której szanować nie mógł, nędza rodziny, składającej się z „19 gąb", nałóg topienia smutków w kieliszku sprawiły,

że poeta musiał się podejmować robót najrozmaitszych, pisać wiersze na zawołanie, dla uiszczenia się z długu lub dostania marnej jakiej zaliczki. Próbował otrząsnąć się z pęt, odetchnąć swobodniej, odbywał wycieczki to po Litwie, to po Królestwie, W. Ks. Poznańskiem i Galicyi; niekiedy wracała mu nadzieja, że dawny spokój odzyska; niekiedy stworzył rzecz prawdziwie piękną, ale częściej pisywał rymy prozaiczne i dzieła bez zapału.

On sam za najlepszy ze swych poematów uważał „Margiera“ (1855), osnutego widocznie pod wpływem „Konrada Wallenroda“ na tle stosunków Litwy pogańskiej z zakonem krzyżackim. W sposobie wykonania pomysłu nie poszedł jednak za Mickiewiczem; nie tchnął w swój poemat uczucia, obrabiał go raczej spokojnie na wzór Wergiliusza w „Eneidzie“. Powstała tedy rzecz zbudowana prawidłowo, mogąca być przedmiotem rozbiorów estetycznych w rutynicznie prowadzonej szkole, ale niezdolna obudzić zapału wśród ogółu, bo chłodna i bez życia. Ani miłość Egli do krzyżaka Ransdorfa, ani jej śmierć w płomieniach, ani Margier, grzebiący siebie i swoich najdroższych w gruzach zamku Pullen, ani obrazy bitew czy poselstw nie robią wrażenia, nie przedstawiają charakterów i położeń, któreby głęboko w serce zapaść zdołały. Przyczyną tego jest, że Syrokomla nie miał dosyć sił fantazyi twórczej, by malować stosunki i osoby, których nigdy nie widział.

Nieporównanie ładniejszą i poetyczniejszą jest w tymże samym 1855 r. ogłoszona gawęda: „Kęs chleba“, wywołana niesprawiedliwością wyrządzoną ojcu poety, a przedstawiająca szlachtę, rządcę i wieśniaków t. j. osoby i stosunki doskonale znane Syrokomli. Gawęda ta ma odcień moralizujący o różnicy chleba dobrze i źle zapracowanego, ale epizod o zrujnowaniu Łagody i wypędzeniu go z dzierżawy, malujący obrazek z natury, hojnie wynagradza tę suchość dydaktyczną.

Lepszym także od „Margiera“ jest „sielanka bojowa“, jak ją sam autor przezwał, p. t. „Ułas“, (1858) napisana widocznie pod wpływem niezbyt dawno przeczytanego „Pana Tadeusza“. Od Mickiewicza przejął tu Syrokomla sposób charakteryzowania szlachty zaściankowej, zaprawny łagodną ironią, przedstawiającą śmieszności i przesądy danej osoby bez odjęcia jej naszej sympatyi, opartej na jakimś rysie pociągającym nas ku niej. Wprowadzenie do tej sielanki bojowej postaci z ludu: starego Ułasa i jego wnuczki, dopomagających czynnie szlachcie w walce z wrogami, jest samodzielnym a szczęśliwym pomysłem Syrokomli. Nie ma ten poemacik tego ożywienia, co gawędy, w których pierwiastek podmiotowy silnie się uwydatnia; ale też nie ma tej uroczystej sztywności i szczudłowej podniosłości co „Margier“.

O innych większych utworach epickich Syrokomli niewiele dobrego da się powiedzieć; są one zbyt błahe pod względem treści, albo nader blade pod względem wykonania. „Zgon Acerna“ (t. j. Klonowicza), „Królewscy lutniści“, „Stare Wrota“, „Nocleg hetmański“, „Marcin Studzieński“, „Starosta Kopanicki“, i t. p., a nawet „Córa Piastów“ (1855), wcześniejsza od nich wszystkich, mogą być zbyte tem ogólnikowem określeniem.

Z rodzaju talentu Kondratowicza wynikało, że nie mógł się on odznaczyć w dramacie, wymagającym skupienia wszystkich efektów, wybitnej charakterystyki i dobrze przeprowadzonej akcyi. Z kilku prób jego („Możnowładcy i sierota“ cz. „Zofia księżniczka słucka”, „Kacper Karliński“, „Wyrok Jana Kazimierza“, — oraz komedya: „Wiejscy politycy“) najwięcej zalet, lubo nie dramatycznych, przedstawia pierwsza część „Chatki w lesie“, malująca wymownie zawody poety Henryka w stosunku do świata, w szczególności zaś do księgarzy i ukochanej kobiety. Uczucia i położenie osobiste nasunęły naszemu piewcy wyrazy przeniknięte głębokim i przejmującym liryzmem.

I z poezyj lirycznych te są najpiękniejsze zarówno co do treści jak i co do formy, w których Syrokomla przedstawił zadanie i cierniową drogę poety: „Lirnik wioskowy“, „Grajek wioskowy“, „Śmierć słowika“. Nie rości on sobie pretensyi do nazwy proroka, czy wieszcza, ale czuje w sobie szlachetną dumę niezależnego człowieka, co swej głowy nie chyli przed światowemi wielkościami, ale sercem odgaduje serca, a chociaż wie, że ani bogactwa, ani zaszczyty go nie czekają, nie chce i nie może się oderwać od swojej liry, bo do niej dusza jego przyrosła, bo on bez pieśni żyć nie zdoła. Wrażliwy jest na obojętność, lekceważenie i krytykę, łatwo jednak odzyskuje ducha, podnosi wzrok w górę, gdy tylko posłyszy spółczujące echo, gdy wie, że jego słowa trafią do serca współbraci.

Zrazu pogodny i żartobliwy („Dumanie poety“, „Wlazł kotek na płotek“ i t. p.), potem bolejący, lecz zrezygnowany („Piosnki“), pod wpływem bólów moralnych i cierpień fizycznych, a może także pod działaniem poezyj Henryka Heinego, które nazywał głosem czarta, ale które tłómaczył, wyrobił w sobie gorzki sarkazm, udający niby wesołość, lecz nabrzmiały palącemi łzami. Takim jest obrazek „Zwierzyna“ (1859), takim fragment „Owidyusz na Polesiu” (1861). Dojmowały mu do żywego: przeciwieństwo zadowolonego z siebie egoizmem bogacza i bezradnej nędzy biedaków, jak niemniej przeciwieństwo wychłodłych serc i piersi spragnionych prawdziwego uczucia. Te wewnętrzne targania się wysubtelniły mu duszę i uskrzydliły wyobraźnię, słowo jego nabrało lotności, a obrazowość dawniejsza rodzajowa przemieniła się w allegoryczną, lecz nie suchą, oderwaną, owszem tętniącą smutnem, a głębokiem uczuciem. Takiemi są „Melodye z domu obłąkanych“ (1861), a mianowicie to, gdzie pod postacią kota zjadającego śpiewające ptaszki i pod postacią pana dozorcy szpitalnego, karmiące-

go się wybornie, przedstawił drapieżność samolubnego świata wobec bezbronnych przedstawicieli idei.

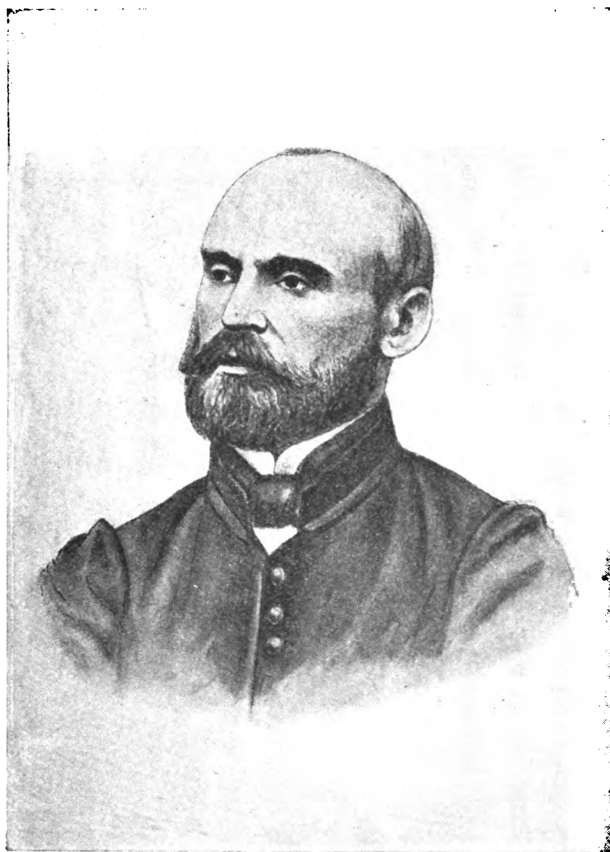
Rozstrój fizyczny się wzmagał; w głowie panował chaos; roiło się w niej od projektów i planów, lecz wykonywanie ich przychodziło z trudnością, albo nie udawało się zgoła; poeta zapragnął rozwiązania z więzów ciała („Cupio dissolvi" 1861):

A zawsze bólem serce się kraje,
Ale ta boleść chluby nie daje,
Ja moje ziemskie spłacając długi,
Cierpię męczeństwo, lecz bez zasługi!
Kiedy mię ziemskie cierpienie zmoże,
Z więzów cielesnych wyrwiesz mię, Boże!
Ale już dusza nie będzie młoda,
Już jej przeminie dawna swoboda,
Bo ją bolesna pamięć przygniata
Grzechu i cierpień ziemskiego świata...

Zaprotestowano publicznie przeciwko temu pragnieniu śmierci, kazano poecie żyć i pisać, lecz mu nie zapewniono pomocy. Męczył się jeszcze blizko rok potem; nareszcie 15 września 1862 roku przyszło wyglądane rozwiązanie pęt ducha, nie potężnego wprawdzie, nawet nie męskiego w całej pełni, ale serdecznego i jednającego serca współbraci. — „Poezye Ludwika Kondratowicza", w zbiorowem wydaniu wyszły r. 1872 w Warszawie w 10 tomach.

IV.

Śpiewakiem, biorącym temata z życia i pieśni ludu, starającym się także tworzyć dla niego, został w tej dobie TEOFIL LENARTOWICZ, którego początkową działalność poznaliśmy już poprzednio. Opuściwszy Warszawę w r. 1847, zatrzymał się naprzód w Galicyi i wydał tegoż roku we Lwowie poemacik dramatyczny p. t. „Pierwsze przedstawienie



Teofil Lenartowicz.

(Ze zbiorów Adama Pługa).

Hamleta", w Krakowie zaś roku następnego: „Cztery obrazy" i „Ziemię polską w obrazach". Ten ostatni poemacik, z dwu części złożony, był jakby rozwinięciem i dopełnieniem „Pieśni o ziemi" Pola; jak takiemże rozwinięciem „Szajne-Katarynki" z wyraźnym celem zastąpienia lichych jasełkowych przedstawień czemś piękniejszem i bardziej pouczającem, jest „Szopka" ogłoszona we Wrocławiu r. 1849. Lenartowicz wziął od Pola pomysł tylko główny, ale rozwinął go całkiem samoistnie. W pierwszej części „Szopki" występują zwykłe jasełkowe osoby: Matka Boska, Św. Józef, trzej królowie, Herod, Smierć, Dyabeł itp. Druga część, znacznie obszerniejsza, a pisana tym samym wierszem i w tym samym tonie, przedstawia „figurki" z dziejów Polski, od Lecha począwszy. Nie pomieścił tu oczywiście całej historyi, ale wybierał najznamienniejsze postaci, nie samych jeno królów i rycerzy, lecz także poetów i mówców: Reja, Kochanowskiego, Skargi z XVI, Kordeckiego i Paska z XVII, konfederatów barskich i Kościuszkowskich wojaków z XVIII stulecia, starając się ich przystępnie scharakteryzować. Zakończył rzewnym obrazem i męską przepowiednią.

Z Wrocławia przejechał Lenartowicz w r. 1850 do Poznania, gdzie uczestniczył w wydawanych przez Ewarysta Estkowskiego czasopismach pedagogicznych, pomieszczając w nich kilka ślicznych liryk i dwa opowiadania w duchu ludowym: „Zachwycenie" i „Błogosławiona", które też niebawem r. 1854 wyszły w książkowej odbitce. Opowiadania te są największemi kompozycyami, jakie nie tylko Lenartowicz, lecz poeci nasi wogóle wysnuli z wątku ludowego. Dowodzą one, że nawet wielki talent nie zdoła z tego materyału wytworzyć poematu rozleglejszego, któryby miał doniosłą wartość estetyczną. Przyczyną tego jest szczupły widnokrąg myśli ludowej i brak śmielszego lotu fantazyi wieśniaczej, przenoszącej w niebo, czyściec i piekło stosunki swego powszedniego życia,

tylko w kształtach nieco idealizowanych, na jakie skromne zasoby pojęć wystarczyć mogły. W letargu dusza wieśniaczki wędruje po tamtym świecie i przygląda się widokom i czynnościom, jakie napotyka. Za powrotem do świadomości, opowiada dziecku swoje widzenia. Wiele tu rozwinął łagodnego wdzięku nasz poeta, przedstawiając, jak Jezus owieczki pasie na łące, a Matka Boska wyrabia płótno ze srebrnej przędzy dla sierot, które miałyby już wszystkie odzież, „gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej, nie psuł w powietrzu wiatr psotny tych srebrnych nitek babiego lata, co się na naszych płotach oplata“. Wiele rzewności tkwi w obrazkach czyśca, gdzie duszyczki

Chodzą po grudzie i nogi krwawią,
A inne proszą rzewnemi słowy,
Żeby im Bóg dał wieniec cierniowy.
I na ich prośby w pochmurnem polu
Jawi się anioł cichego bolu,
Z koroną Zbawcy całego świata,
Z której kroplami święta krew zlata.
A na ten widok okrutnej męki
Żadna po wieniec nie wznosi ręki;
Ran Zbawiciela słodkich się boją
I przed aniołem wylękłe stoją,
A potem jakby wróble spłoszone
Lecą powietrzem w pole zamglone.

Najsłabszym jest obraz piekła, bo tu łagodne, rzewne tony były nieodpowiednie, a na przedstawienie grozy nie starczyło talentu. Prócz Madejowego łoża i Judasza, nie ponoszącego żadnej katuszy, ale dręczonego pamięcią czynu, wciąż przypominanego workiem pełnym złota przyrosłym do ręki, mamy tu same ogólniki. — „Błogosławiona“ to ponowne malowidło raju, po którym zmarłą wieśniaczkę przeprowadzają święte pańskie, pokazując szczegółowiej niż w „Zachwyceniu“ siedziby aniołów, spełniających swe obowiązki względem ziemi, męczenników, wyznawców, apostołów, Matki Boskiej wreszcie, dopóki świa-

tłość Najwyższa nie dała się uczuć wszystkim, podziwiającym ją w pokorze. Późniejszem (r. 1857) dopełnieniem „Błogosławionej“ jest „Święta praca“, „Kalendarz gospodarski“.

Ta nasza miniaturowa „Boska komedya“ nie może nam długo utkwić w pamięci, bo kształty w niej przedstawione są trochę rozwiewne i trochę za jednostajne.

Motywy ludowe znalazły o wiele doskonalsze wcielenie w poezyach drobnych, zawartych w „Lirence” (1855) i „Nowej lirence“ (1859) Lenartowicza. Tu jego talent zajaśniał w pełni. Czem Bohdan Zaleski dla nuty ukraińskiej, tem Lenartowicz dla mazowieckiej. Nie może on mieć wprawdzie takiego jak tamten znaczenia, bo przyszedł później, bo już miał wzór przed sobą, ale z zadania wywiązał się świetnie i imię swe unieśmiertelnił. Jak Zaleski idealizował kozaków, tak „lirnik mazowiecki“ idealizował Mazurów, przedstawiając same świetlane strony ich życia, wesołe czy smutne, ale zawsze złączone z duszą szlachetną, z obejściem delikatnem, z uczuciami serdecznemi, z myślami czystemi, z ujmującą prostotą wyrazu bez skargi na ciężką dolę pańszczyźnianą. Jest w „Lirence“ wiersz prześliczny, rytmem żwawym, 5-zgłoskowym napisany, p. t. „Mały światek”, malujący cały zakres natchnień Lenartowicza, bo cały rok zabaw i zajęć wieśniaczych pastelowemi barwami. „Myśl moja cicha — mówi pieśniarz — jak moja chata, nad dym ojczystej wioski nie wzlata; oko nie sięga dalej i szérzej, jak do tych lasów, jak do tych krzyży, jak do tej wody, co płynie srebrna; czyż większa mądrość człeku potrzebna?“ W tym szczupłym zakresie jest Lenartowicz mistrzem; nikt prościej, serdeczniej, a znamienniej nie oddał usposobienia, uczuć, zuchowatości, żartobliwości i tęsknoty Mazura. Takie przecudnie piękne w prostocie swojej pieśni i obrazki jak: „Kalina“, „Zostań dziewczyno”, „Wiochna“, „Mały światek“, „Jagoda“, „Wiecz-

nie to samo", „Do mojego grajka" pozostaną nazawsze arcydziełkami naszej literatury. A z żartobliwych, ileż dziarskości w piosence: „Mazur ci ja Mazur z pod Warszawy rodzic"; ten Maciek Dzwoniec może stanąć śmiało obok „Mazura" Polowskiego w „Pieśniach Janusza", choć dotyka tylko życia rodzinnego, a mianowicie złej żonki. Wszystkie pieśni „Lirenki" odznaczają się tak samo, jak dumki Zaleskiego, wielką melodyjnością, różniąc się od nich nutą raźną, a nawet poskoczną. W żadne wyszukane budowy wrotek Lenartowicz się nie wdawał; brał najzwyklejsze, najczęstsze w naszej poezyi połączenia, unikał sztuczności, starał się tylko o potoczystość, dźwięczność, tok szczerze polski. A językiem władał znakomicie zarówno pod względem barwności jak poprawności. Deklamacyjność jest mu zupełnie obca w „Lirence"; wysłowienie ma proste, ale obrazowe, prawdziwie poetyczne; porównania i przenośnie bierze z otoczenia wiejskiego, a tak je umie trafnie i zgodnie z logicznem rozwinięciem myśli zastosować, że one nigdy nie wydają się naciąganemi. Jednem słowem treść i forma zlewają się w tych pieśniach i obrazkach w harmonijną całość; autor nie wybiega po za obręb myśli, uczuć, upodobań i zwyczajów wieśniaczych, a wyrazom, choć literacko udoskonalonym i rzadko kiedy odtwarzającym gwarę ludową, nadał szlachetną prostotę, wyrazistość i barwność, najdoskonalej malujące to, co wypowiedzieć miały. Plastyka Lenartowicza, jak plastyka Pola i Syrokomli, ma przeważnie cechy zewnętrzne; ale ta właściwość nie wpływa ujemnie na utwory, zawarte w „Lirence", gdyż tu w tej zewnętrzności (do której oczywiście i słowa liczymy) zawiera się wszystko. Dopiero w innych obszerniejszych epickich utworach ta właściwość fantazyi, w połączeniu z brakami wykształcenia, obniży ich wartość estetyczną.

W r. 1852 pojechał do Paryża, poznał osobiście Mickiewicza, bywał nieraz w jego domu, przejął

się ówczesnym jego mistycznym nastrojem, lubo do grona wyznawców towiańszczyzny się nie zapisał. Temata religijne częściej teraz niż poprzednio obierał za przedmiot swojej twórczości ale nie zdołał wytworzyć nic znakomitszego czy to pod względem psychologicznym czy artystycznym. Zarówno wówczas gdy w tonie bohaterskiego poematu opowiadał męczeństwo „Świętej Zofii", jak wtedy, gdy naśladując naiwną prostotę legendy, 10-zgłoskowymi wierszami malować próbował cuda wiary gorącej i upokorzenie grzeszników („Apostołowie", „Święty Franciszek a Paolo"), nie mógł obudzić żywszego uczucia ni wrażenia; dusze wierzące mogły podobać sobie w tych utworach z powodu ich treści; lecz estetycznie poczytywać je za piękne było trudno. Tam jedynie, gdzie poeta wypadki życia ludowego przedstawiał w nastroju religijnym, gdzie więc był całkowicie w swoim żywiole, tworzył rzeczy ładne, ujmujące szczerością uczucia, prawdą sytuacyj; za przykład mogą posłużyć w tym względzie: „Chata pod śniegiem", „Niech będzie pochwalony".

I w tematach historycznych widzimy podobny stosunek. Wielkich ludzi, wielkich wypadków dziejowych nie potrafił Lenartowicz, z powodu braku fantazyi prawdziwie twórczej i z powodu dość ciasnego widnokręgu myśli, odtworzyć w sposób zadawalający i myśl badawczą i poczucie piękna. W „Gladyatorach" (1857) wywołanych prawdopodobnie odwiedzinami Rzymu, chciał przedstawić okrzyczaną niezgodę słowiańską, czyniącą ich niewolnikami, co dla rozrywki panów świata, łaknących krwawego widowiska, zabijali się wzajem w cyrkach, zamiast spólnemi siłami uderzyć na ciemięzców. Nie zdołał atoli odmalować ani zepsucia starożytnych Rzymian, których panowanie chyliło się do upadku, ani tej dzielności, jaka tkwiła w gladyatorach; posępny tylko uwydatnił nastrój, jękliwy ton z lutni wydobył, nie umiejąc

myśli przewodniej należycie przeprowadzić, tak że go po raz pierwszy dotknęły, niesłuszne w przeważnej części, gromy krytyki. Pod względem formy zarzucić można było brak tego, co do owej chwili stanowiło mocną stronę naszego lirnika, brak rytmiczności: 9-zgłoskowe wiersze, jakby kulejące, nie przyczyniały się wcale do wywołania wrażeń przyjemnych. Rytmicznie ładną, lecz ubogą w myśli jest fantazya: „Napoleon Aleksander Cezar Karol“ (1860), gdzie wyprowadził pośmiertne widmo „boga wojny“, cesarza Francuzów, rozmyślającego o czynach dokonanych, porównywającego się pobieżnie z bohaterami wieków dawnych: Aleksandrem Macedońskim, Juliuszem Cezarem i Karolem Wielkim, i dochodzącego do przeświadczenia, że zgrzeszył pychą i brakiem miłości, „co cicho, najskryciej świat dziecko wiedzie by na srebrnej nici, na niewymownem spojrzeniu opieki, przez wszystkie czasy i przez wszystkie wieki“. Nigdzie tu nie spotka się ani jednego słowa „większej mocy“, coby nam dało naprawdę odczuć i widzieć olbrzymią postać Korsykańczyka.

Natomiast gdzie Lenartowicz nie potrzebował ogarniać wielkich widnokręgów dziejowych, gdzie dość było nakreślić w sposób uczuciowy jedną sytuacyę, aby wywiązać się z zadania, gdzie zwłaszcza wchodzili wieśniacy; tam tworzył rzeczy ładne jak „Habdank“. Lenartowicz przeniósł się na stałą siedzibę do Florencyi, rozpoczął prace rzeźbiarskie, ale i z poezyą nie zrywał.

Nastąpiła siedmioletnia przerwa w wydawaniu nowych utworów. Dopiero w r. 1870 ukazują się dwa ich zbiory we Lwowie; jeden p. t. „Ze starych zbroic“, drugi p. t. „Album włoskie“; oba nie zyskały rozgłosu. Pierwszy zbiór zawierał kilka rapsodów historycznych: o Bolesławie Chrobrym i Śmiałym, o Piotrze Duńczyku, o Sobieskim i Marysieńce i t. p. ale niestety były to rzeczy suche, po kronikarsku traktowane. Poeta nie umiał pochwycić istotnych,

najważniejszych cech, charakteryzujących osobistości historyczne; pomijał je, a rozwodził się nad podrzędnemi. „Album włoskie“ wogóle jest lepsze od poprzedniego zbioru; wrażenia świeżo we Włoszech doznane znalazły też świeższy wyraz. Są i tu wiersze nudne, na niezbyt głębokiej refleksyi oparte; ale niektóre, brane wprost ze spostrzeżeń, wcale są ładne, silnie odczute, jak „Rzym—Italia“, „Pifferaro“, „W gaju Tivoli“, „Inamorato“, „Saltarella”, a zwłaszcza „Grosz ubogiego“, gdzie Lenartowicz odmalował dobre serce lazarona; — prosi on przechodnia o jałmużnę, a gdy ten, na próbę, powiada, że sam jest bez grosza i do tego w podróży, lazaron wyszukuje w swoich łachmanach pół bajoka i daje biedniejszemu jakoby od siebie. Jeżeli obojętne przyjęcie tych dwu zbiorów mogło być przykrem dla Lenartowicza, to nieudanie się wydawnictwa „Ech nadwiślańskich”, odtwarzających uczucia ogółu, zaboleć go musiało strasznie. „Ech“ tych miało być dwa tomy; wydano 1-szy (r. 1872 w Poznaniu); ale rozchodził się on tak słabo, iż o ogłoszeniu drugiego wydawca nie chciał myśleć. Lenartowicz główną przyczynę tego faktu upatrywał w wyziębieniu serc, w lekceważeniu haseł dawniej upajających; częściowo było to prawdą; lecz trudno nie dostrzedz i obniżenia się twórczości poety. W „Echach“ niema natchnienia, niema porywającego zapału; są tylko sztucznie nastrojone uczucia radości, entuzyazmu, pomieszane ze spowszedniałemi wyrazami smutku i rezygnacyi. Obrazowanie rzadko kiedy celuje plastycznością; stąd po przeczytaniu książki zostaje w pamięci zaledwie ten i ów rysik zamglony; żadnego motywu świeżego. Ze wszystkich obrazków i pieśni tu zawartych, stosunkowo najlepsze są: „Kurpie“, „Hułan“, „Targ na konie“, „Stary myśliwy”, „Rawicz”, „Jaskółka“, „Zrozpaczona“ i „Grajki wędrowne“, gdzie obraz przeszłości zarówno w pomyśle, jak w sposobie wykonania mocno przypomina zaklęte królestwo w II rapsodzie „Króla Ducha“, ale nie

posiada tych zalet plastyki, jakiemi opis Słowackiego potężnie wraża się w pamięć.

W r. 1875 odbył się w Krakowie skromny, lecz serdeczny obchód jubileuszowych lat pracy Lenartowicza, w rok potem wyszedł tamże czterotomowy „Wybór poezyj“, dokonany przez samego poetę. Nie związało to wszakże naszego lirnika z życiem bieżącem, które budziło w nim zniechęcenie, a nawet odrazę. Z nowymi prądami płynąć już nie mógł, zamykał się więc w dziedzinie przeszłości; gorycz sączyła mu się do serca coraz dotkliwsza, zaczął siebie nazywać „dziadorą niebogim“ lub „dziadem, którego kiedyś nazywano poetą”. Przyjaciołom, wzywającym go do śpiewu, odpowiadał, że na pieśniarza ludowego spada dzisiaj „wzgardy ślina“:

Ja snuję, snuję, biedny pająk, z siebie,
A pajęczynę moją wiatr roznosi...
I kiedy innym złoty łan się kłosi,
Mnie jak zmarłego wasza ręka grzebie.
Słuchać nie raczą a grzebią mnie żywcem
I jeszcze skargą okładają twardą,
Żem się od Polski odgrodził pogardą
I żem się zrobił italskim leniwcem...

„Leniwcem italskim“ bynajmniej się on nie stał; pisał i pisał dużo: obszerne poemata dziejowe, utwory dramatyczne, ale nie znajdował chętnych nakładców, a kiedy nawet nastręczył się jaki, to nie wychodził dobrze na wydawnictwie, bo ogół nie smakował już w nowych poezyach Lenartowicza, choć wielbił dawne. W r. 1881 wyszły we Lwowie „Rytmy narodowe”, zawierające urywki z obszernego poematu o Janie Sobieskim p. t. „Ostatni rycerz“ jako też obrazek p. t. „Pierwszy kmieć“ i drobniejsze utwory. Nie mogły one obudzić zajęcia; opowiadanie o Sobieskim w tonie dziada-lirnika, nie wyróżniającego planów pierwszych od dalszych, obniżało raczej tę postać rycerską, niż ją podnosiło. Z poezyj pomniejszych tylko znowuż przypomnienie sobie da-

wniejszych natchnień z motywów ludowych, dało nam rozszerzoną „Jagodę“, przewlekłą trochę, lecz mającą ustępy niezmiernie ładne.

W r. 1883 Lenartowicz ogłosił we Lwowie „Cienie“ z drugim pod tytułem „Na przepadłe imię“. Wiersze tchnęły tu bólem, ale poetycznej wartości wcale prawie nie posiadały; sam poeta lekceważąco się wyrażał wtedy o artyzmie, potępiając tych, co sztukę jeno mają na względzie. Gorycz swego osamotnienia duchowego wylał w przedmowie, będącej jakby jękliwem pożegnaniem z twórczością. Poeta prawi tu sam do siebie: „Ilość lat upłynęła od czasu, jak pożegnałeś te strony; dwa pokolenia przeszły od owych dni... Zapomnij! Imię twoje wliczone do epoki, która przeminęła; bracia żyjący nie przyznają się do ciebie, odgradzają murem wyobrażeń jakoby tobie nieznanych, na twoje rysy spoglądają jak na szkielety przedpotopowych ptaków... Gdybyś powrócił, serca niegdyś twoich znajomych znalazłbyś zmienione, domku twojego nad Wisłą jużbyś nie odszukał, ani drzew, pod któremi ubiegło dzieciństwo twoje; burza je obaliła; po latach czterdziestu... za to, żeś się modlił śpiewając a przenosząc myślą do modrzewiowych kościołów, opluje cię bankier tego kraju za wiarę w opiekę Matki Bożej; młody zaś entuzyasta nicości wymierzy ci krwawy policzek ręką żelazną w gnojach... umazaną“.

W r. 1884 na jubileusz Jana Kochanowskiego wskrzesił jedną z jego postaci: „O satyrze albo leśnym mężu“, by przez usta satyra podać charakterystykę poety i jego stosunków (mdłą i pospolitą) i westchnąć za świetną przeszłością. Żył jeszcze potem lat dziesięć; wypowiedział po włosku szereg odczytów w Akademii Bolońskiej imienia Mickiewicza (r. 1886) „O charakterze polsko-słowiańskiej poezyi[1])“, odczy-

[1]) Sprawozdanie z nich szczegółowe podał dr. Sas w „Przewodniku naukowo-literackim“ we Lwowie r. 1887.

tów, odznaczających się polotem poetyckim, ale i mętnemi pojęciami o dziejach literatury powszechnej, błędnie przytoczonymi faktami i zestawieniami. Mówił o Koperniku, Kochanowskim, Malczewskim, Mickiewiczu, a z powodu Farysa wspomniał gorąco o Farysie Balińskiego i o kółku poetów warszawskich przezwanych cyganami. W 1889 r. dał po polsku „Wspomnienie o Bohdanie Zaleskim". We Włoszech pozyskał sobie szczerych przyjaciół i wielbicieli; sporo poezyj jego przetłomaczono na język włoski. Zmarł 3 stycznia 1893 r., a zwłoki jego przewieziono do Krakowa i po wspaniałym pogrzebie złożono w grobie zasłużonych na Skałce. W r. 1895 we Lwowie wyszło wydanie pośmiertne jego „Poezyj" (2 tomy), gdzie prócz kilku drobnych wierszy ogłoszono z rękopismu poemat dramatyczny (właściwie dyalogowany tylko) p. t. „Sędziowie ateńscy", poświęcony przedstawieniu zepsucia Aten i śmierci Sokratesa.

V.

Trzej poeci, powyżej scharakteryzowani, mieli cechę wspólną: wielkiej swojskości, opiewając stosunki rzeczywiste czy to wśród sfer szlachty zamożnej, czy biednej, czy też wśród ludu. Odmienną cechę, w początkach mianowicie twórczości swojej, miała *Deotyma*, gdyż się obracała w dziedzinie pojęć oderwanych, uogólnień historycznych i filozoficznych. Zyskała ona sobie rozgłos olbrzymi głównie dzięki niezwykłemu sposobowi wypowiadania swych pomysłów: zanim się dała poznać jako poetka pisząca, zasłynęła jako improwizatorka, żywym przemawiająca głosem.

JADWIGA ŁUSZCZEWSKA, znana w literaturze pod pseudonimem *Deotymy*, urodzona w Warszawie 1 sierpnia 1834 roku, pochodziła z domu, lubiącego zajmować się sprawami umysłowemi i piśmien-

niczemi nie tylko biernie, ale także czynnie: matka jej słynęła z ukształcenia i dowcipu; ojciec tworzył opowiadania i powiastki; siostra starsza Kazimiera (z męża Komierowska) pod pseudonimem Jolanty drukowała poezye. Wychowanie Jadwigi było nadzwyczaj staranne; kierował niem ojciec, sam ucząc córkę historyi powszechnej, geografii, arytmetyki i dziejów krajowych; matka przechodziła z nią cały kurs religii, a potem czytywała jej dzieła różnych myślicieli i poetów, „to dodając do nich własne komentarze, to wyciągając na samodzielne spostrzeżenia". Józef Sikorski uczył muzyki, do której zrazu Jadwiga okazywała zamiłowanie; a znany badacz, Antoni Waga, wykładał nauki przyrodnicze oraz zasady języka ojczystego. Według wyznania samej Deotymy, głosy nauczycieli obcych słabo wnikały w jej duszę: „tylko ręka ojca i matki zostawiła w niej taki posiew, który kiedyś mógł wydać plony". „Wszystko, co wiem, co umiem i czem jestem — zapewnia Deotyma — zawdzięczam jedynie i wyłącznie rodzicom. Umysły ich, wielce od siebie różne, dopełniały się wzajem; pojęcia mojej matki były przeważnie filozoficzno humanitarne; pojęcia ojca były przeważnie religijno-moralne. W moim umyśle oba te kierunki złączyły się niejako i stopiły; z latami jednak drugi wziął przewagę nad pierwszym, gdyż był mi więcej przyrodzony". Młoda panna miała szczególne zamiłowanie do astronomii i pilnie się przykładala do nauki geografii, zapamiętując z niej szczegóły dotyczące zwyczajów, obyczajów, przesądów, podań ludowych. Umysł jej odznaczał się skłonnością do uogólnień; nie zadawalał się bowiem szeregiem poszczególnych faktów, lecz chciał je ustawicznie wiązać w jakąś syntezę.

To jej zamiłowanie i to uzdolnienie posłużyły jej wybornie przy improwizacyach. Improwizowanie bowiem wymaga znacznego zasobu wiadomości oraz talentu do skupienia umyslu w danej chwlli na temacie, który jest przedmiotem improwizacyi. Z je-

dnej strony wielka obfitość myśli, słów, zwrotów i rymów, a z drugiej — nadzwyczajna przytomność umysłu, umiejąca ogarnąć całość przedmiotu i zastosować do niej wszystkie poszczególne rysy: są to zalety niezbędne dla każdego, kto przemawia bez poprzedniego przygotowania. Zalety takie w wysokim stopniu posiadała Deotyma, a oprócz tego — żywą i ruchliwą wyobraźnię, pozwalającą jej ubierać swe pomysły w kształty malownicze.

Treść do improwizacyj, które w domu rodziców na słynnych zabawach poniedziałkowych rozpoczęły się 17 maja 1852 roku, czerpała 18 letnia panna oczywiście nie z obserwacyi i doświadczenia, lecz z książek; geografia, astronomia, botanika, mineralogia, opisy podróży, dzieje, wreszcie teorya i historya sztuk pięknych dostarczały wątku do całego szeregu utworów, wypowiedzianych już to w Warszawie, już to w Krakowie, a wydanych następnie w r. 1854 p. n. „Improwizacye i poezye". Pierwiastku uczuciowego, osobistego, ani też spostrzeżeń własnych nad życiem ludzkiem niema tu wcale. Autorka wszędzie jest „przedmiotową"; rozkoszuje się wiadomościami swemi i chciałaby rozkosz tę przelać w umysły słuchaczów.

Dopiero w drugiej seryi „Improwizacyj i poezyj" (1858, Warszawa) odnajdujemy żywsze drgnienia uczuciowe; wprawdzie osobistych wylewów serca nie widać i tutaj, lecz wzruszenia ogólniejsze, odnoszące się do narodu i ludzkości, ukazują się wyraźnie, a co znamienną jest rzeczą, przemaga smutek zrezygnowany.

Poezye Deotymy są zupełnie podobne do jej *improwizacyj*: za rozwlekłe, odznaczają się przewagą refleksyi nad uczuciowością. Za przykład mogą posłużyć „Treny nad grobem Adama Mickiewicza", zawarte w drugiej seryi. Pomysł ogólny przeprowadzenia duszy poety przez zastępy aniołów, wyznawców, męczenników w niebie, jest bardzo piękny, lecz spo-

sób wykonania artystycznego, erudycyą teologiczną ochłodzony, nie może wywołać gorętszego wzruszenia. Toż samo należy powiedzieć o całym szeregu poezyj, zatytułowanych: „Sonety do oblubieńca“, gdzie cała frazeologia miłosna skierowaną została do... Natchnienia; niema tu ani żywego tętna krwi, ani też eterycznego wniebowzięcia ducha, jest tylko twór jakiś pośredni, ckliwy mieszaniec.

Po ogłoszeniu drugiej seryi Improwizacyj Deotyma zabrała się do poematu, na bardzo rozległą skalę pomyślanego, p. t. „Polska w pieśni“. Czy „Król-Duch“ Słowackiego pobudził autorkę do podjęcia tematu, przezeń rozpoczętego zaledwie, nie wiem; ale faktem jest, że w jego ślady nie wstąpiła; pojęła rzecz swą nie mistycznie, lecz zgodniej z powszednią rzeczywistością, chcąc w szeregu utworów odmalować ważniejsze epoki z dziejów narodowych Zdaje mi się wogóle, że taki temat nie może być wykonany w sposób rzetelnie poetyczny; zawsze bowiem pachnie on kroniką. Istnieje w literaturze powszechnej jeden tylko, o ile mi wiadomo, poemat ogarniający całość rozwoju narodowego: to perska „Kięga królów“ (*Szach Nameh*), wtedy właśnie częściowo przyswojona językowi naszemu przez Lucyana Siemieńskiego; ale i ten poemat w epizodach jeno jest naprawdę pięknym. Deotyma zamiar swój urzeczywistniła dotychczas w niewielkiej tylko mierze, chociaż ogłosiła kilka tomów.

Najpierwszy wyszedł pod napisem: „Lech“ (1859). Poprzedników swoich, piszących o tym samym mitycznym założycielu Gniezna (Skorski, Woronicz) Deotyma albo nie znała, albo naśladować nie chciała. Nie marzyła o utworzeniu epopei; szło jej tylko o zobrazowanie narodzin państwa polskiego i wskazanie zasadniczych idei, jakie miały rozwojowi jego przewodniczyć; nie czyny zatem Lecha, ale posłannictwo jego stało się przedmiotem poematu. Przedstawiwszy obrazowo wyłanianie się Słowian z pośród

mgławicy narodów, Deotyma w dytyrambicznym zachwycie opiewa zjawienie się Lecha, „ojca przyszłości“, „orła Z wolą — opoką“, z czołem „jak niebiosy olbrzymiem“. Zdaje się, jakoby autorka, nie dowierzając sobie, czy potrafi oddać należycie zjawioną w jej wyobraźni potęgę tego męża opatrznościowego, złożyła na barki wyrazu: *olbrzymi*, wielokrotnie powtórzonego, cały ciężar doniosłych zadań, jakie Lechowi przypisywała. Istotnie Lecha w poemacie Deotymy znamionują nie czyny, lecz mowy, jakby na pokaz teatralny obrachowane. W rzeczywistość ich uwierzyć niepodobna wtedy nawet, gdy się przyjmie idealistyczny punkt widzenia autorki. Deotyma uposażając Lecha myślami, które nie za jego, ale za jej czasów stały się popularnemi wśród inteligencyi z powodu, że natchnieni wieszczowie barwnie je wyśpiewali, zrobiła go nie człowiekiem choćby najbardziej uidealizowanym, ale abstrakcyą, allegoryą, jakby uosobienie ówczesnych ideałów „demokracyi szlacheckiej“.

Chłód ogółu względem „Lecha“ nie zniechęcił poetki; już w r. 1860 puściła w obieg drugi tom „Polski w pieśni“, zawierający trzy nierównej objętości utwory: „Wojnę olbrzymów“, „Wyszymira“ i „Dwunastu wojewodów“. „Wojna olbrzymów“ i „Dwunastu wojewodów“ to liryczne rapsody tak jak Lech, ale o wiele krótsze, a zapełnione treścią realniejszą, nie są więc mgliste. Pierwszy z tych utworów, gdyby nie kilka nieszczęśliwych porównań (jak się *rzęsa piorunu skrzy* pod jej powieką“ i t. p.), gdyby nie nastrój zbyt patetyczny, byłby wcale udatnym obrazkiem z bojowego życia Słowian. „Wyszymir“ ma już zakrój epopei zarówno co do obszerności jak co do wprowadzenia tak zwanej machiny cudownej. Deotyma pragnęła wystawić bajeczne panowanie Lechitów na morzu; zdaniem jej bowiem „najodleglejsza przeszłość nasza jest niezupełną, póki jej brakuje wojenno-żeglarskiego żywiołu“. Za przedstawiciela żywiołu tego wzięła Wyszymira, prostego

rybaka, który pokochany przez boginię Wisławę, za jej natchnieniem i przy jej pomocy zostaje dowódcą Lechitów, zagrzewa ich do walki na morzu, zdobywa Danię, lecz usidlony czarami królewny Hildy, szaleje za nią, a słysząc wyrzuty Wisławy, dla przekonania, że pozostał jej wiernym, skacze w morze, gdzie poślubiwszy boginię, panuje w królestwie podwodnem. Dziwna, niezharmonizowana mieszanina stosunków ludzkich z całkiem fantastycznymi; chłód w wynurzeniach miłosnych; fakt, że Wyszymir nie własną dzielnością, lecz przy pomocy cudownego żagla, podarowanego przez Wisławę, odnosi świetne zwycięstwa — sprawiają, iż poemat robi wrażenie tylko igraszki poetyckiej.

Autorka nie ustawała w pracy. Roku 1860 odbyła wycieczkę w Tatry, mając na myśli, między innemi i potrzebę przygotowania sobie tła przyrodniczego dla dalszych części „Polski w pieśni“. Obmyśliła bowiem już wtedy plan obszernej trylogii dramatycznej, mającej zawrzeć dzieje Krakusa i Wandy. Najprzód choroba, potem wypadki krajowe nie dozwoliły wykonać zamiaru tego rychło. Drukiem ogłosiła go dopiero w r. 1887. Więcej on ma niewątpliwie zalet poetyckich od poprzednich części „Polski w pieśni", bo już sam pierwiastek uczucia, silnie w nim uwydatniony i gorącemi barwami oddany, wyróżnia go od nich dodatnio; atoli pod względem ducha i wykonania jest im spółrzędny. Nie dzisiejszy to sposób pojmowania przeszłości i nie dzisiejsza metoda odtwarzania jej w poezyi; spóźniony to jeno owoc romantyzmu. Całość ma zakrój operowy w tem znaczeniu, że poetce chodzi o malowniczość scen i sytuacyj bez względu na to, czy można je sobie jako rzeczywiste pomyśleć czy nie. Pierwiastek fantastyczny, w nadmiernej obfitości wprowadzony, sprawia, że wszystko wygląda jak baśń; tam zaś, gdzie widzimy ludzi, ich myśli, rozumowania i uczucia, mamy odtworzony duch spółczesny autorce (np. rozpra-

wy o emancypacyi kobiet), nie zaś ten, jaki sobie wyobrażamy w przeszłości. Rażącem, nawet ze stanowiska poetki, jest uwydatnienie szarlataneryi wśród kapłanów i ksień; przypominają się tu bowiem augurowie z czasów zamierania wiary, nie zaś naiwni wyznawcy potęgi i przemożnego wpływu bóstwa. Wskutek takiego wystawienia czynnika religijnego, wszystko, co się w poemacie mówi o znaczeniu ślubów bogom składanych, cała dramatyczność miłości Wandy dla Rytygiera wobec złożonej przed laty przysięgi na dziewictwo, traci doniosłość, a przynajmniej silnie się zachwiewa w swojej podstawie.

Do cyklu „Polski w pieśni" odnieść także należy „Gonitwy w dolinie Prądnika" (1866 w „Tygodniku Illustrowanym", w osobnej książce dopiero 1900 w Krakowie), wyjątki z fantastycznie cudownego utworu: „Na Jasnej Górze" (1896); oraz poemat: „Sobieski pod Wiedniem", którego tom 1-szy wyszedł w Krakowie r. 18ç5, a niektóre pieśni dalsze w czasopismach. Tom 1-szy składa się z trzech śpiewów pod napisami: „Między niebem a ziemią", „Pod Hollabrunem", „W Stetteldorfie". Zdania o całości rozległego poematu wydać oczywiście nie można, znając zaledwie drobną jego cząstkę, zaznaczyć więc tylko wypada, że poetka z wielką miłością wzięła się do obrobienia tak pociągającego swą treścią, a tak słabo w literaturze naszej rozwiniętego tematu, że z nadzwyczajnem staraniem o wierność historyczną opracowywała każdy szczegół pochodu króla Jana, że nie przybierając tonu uroczystego, patetycznego, szukała znamiennych rysów do odmalowania zarówno bohatera tytułowego, jak i wszystkich osób z jego towarzystwa. Pod względem formy, zwrotki dziesięciowierszowe bardzo pięknie i potoczyście rozwijają się przed słuchem naszym, pojąc go harmonią pełną wdzięku. Poemat czyta się z przyjemnością. Uderza nas tylko różnica tonu, zachodząca pomiędzy pierwszym śpiewem a dwoma następnymi. W pierwszym



Jadwiga Łuszczewska (Deotyma).

(Ze zbiorów Adama Pługa).

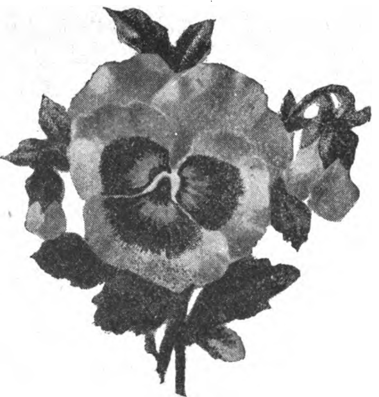
bowiem mamy allegoryczno-symboliczne przedstawienie walki Wschodu muzułmańskiego z Zachodem chrześcijańskim; przyczem poetka wprowadza nas przed tron Wszechmocnego i charakteryzuje poetycznie aniołów, opiekujących się ziemiami i narodami europejskimi. Dwa dalsze śpiewy to obraz stosunków ziemskich i ludzkich z ich drobnemi śmiesznościami i wadami, z ich codzienną powszedniością; a więc i styl jest w znacznej części prozaiczny, makaronizmami (dla kolorytu wieku) gęsto przeplatany. Otóż te dwa śpiewy, mające charakter gawędy, gawędy takiej, jaka w chwili pierwszych występów Deotymy była u nas w modzie, nie bardzo harmonijnie zlewają się z pierwszym, jakby z „Króla-Ducha“ przejętym.

Deotyma pisywała także i pisuje prozą. Dawniej, przed laty, czasopisma drukowały jej wrażenia z podróży po kraju, lub też zarysy, dające poetyczną charakterystykę wieszczów naszych, Słowackiego i Krasińskiego. Później z pod jej pióra wypłynęły powieści. Nie były to zazwyczaj obrazy życia towarzyskiego; obserwacyj własnych autorki znajdowało się w nich mało, chyba tylko opisy krajobrazów, miast, charakterystycznych domów; starcia się namiętności, jakkolwiek silnych czasami, nie budziły grozy; interesowały tylko przejścia psychologiczne, abstrakcyjne pomysły, lub dziwne przygody. Takimi były najpierwsze utwory powieściowe Deotymy: „Na rozdrożu“ (1876), „Krzyż nad otchłanią“ (1877), „Zwierciadlana zagadka“ (1879); takim jest i najnowszy: „Panienka z okienka“ (1898). Nie budziły one wielkiego zajęcia, prócz pierwszej powieści, z powodu że była pierwszą przez Deotymę ogłoszoną. Inaczej przyjęto „Branki w jassyrze“ (1889). Czytano je i odczytywano; jest to jedyna praca Deotymy, co się stała popularną na prawdę. Szlachetny i podniosły duch poświęcenia przenika cały utwór i nadaje mu cechę wyróżniającą z tego tłumu romansów, w których albo pospolitość albo pessymizm albo

zgnilizna zepsucia się panoszyły. A czujemy wyraźnie i silnie, że ten duch podniosły nie jest tylko przyprawą moralną, jak obrok duchowny czytelnikom przez autorkę podany, lecz płynie z głębi jej umysłu i serca. Dzieje cierpień, doznanych przez Polki w ciągu przymusowej wędrówki w głąb Azyi, za czasów pierwszego najazdu Mongołów w 1241 roku, są tak wzruszające, a z taką serdecznością i miarą artystyczną (w przeważnej części) opowiedzianę, że kto raz utwór ten przeczytał, już go nie zapomni nigdy. Pierwiastku dydaktycznego, tak właściwego usposobieniu Deotymy, nie brak i tutaj; historya państwa mongolskiego w XIII wieku została opowiedziana w całej pełni; ale pierwiastek ten nie bardzo razi w tem dziele, ponieważ treść sama jest zajmująca. Opisy natury nad jeziorem Bajkalskiem, które Deotyma dobrze poznała, towarzysząc ojcu, są prześliczne. Natomiast obraz Polski w wieku XIII, pomimo rozczytywania się autorki w źródłach dziejowych, jest nieprawdziwy; wspaniałych murowanych zamków Polska naówczas nie posiadała, a zwyczaje rycerstwa zachodnio-europejskiego wcale nie były rozpowszechnione. Wreszcie i to dodać trzeba, że niektóre części opowiadania mogłyby bez szkody dla treści a z korzyścią dla artyzmu, uledz znacznemu skróceniu.

Deotyma w wierszu czy prozie dbała zawsze o poprawność i czystość mowy rodzinnej. Wprawdzie wczytywanie się w dzieła francuskie pozostawiło tu i owdzie swe ślady na jej dykcyi, ale ogółem biorąc, należy ona do tych, co pięknym i szczeropolskim językiem świetnie władają. Styl jej w prozie nigdzie nie jest zaniedbany, celuje prostotą, naturalnością i swobodą. W wierszu nie widać skrępowania rymami; rzadko kiedy napotka się jakąś formę nieprawidłową, dla zadośćuczynienia końcówce położoną. Wyobraźnia jej jest ruchliwa i bogata, lecz wielką plastyką się nie odznacza.

Równocześnie prawie z Deotymą wystąpiły dwie



Antoniemu Pietkiewiczowi.

Bratu w pieśni składam Bratek,
I życzenie, by mu losy,
Niosły wszelkich dóbr dostatek:
Srebrne struny — złote kłosy —
Długie lata w czerstwej sile —
Hołd rodaków — ach i tyle
Serc gorących między nami,
By świat widział nie „za łzami“!

13 Czerwca — 1900. Deotyma.

Autograf Deotymy.

(Ze zbiorów Adama Pługa).

autorki, również duchem religijnym silnie przejęte i tradycyom wierne, Seweryna z Żochowskich Pruszakowa (później Duchińska) i Marya Ilnicka. Jako poetki i powieściopisarki nie nabrały one wielkiego rozgłosu, choć władały piórem bardzo umiejętnie, a nieraz pięknie; w literaturze natomiast pedagogicznej i w przekładach z obcych poetów położyły zasługi niemałe.

Seweryna z Żochowskich Pruszakowa, urodziła się r. 1825 w Koszajcu blizko Sochaczewa, od r. 1864 mieszka w Paryżu, obecnie jako wdowa po *Franciszku Duchińskim* (1817 † 1893), słynnym niegdyś etnografie, który teoryą swoją o ludach zamieszkujących wschód Europy potrafił pozyskać rozgłos nie tylko wśród swoich, ale i wśród obcych. Pruszakowa poczęła pisać w 23 roku życia drobne opowiadania prozą, niebawem atoli przeszła do wiersza i wyrobiwszy sobie wielką w nim wprawę, tworzyła gawędy i powieści poetyckie na wzór Pola i Syrokomli; są wśród nich i „kontuszowe," jak „Zagroda wiejska" na bladem tle wojen Napoleońskich, są i obrazki często wówczas kreślonego kontrastu zacnego żupana i lichego fraka za Stanisława Augusta („Powiśle"), są i z życia warstw wykształconych z postaciami łzawych poetów: „Dwa dwory", „Córka wdowy". Szczerość uczucia, szlachetny sposób myślenia, serdeczność tonu, język poprawny, wiersz potoczysty — to główne zalety tych utworów; bo nie odznaczają się one ani pomysłowością, ani dobitnością charakterystyki, ani wyższym polotem poetyckim. Narzekanie na pychę rozumu, wysławianie wiary, prostoty życia, serca, wciąż tu wracają. Wyszły te „Powieści poetyczne" w Warszawie r. 1855. Słabszym od nich jest życiorys „Elżbiety Drużbackiej" (1855), zupełnie po kronikarsku opowiedziany, lecz wolny od uwielbienia dla czasów saskich; tam tylko się ożywiający, gdzie autorka usprawiedliwia kobietę, że się do pióra bierze,

lub gdy maluje radość jej na widok drukowanych pism swoich. Brak bystrości spostrzegawczej i zastępowania jej ogólnikami widać także w „Powieściach naszych czasów“ (1853, Warszawa) pisanych prozą. „Obrazki dramatyczne” (1857, w Warszawie) na przewodnich jeno myślach, rozumnych zazwyczaj, mogą opierać swą wartość. Liryki niektóre, z motywów ludowych, są ładne. Jako redaktorka „Rozrywek dla młodocianego wieku” (15 tomów, od 1856 do 1863); jako tłomaczka różnych utworów literatury francuskiej, hiszpańskiej, niemieckiej, Pruszakowa-Duchińska wiele się oświacie naszej przysłużyła; część jej przekładów zebrana została w dużym tomie „Antologii poetów francuskich XIX wieku“ (Warszawa, 1899).

Marya z Majkowskich Ilnicka (1825 † 1897), urodzona i wykształcona w Warszawie, tu też przeważnie życie spędziła, zawsze przeniknięta czcią dla ideału i nie skłonna do rozpatrywania drobiazgów życia powszedniego. Dała się najprzód poznać z udatnego przekładu powieści poetyckiej Walter Scotta: „Pan dwóchset wysp“ (1855 w „Bibl. Warsz.“), później, nie zaprzestając tłómaczeń z Longfellowa, Ossyana i in., poezyami oryginalnemi przemawiała głównie do uczucia, pragnąc jego uszlachetnienia wśród społeczeństwa; zbioru tych rozproszonych po czasopismach liryk dotąd niema. W epice poruszała temata już to rodzinne, już to rycerskie; najważniejsze jej prace w tym względzie są: „Paproć“ (1856 w „Bibl. Warsz.“), „Miecz ojcowski“ (1859 w „Gazecie Codziennej“), „Illustrowany Skarbczyk polski” (1861, Warsz.), gdzie przedstawiła ważniejsze chwile i osobistości z dziejów naszych, jakby dla zastąpienia „Śpiewów historycznych“ Niemcewicza, ale bez osiągnięcia tego skutku. Próbowała także sił na polu dramatycznem, „Alchemik“ 1858 (w „Bibl. Warsz.“), „Grób i Róża“ 1861 (w „Kółku Domowem“), „Kto winien“ (1861 w „Tyg. Illustr.“). Od r. 1865 zostawszy re-

daktorką „Bluszczu“ — pisma dla kobiet, oprócz wielu wierszy, rozpraw wychowawczych, życiorysów, ocen, pomieściła tu kilkanaście powieści i nowel prozą, poczynając od „Pana Profesora“ w r. 1868, może najlepszej. Dużo uczucia, dużo nawet myśli pięknie wyrażonych w nich znajdziemy; lecz brak im życia, brak poczucia rzeczywistości, chociaż z niej są niby brane.

Tu wreszcie słów kilka o autorce, znacznie starszej laty od poprzednich, lecz czasem wystąpienia na widowni piśmienniczej mało się od nich różniącej, o *Ewie z Wendorffów Felińskiej* (1793 † 1859), matce znanego Zygmunta Szczęsnego, co ostatnie chwile Juliuszowi Słowackiemu osładzał. Do lat 45-u rosła ona, wychowywała się, kształciła, poszła za mąż, miała dzieci, gospodarowała jak przeciętna szlachcianka polska miernej fortuny; dopiero w 50-ym roku życia zaczęła pisać do druku, czerpiąc materyał nie tyle z książek, ile z własnego doświadczenia. Jej myśli, jej poglądy, jej ideały, to niewątpliwie myśli, poglądy, ideały wszystkich rozsądnych, zacnych, gotowych na poświęcenie kobiet naszych, o ile szczególna inteligencya lub talent nie wydzielił ich z masy. Za życia jej dokonało się kilka wielce wpływowych zmian w życiu obyczajowem i umysłowem narodu naszego. Przyszła na świat w czasie jego upadku, wychowała się i wykształciła w epoce wielkich wojen Napoleońskich; mieszkała na Wołyniu przez cały ciąg walki klasyków z romantykami, doczekeła się zwycięstwa nowej poezyi, następnie uczestniczyła w ruchu społecznym pod hasłami demokratycznemi, a dożyła chwili, kiedy idea szlachecczyzny świętowała ostatki swego panowania. Różnorodne te wpływy potężnych prądów nie dozwoliły skostnieć jej spostrzegawczemu umysłowi, pobudzając go ustawicznie do coraz to nowych wysiłków dla dotrzymania pola poglądom, rozwijającym się wśród społeczeństwa inteligentnego. Tym sposobem umysł ten przetwarzał się ciągle, odbijając na sobie znamiona

chwili, z zachowaniem wszakże pewnej samodzielności, ponieważ był jasnym, trzeźwym, a miał szczerą dla spółbliźnich życzliwość. Powieściom jej („Siostrzenica i ciotka", „Pan Deputat", „Hersyli", „Pomyłka"), napisanym między 1842 a 1850 r. brak artyzmu w układzie i stylu, ale nie brak wcale rozumnych myśli, śmiało dotykających niejednej, nieuwzględnionej przedtem a ważnej sprawy. Jej „Wspomnienia z podróży do Syberyi" (3 tomy 1852—3 Wilno), obfitujące w mnóstwo bystrych spostrzeżeń i trafnych uwag, po pracach Józefa Kopcia i Józefa Kobyłeckiego, ogłoszonych r. 1837, zapoczątkowały na nowo dość bogatą literaturę opisującą północ daleką. Jej „Pamiętniki z życia" wreszcie (5 tomów, 1856—58), doprowadzone do r. 1821, stanowią bardzo ważne źródło do poznania obyczajów na Litwie i Wołyniu w końcu XVIII i w początkach XIX stulecia, i to nie tylko jednej warstwy narodu, ale prawie wszystkich, a mianowicie: magnatów, szlachty zamożnej i szaraczkowej, urzędników i ludu. Była szlachcianką z usposobienia i przekonań, ale pragnęła gorąco, ażeby szlachta szczerze i serdecznie zajęła się dolą ludu i uchroniła się tem od „zbutwienia", jako „kółko do niczego już nie służące".

VI.

W powieściopisarstwie najwyraźniej i najdobitniej reprezentuje tę dobę reakcyjną KRASZEWSKI. Z właściwą sobie wrażliwością i lotnością myśli pochwycił on dokonywającą się zmianę w pojęciach i poglądach: zaznaczył też ją natychmiast w utworach swoich, wyrażając najzupełniejszą na nią zgodę. Kiełkujące już poprzednio zarodki rozwinęły się teraz

w całej pełni. W „Kordeckim“ (pisanym w Hubinie r. 1850) powtórzył z wiarą zupełną wszystkie niemal cudowności, o jakich wspomniał słynny obrońca Częstochowy w swojej „Gigantomachii”. Za pomocą działania wiary lub jej braku zaczął tłomaczyć różnorodne fakta. Jak zapał religijny był główną dźwignią ratunku za nieszczególnych czasów Jana Kazimierza, tak brak wiary miał być najważniejszą przyczyną tej orgii obyczajowej za Stanisława Augusta, którą ja skrawo odmalował Kraszewski w „Dyable“ (1855), miał wytworzyć wstrętną postać kasztelanica w „Interesach familijnych“ (1854) jako wynik materyalizmu i epikureizmu „wieku oświeconego”; co więcej miał nawet być źródłem tak zasadniczej wady narodowej, jak zmienność i chwiejność (powiastka „Motyl“ w „Typach i charakterach“ 1854). Jednem słowem bez wiary człowiek nikczemnieje, przeciwnie zaś wiara działa cuda, nawraca nikczemnych szalbierzy na dobrą drogę (hr. Sulimowski w „Złotem jabłku“ 1853), wytwarza tak zacnych ludzi jak ksiądz Warel (w „Komedyantach“ 1851 i wszystkie późniejsze jego modyfikacye w powieściach Kraszewskiego), ludzi, co nie tylko głoszą, ale też wykonywują cnoty ewangieliczne z zupełnem zaparciem się siebie, a z całkowitem wylaniem dla bliźnich.

W zamiłowaniu swojskości prześcignął teraz Kraszewski wszystkich ówczesnych pisarzy. On, co niedawno jeszcze malował bolesne położenie wieśniaków na Polesiu i Wołyniu, obecnie pod częściowym wpływem słowianofilów rosyjskich, w „Ładowej pieczarze“ pisanej pod koniec 1851 i w początkach 1852 roku, poczytał przytwierdzenie chłopa do ziemi za „całkiem dobrowolne“ ze strony ludności wiejskiej; a poddaństwo za „dobrodziejstwo raczej niż przymus“. Społeczność naszą dawną wyobrażał sobie jako „coś idealnie doskonałego“; bo „szlachcic kierował gminą ludu, której był raczej ojcem z ducha, niż panem z materyi; w miarę wielkości swych obowiązków

usposabiał się całem życiem do ich spełnienia, czuwał nad bytem powierzonej mu gromadki, puszczał z niej w świat i inne życie tych, co się do niego zrodzili, zostawiał przy roli takich, co tę pracę kochali i do innej nie mieli serca lub zdatności; żywił, karmił, bronił, a na chwilę z oka nie spuszczał". O reformie nie chciał słyszeć, bo według owoczesnych jego pojęć nie było na ziemi szczęśliwszego stanu nad stan wieśniaczy u nas. „Niech sobie—mówił— nowi mistrze nauki społecznej, ci, co z gruntu chcą świat przerobić według formy przez siebie wymarzonej, szukają lepszego wzoru społeczności nad ową słowiańską; ja go nigdzie nie widzę". W „Złotem jabłku", gdy poczciwy mieszczuch Bal odezwał się o potrzebie zamienienia pańszczyzny na czynsze, autor uznał to za rzecz bardzo piękną i szlachetną, lecz niewykonalną; a w „Dyable" ganił reformy podjęte przez sejm czteroletni dlatego, że były za radykalne i wzorowane na cudzoziemczyźnie!...

Piorunował tedy na cudzoziemczyznę, na „materyalną" cywilizacyę Zachodu, na jej naśladowanie w myślach, uczuciach, braniu się do przemysłu. „Niech mi nikt nie dowodzi — wołał w „Chorobach wieku" 1856 — że można być najlepszym gospodarzem, agronomem, spekulantem, przemysłowcem — i najczulszym i najpoetyczniejszym z ludzi. To są podobno żywioły, które z sobą w parze nigdy chodzić nie będą. Przerobi się świat na wielki kantor gospodarsko-industryalno-komercyjny, ludzie na komisantów, książki na rejestra, życie na rachubę podwójną przez *habet* i *debet*... Powiadają, że już tak jest wszędzie, u rozumniejszych braci na Zachodzie... musimy więc naturalnie iść za przykładem cudzym i popróbować sobie także tego szczęścia... czas wreszcie i nam zostać ludźmi rozsądnymi, zimnymi, praktycznymi... Nie! to coś okropnego! Ten ich świat naszym być nie może... czegoś więcej potrzeba człowiekowi nad strawę bydlęcia i grosz żydowski"... Kraszewski nie

przeczył wprawdzie, że dobrobyt materyalny wywiera „wpływ przeważny“ na wykształcenie moralne i wyrobienie się duchowe, ale twierdził, że cywilizacya owoczesna nie dozwalała rozpoznać granicy, na której się kończy „rozumna zapobiegliwość i postęp rozsądny“, a rozpoczyna „szał handlarski, spekulacyjny i zupełne zmateryalizowanie“. Sądził, że gromadzenie bogactw stało się powszechnie celem a nie środkiem, i stąd ciskał gromy na zestarzałą i zbydlęconą Europę, przeciwstawiąc jej zalety własnego swego kraju i narodu.

Najwymowniej, w słowach pełnych liryzmu, lecz ułudnych niestety, zrobił to w „Metamorfozach“, pisanych w r. 1856—7. „Śmieszna — pisał — kto sądzi, że po za granicami naszemi są jeszcze jakieś narodowości, są indywidualne charaktery ludzi; tam epoka narodowości już przeszła; jedni Słowianie w nią wierzą i piastują tę świętą ideę starą.. Tam wieża Babel zmieszanych ludów i języków; niema przywiązania do ziemi, które zastąpiła miłość grosza; niema poszanowania tradycyi, a jest wiara w nieomylność rozumu. Francuz, Anglik, Niemiec, Włoch jeden mają cel żywota, jedną ideę, ojczyznę, religię, wiarę — *grosz*... Obrzydliwość uczułem dla tego tłumu nawróconego przez Izraela na wiarę żydowską i życie żydowskie. Nie można tego nazwać inaczej; spełniły się przepowiednie, przyszło królestwo Izraela i bankier stał się panem świata. Pełno grobów postaci olbrzymich, zdobywców, bohaterów, męczenników, świętych, a wnuki ich wszyscy... żydzi. Jedno jest tylko, co ten świat wielki rozdziela na dwa olbrzymie pokolenia, wybitnie się od siebie różniące: jedno jak żyd w dorobku skąpi obrzydliwie i brudno; drugie jak żyd bogaty nadyma się, używa, zbytkuje i popisuje zdobyczą... Cóż zrobisz z ewangelią wśród tego żydowstwa?... Chrystusa ukrzyżowaliby raz drugi, gdyby to mogło podnieść kurs papierów na giełdzie... W naszym kraju, przy mnóstwie wad, są jeszcze

niestrwonione zapasy, które nagromadziła przeszłość... jest z czego zbudować coś na jutro; tam — wszystko zabite i wyczerpane. U nas nie czczem słowem braterstwo, prawdą choć chwilową; tam już o nie i nie pytaj!... O, gdybyśmy nasze skarby znali i cenić umieli, jakby dla nas ta ułudna cywilizacya materyalizmu nic uroczego nie miała! jakbyśmy jasno w niej ujrzeli ziarno grzechu i pochodzenie pogańskie! Ale wielu z nas powraca zachwyconych geometrycznym ładem Europy, przemysłem dokazującym cudów, suchemi zjawiskami rozumu żydowskiego, a nie widzi, że u nas, nie tam, jest życie jutra, że u nas siły jeszcze, gdy tam starość niedołężna, co się poi i pobudza, aby żyła potrosze, durzy się i szaleje".

Nie wszystkie jednak warstwy narodu naszego poczytywał Kraszewski za zdrowe. Magnaci, jako najbardziej zcudzoziemczeli, byli obecnie przedmiotem częstej jego krytyki. Już w „Komedyantach", napisanych r. 1850, ciemnemi barwami odmalował rodzinę arystokratyczną (Denderów), lubo pochodzenia niedawnego. Nikczemne strony charakteru, pozbycie się wszelkich zasad moralnych, wyzyskiwanie wszystkiego i wszystkich dla uratowania pozorów przed światem, dla utrzymania pozycyi towarzyskiej; próżniactwo, zdemoralizowanie, popisywanie się pięknymi frazesami, polowanie na bogate ożenienie lub zamężcie, brak serca, brak wyższych dążności, marnotrawienie sił, ojcowizny, zarozumiałość i buta: wszystko to znajduje się w tej rodzinie pasożytnej, ciągnącej soki z wielkiego pnia narodowego. Jest to jedna z najsilniejszych satyr, jaką Kraszewski w formie powieściowej napisał. Już nie satyrycznie, ale ze spokojem, przynajmniej pozornym, nakreślił wyczerpanie się soków żywotnych wśród „panów" i świadomość tego wyczerpania się, tkwiącą w duszy rozumniejszych z pomiędzy nich, w „Dwu światach" (1856).

Widząc wśród ogółu arystokracyi same obłudne pozory, Kraszewski znienawidził salon i konwenanse

i czasami wolał szatra cygańskie niż woskowane po sadzki („Chata za wsią“ 1853); przeważnie jednak zwracał się z miłością swoją do szlachty wiejskiej, którą niegdyś, jak wiemy, tak wydrwiwał. Zna on jej wady; dostrzega i w niej objawy sobkostwa, przewrotności, zepsucia, zgangrenowania nawet („Interesa familijne“ 1853); ale ją kocha za jej poczciwość, serdeczność, pobożność, gotowość do poświęceń, za przechowywanie wreszcie uczuć i zwyczajów ojczystych. Przedstawiciele jej nie błyszczą na pierwszym planie, nie zabierają wiele miejsca w powieści, tak zresztą jak w życiu rzeczywistem, gdzie egoizm, próżność, zarozumiałość, chytrość i przebiegłość umieją się po stawić na stanowisku wydatnem, zwracają na siebie oczy, krzykliwie narzucają się ogółowi. Starsi wiekiem z pomiędzy tych dobrych ludzi są o wiele sympatyczniejsi od młodszych; znajdujemy w nich rozwagę, wyrozumiałość, trzeźwe zapatrywanie się na zadania życia, przyczem trochę dziwactwa i śmieszności lub drobna słabostka jakaś tem podobniejszymi ich czyni do żywych osób. Młodsi, przy całej swej wyższości duchowej, są to istoty słabe, bierne, rozłzawione zazwyczaj, zbyt mało hartowne w stosunku do prób, jakie ich w świecie czekają. Takim jest między wielu innymi Stanisław Szarski, ponowne wcielenie duszy poetycznej w „Powieści bez tytułu“ (1855). W jego zatargach ze światem, czy to koleżeńskim, czy księgarskim, czy towarzyskim, wina jest nie tylko po stronie świata, ale i po jego własnej, gdyż jego niezaradność jest prawie dziecięca, jego ufność w ludzi — to dobrowolne zaślepienie, a brak charakteru — to wina organizacyi umysłowej. Spółczuć z takim człowiekiem można, lecz go czcić jak męczennika idei niepodobna, gdyż nie idea jakaś gubi go, tylko zbyt szybkie i nieoględne wyszafowanie zasobów życia.

W spółczuciu Kraszewskiego dla warstwy szlacheckiej nie mieści się bynajmniej uznanie dla jej

przesądów. Dzieli on wprawdzie wraz z nią niechęć do oficyalistów, występujących stale w charakterze szubieniczników, ale całkiem nie hołduje herbom, lub przekonaniu, że praca inna niż rolnicza szlachcicowi ubliża. W „Ostatnim z Siekierzyńskich“ (1851) wystawił siłę, ale zarazem i barbarzyństwo zakorzenionego mniemania, jakoby herbowemu dziedzicowi nie wolno było jąć się łokcia i miarki bez zelżenia klejnotu. W „Złotem jabłku" (1853), bogaty kupiec z Warszawy, co nabył dobra na Polesiu, zacnością swoją i serdecznością stanowi wraz z rodziną, najsympatyczniejszą osobistość na tle wielkopańskich lub szlacheckich próżnostek, dumy, chciwości, zawiści, szachrajstw.

Idealne swoje marzenia owoczesne o urządzeniu życia, złożył Kraszewski głównie w 4 utworach: w wierszowanej „Wiosce“, w „Jermole“, „Bożej czeladce“ i „Staropolskiej miłości“, wydanych między r. 1857 a 1859. Przedstawił tu owe uczucia proste, szczere, serdeczne, głębokie, wolne od wszelkiej przymieszki fałszu światowego; ów obraz bytu starosłowiańskiego i staropolskiego, który urokiem swym miał pociągnąć czytelnika i oderwać go od widoku brudów i nikczemnci cywilizowanej. Oto w „Wiosce“ mamy wizerunek wsi starosłowiańskiej, kędy mieszkańcy „przez wieki swobodni“, w głębi puszcz swych siedzą, na polach niedzielonych zagonem ni miedzą, na obszarach, gdzie gromad wspólnem jeszcze mieniem bogi rządzą, kapłanów i starców skinieniem“. A po przyjęciu nowej wiary, po ustaleniu się nowych urządzeń staje przed nami obraz patryarchalnego stosunku poddanych do dziedzica: „Wielką rodziną sioło, bratem młodszym kmiotek; dwór — izbą jego radną, śpichrzem na złe lata; jeden we wsi i dworze warczy kołowrotek, jedna ich dola wiąże, jedna ziemia brata, jeden obyczaj, odzież i język i chata“. — W prześlicznej zaś sielance: „Jermoła“ dopóty przy najcięższej pracy, przy ubóstwie panuje szczęście i zadowolenie, póki nie pojawia się pierwiastek niszczący

z tąk zwanego wyższego świata, co wyrzekłszy się obowiązku, chciałby przecież mieć udział w rozkoszy. A w „Bożej czeladce“ podobnie dzieje się z ludźmi bogatymi, wielkiego rodu. I oni żyją szczęśliwie, spełniając obowiązki najbliższe, urzeczywistniając przepisy ewangeliczne, póki zatruty oddech namiętności, przyniesionej przez stosunki z cywilizacyą zagraniczną, nie naruszył pokoju duchowego. Cofając się w przeszłość, obok orgii stołecznej za Stanisława Augusta, w skutek wpływów francuskich rozpanoszonej, widzimy w „Staropolskiej miłości” przykłady wiary szczerej, dobrego pożycia panów ze sługami, uczucia statecznego, gorącego, ale nie szafującego ani frazesami ani lekceważeniem życia, bo ujętego w karby przez religię, przez poszanowanie węzłów rodzinnych.

Znając wrażliwość Kraszewskiego, łatwo odgadnąć, że poglądy nacechowane duchem reakcyjnym, nie mogły trwale w umyśle jego przebywać. Pierwsza podróż za granicę, w r. 1858 odbyta, wpłynęła na wielkie zmodyfikowanie jego mniemań o zmateryalizowaniu Zachodu; głębsze zastanowienie nad warunkami bytu narodów doprowadziło go do przekonania, że bogactwo daje ogromną podporę niezależności ducha, jeżeli się tego bogactwa dobrze używać umie, że zatem nie zniechęcać do przemysłu i handlu, widząc w nich środki zżydzenia narodu, lecz że je popierać trzeba jako środki umożliwiające rozwój duchowych sił jego, że wreszcie stosunków włościańskich nie można pozostawić bez zmiany. Ostatniej sprawie poświęcił dwa utwory: „Historyę kołka w płocie” i „Stare dzieje“ (komedyę), przedstawiając, że stosunek poddańczy nawet przy najlepszych chęciach ze strony dziedziców, wpływa zgubnie na lud wieśniaczy, a mianowicie na jednostki wybrane, i że pańszczyzna usuniętą być powinna; chłop powinien zostać sąsiadem dziedzica. Utwory te napisane i wydrukowane zostały (1859 — 60) już w drugiej dobie tego okresu i łączą się z objawami jej właściwemi; nie mogłem

jednak ich pominąć na tem miejscu, chcąc zmienione stanowisko Kraszewskiego w kwestyi tak ważnej zaznaczyć.

Pod względem artystycznym dostrzegamy w powieściach Kraszewskiego zmianę dość ważną. Uwydatnił teraz wyraźnie potrzebę tendencyi w utworach artystycznych. Do powieści należy, zdaniem jego, „sprostowanie zakorzenionych fałszów, wytępienie wad domowych, upopularyzowanie idei dobra i piękna; każda potrzeba wieku tętnieć w niej powinna, każdy żal słuszny znaleźć echo, każde poczciwe pragnienie obrońcę, każda wada — chłostę". Dla osiągnięcia tego celu potrzeba ściśle się opierać na rzeczywistości, idealizując ją, tak jednak, ażeby ideały ciosane były „nie z obłoków i mgły, ale z żywego ciała" społeczeństwa. Zupełnie zatem świadomie uprawniał pierwiastek podmiotowy, zarówno moralizujący jak liryczny, nie sądził, ażeby on mógł zaszkodzić objektywności przedstawienia ludzi i rzeczy, a liczył na to, iż pociągnie serca czytelników za sobą. Tym pierwiastkiem zaprawiał nie tylko uwagi wprost od siebie pochodzące, ale także charakterystyki osób, opisy miejscowości i przedstawienie sytuacyj. Znamienna modyfikacya, zaszła w tej dobie polega na tem, iż zamiast dawniejszego szkicowego kreślenia ludzi i rzeczy, rozwinął teraz Kraszewski szeroko stronę opisową i charakterystykę, z prawdziwem zamiłowaniem malarza rodzajowego, który każdym szczegółem, każdym drobiazgiem nawet, mogącym znamiennie przedmiot jakiś odtworzyć, interesuje się gorąco i wzbogaca nim swój obraz; a każdą sytuacyę wyzyskuje w pełni, nie poprzestając na tem tylko, co ma służyć do dalszego rozwinięcia akcyi, ale uwydatniając w niej wszystko, co się przyczynia do jej uwypuklenia. Charakterystyki ludzi są wyborne o tyle, o ile przejrzeć je można na wylot; a więc doskonali są chłopi, oficyaliści, drobna szlachta, panowie próżni a zarozumiali. Natur głębszych unikał powieściopi-

sarz, a postaci dodatnie, ideały swoje malował zbyt jednostajnie i ogólnikowo jako zacnych, lubiących książki, miękkich, poetycznych bohaterów, którzy czasami tylko zdobyć się mogli na jakiś czyn stanowczy. Pogłębienia psychologicznego brak utworom i z tego czasu tam nawet, gdzie przedmiot się ku temu nadawał, jak w „Historyi o Janie Dubeltowym“ (1856), przedstawiającym zdwojenie świadomości; cechy natomiast zewnętrzne oddane są tak świetnie, z taką prawdą, z taką śmiałością i dowcipem, że pod względem artystycznym powieści z tego czasu należą do najlepszych, jakie napisał. Kompozycya bywa dobrą tylko w drobnych obrazkach; w większych opowiadaniach często jest luźna, z wyjątkiem chyba „Dwóch światów“, które ze wszystkich owoczesnych najlepiej są opracowane, a w późniejszych mają słabego jeno spółzawodnika w „Morituri“ (1874), podobny temat rozwijających.

VII.

Na rozszerzenie opisów i charakterystyk autora „Dwóch światów“ wpłynął przykład KORZENIOWSKIEGO, który później zacząwszy zawód powieściopisarski, odznaczył się obok większego doświadczenia życiowego, staranniejszym, chociaż znacznie chłodniejszym sposobem obrabiania pomysłów. Jak w innych rodzajach twórczości, tak i w powieściopisarstwie Korzeniowski rozpoczął od prób bladych i nikłych. Pierwszą jego powiastką była zdaje się „Anilka“, pisana (może jeszcze przed rokiem 1830) wymuszoną prozą poetycką, której nigdy już potem nie używał, posługując się stylem jasnym, pełnym, trochę za trzeźwym jak na belletrystykę, ale niepozbawionym traf-

nych przenośni i dobrze przeprowadzonych porównań. Przez lat kilka od r. 1837 tworzył same drobne opowiadania, nie odznaczające się dowcipem, ale pełne morałów („Dobrze i to wiedzieć na te ciężkie czasy“, „Podziękowanie”, „Po latach trzydziestu“ „Egzekwie“, „Wtorek i piątek“, „Korespondencya“). Wszędzie w nich przebijała się gruntowna znajomość ludzi, żyjących w sferze mniejszego lub większego dostatku i wygody; wszędzie rysunek postaci był poprawny i dobitny. Zadanie powieściopisarza pojmował jako narratora; mało tedy wprowadzał rozmów, o żywość akcyi się nie troszczył, lecz lubił szeroko określać charaktery, myśli i uczucia osób. Dopiero po takiem przygotowaniu zdołał Korzeniowski tworzyć powieści, które trwałą w literaturze wartość zachować miały. I w nich nie zarzucił bynajmniej moralizowania; i w nich występował zawsze jako człowiek poważny, trzymający w więzach wybuchy satyry lub rozbujałej namiętności; i w nich prawie wyłącznie przebywał wśród warstw zamożnych; ale wprowadził do opowiadania większą żywość, urozmaicił je rozmowami zazwyczaj doskonale prowadzonemi, lubo niekiedy przydługiemi, uświetnił dowcipem w najlepszym pospolicie smaku, wystawił wybornie pomyślane (a raczej zaobserwowane) i konsekwentnie rozwinięte charaktery; jednem słowem stroną artystyczną powieści zajął się usilnie i udoskonalił ją do wysokiego stopnia. Pojedyńczemi scenami Korzeniowski nie wywierał tak bezpośredniego wrażenia jak Kraszewski; lecz za to zyskiwał sobie czytelnika całością utworu, umiejętnie i prawidłowo rozsnutym wątkiem powieściowym. Nie posiadał tego co Kraszewski tchnienia poetyckiego, więc też nie zachwycał młodzieży; przemawiał natomiast do rozwagi swoim trzeźwym i wytrawnym sądem o stosunkach życia rzeczywistego. Nie wszystkie oczywiście jego powieści mają jednakową wartość estetyczną; nie wszędzie kompozycya jest doskonałą; czasami nawet po-

czucie moralne szwankuje; ale na ogół biorąc, są one objawem i myśli rozumnej i niepospolitego talentu.

Pierwszą powieścią, która zwróciła na siebie uwagę i zapewniła rozgłośne imię Korzeniowskiemu w tej gałęzi literackiej, był „Spekulant" (1846). Wprowadził tu nas autor do świata powszedniej prozy, ani jednem uniesieniem nie wkraczając w dziedzinę poezyi, lubo nawet poetę zaściankowego odmalował. Do ludzi tu występujących, choć zacnych, nie przywiązujemy się, mocniejszych uderzeń serca nie doznajemy; obserwujemy ich tylko wraz z autorem, uznając trafność rysów po większej części; ironicznie patrzymy na tę podolską szlachtę, głupią i niezbyt uczciwą, przyjmującą u siebie takiego jak August (spekulant, egoista) człowieka, bo czującą w sobie skłonności podobne, którym do objawienia się potrzebna tylko odpowiednia okoliczność. Trudno, niestety, zaprzeczyć, że tak bywa w życiu. Bardziej dramatycznym stylem, z większą ilością rozmów, a mniejszą opisów, z niemałym zasobem komizmu, skreślona została druga obszerniejsza powieść: „Kollokacya" (1847). I tu stosunki całkiem prozaiczne, powszednie, z uboższych warstw szlacheckich przeważnie złożone. Z wyraźnem, czasami aż przykrem szyderstwem maluje autor próżniactwo, głupotę, „zdartą i zszarzaną komilfowość", niepamięć na jutro, kłótliwość, zazdrość i śmieszną pretensyonalność cząstkowych właścicieli ziemskish, przedstawiających na małą skalę ogół społeczeństwa szlacheckiego; obok zaś i wśród nich — dwie rodziny zupełnie odmiennego nastroju i charakteru: Zagartowskich i Starzyckich. Pierwszy tu raz występuje typ śmiałej, energicznej a uczciwej panny (Kamilli), który następnie miał często się u Korzeniowskiego pojawiać i stanowić jedną z cech wyróżniających od powieści Kraszewskiego, gdzie dodatnie panny bierną odgrywały rolę.

Do innych sfer przenosimy się w „Wędrówkach

oryginała" (1848), osnutych na tle życia warszawskiego, lubo z silnymi jeszcze refleksami dawniejszych spostrzeżeń z Wołynia, Podola i Ukrainy. Jako całość nie zadawalają one wymagań artystycznych w tym stopniu, co dwie poprzednie powieści; ale w epizodach budzą o wiele żywsze zajęcie i głębiej w duszę sięgają. Z dziejami energicznej Julii misternie zespoloną jest historya jej przyrodniego brata, Karola Larysza, entuzyasty, muzyka, pokochanego serdecznie przez ładną, ślicznie narysowaną Marcię, w której powab, wdzięk naturalny, naiwność łączą się cudnie z głęboką uczuciowością, uzdolniającą ją do zrozumienia człowieka o wyższym polocie duchowym. Korzeniowski pięknie i rozumnie mówi o sztuce, ma głębokie współczucie dla artystów, karci surowo publiczność naszą za jej płochość i płytkość umysłową: ale bynajmniej nie głaszcze burzliwych lub kapryśnych aspiracyj artystycznych, zachęcając młodzież poświęcającą się sztuce do ograniczenia swych potrzeb, do pracy i wytrwania. Podobne poglądy wypowiedział w późniejszej powieści p. t. „Garbaty" (1853), malując życie malarzy. Zdaje się, że Korzeniowski nie odczuwał, a w każdym razie nie pochwalał „furyi artystycznej", namiętnych gwałtownych natur, żyjących wyobraźnią i uczuciem, drażliwych, wrażeniem chwilowem opętywanych i dla tego wrażenia poświęcających wszystko. Jego poeci i artyści to ludzie porządni, rozważni, uczucie z rozumem łączący, podobnie jak sam ich twórca, albo też — zdegenerowani, upadli czy to wskutek sercowego lub pieniężnego zawodu, czy też wskutek poczucia bezsilności do wyrażenia artystycznie tego, co się w ich wyobraźni rodziło. To też autor daje przestrogę artystom, ażeby się nie porywali na nic takiego, na co w mowie niema słowa, w ołówku—zarysów, ani farb na palecie.

Prąd reakcyjny odbił się na utworach Korzeniowskiego, ale nie tak silnie jak u autora „Chorób

wieku" i „Metamorfoz". Uwielbienie dla przeszłości kontuszowej, potępienie reformatorów XVIII wieku, idealizowanie szlachty wiejskiej, głębokie uszanowanie dla „sukni" duchownej przejawiają się wyraźnie w komedyi historycznej: „Wąsy i peruka" (1852), w opowiadaniu dziejowem: „Pan Stolnikowicz wołyński" (1854) i w najsłabszej powieści, jaką Korzeniowski napisał, p. t. „Szczęście za górami" (1858). Nie szedł jednak nasz autor tak daleko, by w czambuł plwać na cywilizacyę europejską i by nie widzieć wielkich wad ogólno-narodowych takich jak: próżność, aktorstwo i chęć pozowania, małpowanie obcych i możniejszych, lenistwo myśli i lenistwo ciała, niewiara w siebie, nieuszanowanie zasad i słabość woli. W radach, podawanych celem uleczenia naszych chorób społecznych, Korzeniowski kładł w tym czasie nacisk na trzy głównie rzeczy: 1) na podstawę religijną w myślach, uczuciach i postępowaniu, bez bigoteryi jednak i fanatyzmu, 2) na jasne i trzeźwe liczenie się z realnymi warunkami bytu, 3) na pracę uczciwą i sumienną w jakimkolwiek zawodzie: urzędniczym, lekarskim, artystycznym, handlowym czy rzemieślniczym.

Pod tym ostatnim względem Korzeniowski wyprzedził współczesnych sobie powieściopisarzy i publicystów, a opierając się częściowo na wzorze, danym przez Andrzeja Zamoyskiego celem podniesienia przemysłu w kraju, wprowadził a raczej wznowił rozwijaną przez Tomasza Massalskiego w „Panu Podstolicu", myśl, która dopiero po śmierci autora „Kollokacyi", poczytana za świeże hasło, znalazła rozgłos olbrzymi, — myśl „pracy organicznej". Nie nazwał jej wprawdzie tem mianem, lecz główniejsze znamienne jej cechy nakreślił dobitnie już na początku tej doby w „Nowych wędrówkach oryginała" (1851), a rozsnuł szerzej i w praktycznem zastosowaniu uplastycznił w najlepszej powieści swojej, w „Krewnych"

(1857). Ubolewając nad „grzesznem zaparciem się siebie samych" w wielkich rodach, przedstawił Korzeniowski w Janie Firleju (jednej z osób „Nowych wędrówek", słabych zresztą artystycznie) dorobkiewicza-magnata, który chcąc stać się społeczeństwu pożytecznym i nie przepróżnować życia, wziął się do przemysłu i handlu, tak, że mógł kupić Firlejów z przyległemi mu wsiami, założyć fabryki, napełnić rękodzielnikami, rozwinąć przedsiębiorstwa, zaprowadzić wszędzie ochronki i szkółki dla dzieci mieszczan i włościan, wybudować w każdej gminie stosowny do ludności szpital z małą apteką i znającym się na chorobach ludu felczerem, uporządkować drogi i mostki, urządzić gospody, aby nie były miejscem pijaństwa, ale schronieniem podróżnych i środowiskiem trzeźwej wesołości w niedziele i święta. Przykładem swoim i staraniem Firlej spodziewał się zachęcić każdego mieszkańca, aby ozdobił swoją siedzibę, tak jak on ozdobił swoją, aby wszyscy mieli latem cień i zieloność, pod którąby odpoczęli po całodziennym znoju. I rachował, że mu wystarczy na to wszystko, a nawet na książki i obrazy, na kocz i wierzchowca, na smaczny obiad i dobry kielich dla miłego gościa, bo tylko próżność i próżnowanie rujnują; ale gdzie praca i rachunek, tam może być wygoda i ozdoba, „ale domowa, ale swoja, ale taka, jaką nam ta piękna i bogata ziemia da, a da obficie i hojnie".

To wskazówka postępowania dla szlachty bogatej, jeżeli chce zatrzymać swe dawniejsze znaczenie, idąc z duchem czasu i przemieniając środki zasługiwania się krajowi. Dla szlachty ubogiej dał w „Krewnych" radę rozumną i zbawienną, lecz wymagającą wyrzeczenia się zakorzenionych przesądów i jęcia się pracy, nie obrachowanej na rozgłos, ale zapewniającej niezależność. Wyliczył rozmaite dziedziny pracy i wykazawszy dodatnie i ujemne ich strony, zatrzymał się na rzemiośle, jako najmniej zawodnym środku zabezpieczenia sobie bytu i pożytecz-

nego przyczyniania się do dobra ogółu, w warunkach, w których się ten ogół znajduje. Radami rozumnego hr. Adama wsparty, doświadczywszy trudności w zawodzie urzędniczym, jeden z bohaterów „Krewnych”, Ignacy Zabużski, decyduje się zostać stolarzem, zdobywa dla siebie i rodziny utrzymanie, dobrobyt i szczęście i sam na sobie daje przykład, iż warto przez parę lat ukorzyć młodą i hardą głowę przed warunkami pracy rzemieślniczej, żeby tym sposobem zapewnić sobie niezależność i przy jakichbądź okolicznościach być panem swojej przyszłości i stać na własnych nogach”... Brat jego starszy, Eugeniusz, przyzwyczajony do wykwintu, osłabił w sobie wolę życiem próżniaczem, znosił długo upokorzenie wśród bogatych krewnych, a wypędzony z domu kasztelanowstwa za pokochanie ich córki, staczał się coraz niżej po pochyłości moralnej, aż wreszcie zachowana w głębi duszy iskra miłości braterskiej natchnęła go myślą zastąpienia Ignacego w wojsku, gdzie zahartował ciało ponoszonymi trudami, ukrzepił wolę — poczuciem karności i ciągłą myślą o możliwych niebezpieczeństwach i śmierci, stał się w końcu człowiekiem, mogącym polegać na sobie, a więc wzbudzającym szacunek w innych. Rzadko kiedy w życiu znajdujemy tak pogodne usposobienie, jakiem się kończą „Krewni“; ale powieściopisarzowi, który o „naturalizmie“ artystycznym jeszcze nie słyszał, niepodobna mieć za złe, iż chciał rozstając się z czytelnikami, pozostawić w ich duszy miłe wrażenia, któreby utwierdziły ich w przekonaniu, że uczciwość, praca, wytrwałość, wyzbycie się próżności, zahartowanie woli, przynoszą zadowolenie i szczęście, że nawet ludzie słabi, jeżeli mają dobry grunt serca, mogą zmienić się na pożyteeznych członków społeczeństwa i znaleźć nagrodę za odniesione nad namiętnościami zwycięstwo.

„Krewni” są najharmonijniej ułożoną, najściślejześrodkowaną, najszerszy zakres życia towarzyskie-

go (między innymi świat rzemieślniczy i finansowy) obejmującą powieścią Korzeniowskiego. Są od niej żywsze, dowcipniejsze, są lepiej wykonane w częściach poszczególnych, ale żadna jaka całość jej nie przewyższa. W „Emerycie" (1851) jest doskonały obraz wysłużonego profesora łaciny i dobry wizerunek kokietki, a prócz tego kilka opisów znakomitych np. kontraktów kijowskich, szlachty zagonowej mazurskiej, ale psychologia jest płytka. W „Tadeuszu Bezimiennym" (1852) są wyborne charakterystyki i sceny, jest dużo ciepła w opisie liceum krzemienieckiego, ale kompozycya niedociągnięta, a obraz Rozalii — moralnie wstrętny, choć ją autor za męczennicę podaje. „Wdowiec" (1856) celuje dowcipem salonowym i obrazem życia aktorów prowincyonalnych, ale niektóre postacie są powtórzeniem dawniej już przez Korzeniowskiego odmalowanych. „Ofiara i sumienie" (1860), nazwana dramatem opowiedzianym, ma tylko figury podrzędne doskonale skreślone, a główne nie wyjaśniają się należycie w akcyi. „Wyprawa po żonę" (1858), dowcipna w szczegółach, jest luźną klejonką scen i charakterów.

Mówiąc wogóle, charakterystyka osób u Korzeniowskiego, podobnie jak i u Kraszewskiego, odnosi się przeważnie do zewnętrznej strony człowieka i jego stosunków z innymi; a w określeniach duszy, umysłu, serca, wyobraźni, poprzestaje na rysach grubych, łatwych do spostrzeżenia, bo rzucających się w oczy. Analiza psychologiczna nie była wprawdzie obcą Korzeniowskiemu, ale się rzadko do niej uciekał; dawszy w „Spekulancie" przykład, że proste conajmniej objawy usposobienia i uczucia oraz ich zmiany potrafi dobrze podpatrzyć i odtworzyć, w późniejszych powieściach, choć sposobność ku temu nadarzała się nieraz, wolał pomijać rozbiór procesów duchowych i tłomaczenie przewrotów, jakie w duszy danych osób zachodziły, i zadawalał się samem zaznaczaniem wyników. Nie było w tem niezawodnie

teoryi z góry powziętej, tylko częścią zamiłowanie w kreśleniu plastycznem osób i położeń, częścią oddziaływanie twórczości dramatycznej na powieściową; w dramacie bowiem sama jego forma powoduje wykluczenie szczegółowego wyjaśniania czynników, które na zmianę zaszłą w danej osobistości wpłynęły, widz musi znaleźć wyjaśnienie takie w faktach, w stosunku jednych osób do drugich. Umiarkowana temperatura uczuciowości i niezbyt wysoki polot fantazyi wykluczyły z zakresu twórczości Korzeniowskiego zdolność do malowania uczuć głębokich i subtelnych, charakterów wielkich, sytuacyj pełnych grozy lub rzewności, marzeń i wzruszeń mistycznych. Znajdziemy w jego pismach różne rodzaje cierpień, bólów, śmierci; znajdziemy nieszczęścia i klęski straszne, widoki przerażające, ale nie spotkamy prawdziwej tragiki. Podobnież nie brak u niego łez, może nawet za często płaczą jego mężczyzni, jakby spadkobiercy powieści sentymentalnych; lecz brak jest obrazów, któreby w samym czytelniku silne rozrzewnienie wywołały, a które u Kraszewskiego np. zjawiają się tak często. Sceny fantastyczne, ilekroć próbował je nakreślić autor „Nowych wędrówek oryginała“, nie sprawiają wrażenia, gdyż imaginacya jego zamało posiadała lotności i giętkości. Natomiast wszystko, co się blizko ziemi trzyma, wszystkie szczegóły powszedniego życia towarzyskiego, wszystkie postaci ludzi zacnych, rozumnych, porządnych, dowcipnych lub też — przewrotnych, obłudnych, wykolejonych, upadłych, nierozważnych i głupich; wszystkie uczucia szlachetne czy niecne, byle tylko zbyt wysoko lub zbyt nizko po za średnią miarę nie przechodziły, znajdowały w Korzeniowskim bystrego postrzegacza i malarza, którego nie zawiodły ani oko, ani pewność ręki. Nikt lepiej wtedy od Korzeniowskiego i wielostronniej, z zachowaniem nader trafnego stopniowania i cieniowania, nie odmalował naszych rodzin arystokratycznych lub mających arystokratyczne urosz-

czenia, nikt zręczniej nie używał dowcipu salonowego; nikt przed nim nie obejrzał tak umiejętnie i nie odtworzył tak prawdziwie kantorów bankierskich, zabaw towarzyskich wśród ucywilizowanych żydów warszawskich, jadłodajni urzędniczych, stosunków i rozmów aplikanckich; on pierwszy sportretował rzemieślnika warszawskiego (bo Kraszewski mówił o tem tylko ze słychu lub wyobraźni) i opisał nauki i obrzędy w cechu stolarskim tradycyjnie przechowywane. A chociaż w malowaniu szlachty wiejskiej miał znakomitego poprzednika i towarzysza w Kraszewskim, nie zapożyczał się od niego w niczem, lecz owszem zaraz przy pierwszem wystąpieniu z większemi powieściami wprowadził obrazy charakterów, sytuacyj, i stosunków, których Kraszewski przed nim nie tykał; przeniósłszy się zaś następnie do Warszawy i jako wizytator szkól jeżdżąc po całem Królestwie, ciągle zasób spostrzeżeń swoich nad szlachtą wzbogacał i pierwszy opisywał nieprzedstawiane do jego czasów w powieściach okolice, charakteryzując je szczegółowo i dobitnie.

Korzeniowski nie hołdował haslu: sztuka dla sztuki; od początku do końca zawodu był w tej kwestyi jak w innych — szlachetnym utylitarystą. Cel, dążność jasną i wyraźną miało każde jego dzieło. W dramatach, których bezwarunkowa większość osnutą była na stosunkach obcych lub na uczuciach ogólno ludzkich, cel ten miał charakter wyłącznie moralny; w komedyach i powieściach przybierał prócz tego cechę społeczną wytknięcia jakiejś wady lub wskazania drogi ku lepszemu i szczęśliwszemu życiu. Nie przeszkadzało to jednak Korzeniowskiemu tworzyć figur żywych i nie zmuszało go bynajmniej do wykrzywiania i fałszowania prawdy gwoli tendencyi, lub do kreślenia postaci abstrakcyjnych.

Pracował do samego zgonu; ostatni swój, wyjątkowo pełen zapału utwór wierszowany p. t. „Na-

sza prawda" (druk. dopiero 1899) dyktował. Umarł w Dreznie 17 września 1863 r. Zbiorowe wydanie „Dzieł" jego w 12 tomach wyszło w Warszawie roku 1871—3.

VIII.

Głównym przedstawicielem powieści historycznej w tej dobie był ZYGMUNT *Józef Erazm* KACZKOWSKI (1826 † 1896). Korzeniowski napisał tylko jedną taką powieść i to słabą; Kraszewski utworzył ich parę („Dyabeł", „Staropolska miłość", „Dola i niedola"), lecz żadna z nich za doskonały obraz drugiej połowy XVIII wieku uchodzić nie może; inni pomniejsi pisarze kreślili drobne tylko zarysy powieściowo-historyczne: Kaczkowski zaś całym szeregiem opowiadań obudził ogromne zajęcie i zaćmił Rzewuskiego, dającego coraz gorsze utwory; jeden z krytyków, który po kilkoletniem milczeniu znowu zaczął zabierać głos w sprawach literackich, *Michał Grabowski*, chciał od autora „Ostatniego z Nieczujów" rozpocząć nowy okres w rozwoju piśmiennictwa naszego i upamiętnić go jego nazwiskiem.

Kaczkowski urodził się we wsi Bereźnicy, w ziemi Sanockiej, którą później z takiem zamiłowaniem i z takim talentem miał opisywać. Rodzice jego, ziemianie, szlachta herbowa, różnili się od siebie temperamentem; matka bowiem była cicha i spokojna, gdy ojciec odznaczał się bystrem pojęciem, żartkim dowcipem i wesołem usposobieniem, — ale w zamiłowaniu życia umysłowego byli ze sobą zgodni. To też młodziutki Zygmunt bardzo wcześnie owoce nauczania pożywał: mając lat *cztery*, umiał już czytać po polsku i po francusku, umiał pisać i trochę rachować; a mając lat siedem, zdał egzamin z 4-ch klas elementarnych według systemu austryackiego, pisał popraw-

nie po polsku i po niemiecku, a w języku francuskim znaczne uczynił postępy. Do gimnazyum nie wszedł z powodu zbyt młodego wieku; kształcił się więc dalej w domu i dopiero od 9 go roku życia rozpoczął naukę szkolną, najprzód we Lwowie w konwikcie dominikańskim, potem w Przemyślu, gdzie wraz z innymi na areszt się naraził, dalej w Samborze, gdzie klasę szóstą przebywał; wreszcie w Tarnowie ją ukończył. W Samborze wykazał usposobienie satyryczne, kreśląc już to dziwaczną mieszaniną różnych języków, już to po *niemiecku* uszczypliwe wiersze na kolegów i profesorów. W r. 1842 zapisał się na wydział filozoficzny w uniwersytecie lwowskim, gdzie najwięcej skorzystał z wykładów filozofii Hanuscha i estetyki Bratranka. Wkrótce utworzył pięcioaktową tragedyę po niemiecku. Otrząsnął się jednakże rychło z niemczyzny, będącej skutkiem germanizacyjnego kierunku ówczesnych szkół galicyjskich, i przeszedł do pisania w języku polskim, naturalnie najprzód wierszem. We Lwowie było mu za ciasno; pragnął pojechać do Paryża, musiał atoli poprzestać na Wiedniu; ale mu i profesorowie i studenci nie podobali się tak dalece, iż wytrwał zaledwie pół roku [1]); to też na wiosnę r. 1843 ojciec ustąpił mu Bereźnicę, zalecając gospodarkę, jako rzecz najodpowiedniejszą dla szlachcica. Zygmunt wszakże nie bardzo się garnął do roli; pociągały go powaby życia towarzyskiego we Lwowie, nie przeszkadzając jednak używać rozrywek umysłowych w gronie uczonych i literatów, zbierających się wówczas w Zakładzie Ossolińskich. A był nie tylko biernym słuchaczem na tych wieczorach, lecz czerpał z nich podnietę do tworzenia. Jakoż pierwsze rzeczy jego drukowane wierszem i prozą pochodzą z r. 1845. Mieszczą się one w „Dzienniku

---

[1]) Zygmunt Kaczkowski: „Mój pamiętnik z lat 1833 — 1843“, Lwów, 1899.



Zygmunt Kaczkowski.

(Z Tygodnika Ilustrowanego).

mód paryskich", jedynem czasopiśmie literackiem, jakie wtedy wychodziło w stolicy Galicyi. Tworzenie to przerwane zostało r. 1846 pamiętną rzezią. Jak przeważna część młodzieży naówczas, tak i Kaczkowski wyznawał zasady demokratyczne, a lubo należał do umiarkowanych zarówno z usposobienia, jak i pod wpływem Wincentego Pola, źle wróżącego propagandzie rewolucyjnej, dał się wraz z ojcem porwać ruchowi z r. 1846, co tak straszliwie wyzyskany został i przemienił się w rzeź szlachty przez chłopów. Obaj odpokutowali dwuletniem więzieniem, najprzód w Sanoku, potem we Lwowie. Dopiero rewolucya wiedeńska z r. 1848, jak dla innych, tak i dla nich przyniosła oswobodzenie. Te dwa lata oddziałały na zmianę przekonań społecznych Zygmunta; z demokraty, wierzącego w potężną doniosłość uobywatelenia ludu, stał się wielbicielem, choć nie bezwarunkowym, idei szlachetczyzny w przeciwstawieniu do arystokracyi.

Do zajęć literackich wrócił r. 1850, drukując w „Pamiętniku literackim" lwowskim dużo artykułów krytycznych i wierszy. Wiersze były gładkie i potoczyste, lecz nie wskazywały wyższego uzdolnienia; w krytyce zaś przejawiał się umysł jasno i trzeźwo myślący, z pewnemi już wyrobionemi i ustalonemi przekonaniami; nie nabrały one jednak szerszego rozgłosu. W czasach reakcyjnych nie myśl głębsza, wymagająca ze strony czytelnika pewnych wysiłków duchowych, lecz barwność i plastyka, lekkość i swoboda wyrażenia, nie trudząca ducha, najwięcej popłacają. W ton, odpowiadający nastrojowi tej doby, trafił Kaczkowski dopiero w r. 1851 drobnym obrazkiem p. t. „Bitwa o chorążankę", który w ciągu tego roku trzykrotnie został przedrukowany. Pod względem treści i myśli rzecz to błaha — figle płatane sobie nawzajem przez dwu konkurentów: Sanoczanina i Przemyślanina, w końcu bójka i pijatyka na zgodę— ale pod względem wykonania figury występowały tak żywo i plastycznie, przemawiały stylem tak malow-

niczym i znamiennym, że się natychmiast wrażały w pamięć i długo w niej tkwiły. A jak dalece ogół owoczesny pożądał tylko zabawy, między innemi estetycznej także, dowodzi los drugiej tegoż samego roku wydanej powiastki Kaczkowskiego p. t. „Kato". Treścią jej jest obraz usposobienia i poglądów inteligencyi przed rzezią galicyjską, rzecz zatem żywotna i interesująca, a przytem silnie pobudzająca myśl do poważnego zastanowienia. A przecież powiastka ta przemknęła się bez wrażenia, dlatego, że w niej pierwiastek refleksyjny stanowczo górował nad malowniczym, dlatego, że była rozumnem, lecz suchem rozważaniem wypadków, nie zaś barwną, żywo opowiedzianą anegdotą.

I taki był wogóle los wszystkich dalszych powieści „spółczesnych" Kaczkowskiego, gdyż w nich traktował tematy poważniejsze i głębsze; a tymczasem ogół czytający lgnął do obrazków życia szlacheckiego o szczupłym widnokręgu myśli, ale za to tętniących ruchem, animuszem, dziarskością, oraz świetnością malowidła. Nic dziwnego, że wśród podobnego nastroju powieściopisarz zaczął z zamiłowaniem kreślić takie obrazki. Na wzór Rzewuskiego obrał sobie jako opowiadacza postać zmyśloną Imć pana Marcina Nieczuję, który był rodzoniutkim bratem Imć pana Seweryna Soplicy, tylko młodszym, a więc podatniejszym na wpływy i mającym wspomnienia poetyczniejsze z zarania życia. Utożsamia on interesa rodzin magnackich z dobrem kraju, jest przywiązany do klejnotu szlacheckiego fanatycznie; religijność jego zabobonna i formułkowa; ale przytem odznacza go w sprawach codziennych pewna bystrość, a w sprawach uczucia dobroć zasadnicza i rzewność. Umie opowiadać charakterystycznie; a przygody, jakich mu dostarczyło życie, są zajmujące. Opowiadania jego wypełniły 6 tomów „Ostatniego z Nieczujów" (1853—55, Petersburg i Mohilew), gdzie prócz mniejszych obrazków znajduje się malowidło obyczajów drugiej

połowy XVIII wieku na skalę rozległą, malowidło wykonane bardzo starannie, a przytem śmiało i dzielnie p. t. „Murdelio“, stawiany przez Michała Grabowskiego na równi z „Listopadem“ Rzewuskiego. Wypadki opowiedziane w „Murdelionie“ są mniej ważne niż w „Listopadzie“; charaktery nie posiadają tej doniosłości, bo się obracają w kole stosunków prywatnych tylko; ale żywość akcyi i ilość postaci znamiennych jest nieporównanie wyższa niż w utworze hr. Henryka.

Rok 1855, w którym Kaczkowski odbył podróż za granicę, a w Paryżu zaznajomił się ze znakomitościami polskiemi i obcemi, stanowi punkt zwrotny w twórczości autora „Ostatniego z Nieczujów”. Zrozumiał wówczas, że ten ciasny widnokrąg spraw, jaki odtwarzał w swych opowiadaniach, nie może oddziaływać korzystnie na umysłowość czytelników, że szlachta pijąca, bijąca się i godząca nie może być dobrym wzorem dla spółczesnych, że zatem należy rozszerzyć horyzont i dać na nim podnioślejsze widoki. Nie porzucając na razie postaci przez siebie obranej, każe jej wchodzić głębiej w treść życia z końca XVIII i początku XIX stulecia i kreślić obrazy nie jednostkowych lub prowincyonalnych stosunków, lecz takich, które całość kraju, interesa ogólne miały na widoku. Taką właśnie cechę ma 4 tomowa powieść, pełna scen interesujących i wstrząsających, lecz luźnie skomponowana, p. t. „Grób Nieczui” (1858). Złożywszy swego bohatera do grobu, zaczął przemawiać wprost już od siebie. „Annuncyata” (1859), na tle konfederacyi barskiej osnuta, była wyrazem zmienionego punktu widzenia. Nie otaczanie wszystkiego, co minęło, złocistą aureolą wspomnień sympatycznych, ale cała *prawda* o przeszłości stała się dla powieściopisarza hasłem zasadniczem. To atoli stanowisko krytyczne względem czasów ubiegłych odbiło się niekorzystnie na stronie artystycznej utworu. Niektóre tylko postaci, niektóre tylko sceny odznaczały się tą

żywością kolorytu i wypukłością, co dawniejsze Nieczujowskie opowiadania; uwagi uboczne, refleksye, i roztrząsania, przerywające wątek i niszczące illuzyę przedmiotowego rozwijania się wypadków przed wyobraźnią czytelników, lubo same w sobie rozumne najczęściej, psuły przecież budowę dzieła i nie przyczyniały się do spotęgowania wrażeń estetycznych. Jeszcze dalej w tym samym kierunku refleksyjnym, poszedł Kaczkowski w dwu następnych powieściach „Sodalis Marianus" (1859) i „Żydowscy" (1860 w „Kółku domowem"). Ta druga była już, właściwie mówiąc, pamfletem jeno, wymierzonym przeciwko głowom wichrowatym, z wyraźnemi alluzyami do znakomitego poety, Kornela Ujejskiego.

Ten charakter twórczości, do którego doszedł zczasem gawędziarz staroszlachecki, zwraca nas do przeglądu powieści jego „spółczesnych", naznaczonych również przewagą pierwiastku refleksyjnego nad malarskim. Po „Katonie" zabrał się Kaczkowski dopiero w lat trzy do malowania stosunków chwili bieżącej, pisząc: „Wnuczęta" i „Dziwożonę" (w wyd. książkowem obie r. 1855). W obu poruszone są zagadnienia bardzo ważne i bardzo interesujące, jakkolwiekbyśmy oceniali oświetlenie, w jakiem zagadnienia te ukazuje nam autor. „Wnuczęta" — to obraz trzech pokoleń XIX wieku, z nieukrywaną bynajmniej dążnością przedstawienia ich kolejnego karłowacenia. W pierwszem pokoleniu była jeszcze siła i dzielność, było poczucie życia czynnego i użytecznego, a lubo w charakterach odnajdywało się dużo usterek i słabostek; to przecież rozumienie interesów ogólnych i przejmowanie się nimi mogło braki te wynagrodzić. W drugiem pokoleniu widać już większe zepsucie, większe samolubstwo, a przytem próżniacze naśladownictwo zagranicy, bezcelowe wałęsanie się po obcych krajach. Najmłodsza wreszcie generacya nie tylko nie dostrzega celu w życiu, lecz skarlała zarówno fizycznie jak umysłowo i moralnie; bierność

albo podłość — oto jej najogólniejsza charakterystyka. Że Kaczkowski w zapędzie publicystycznym, chcąc przeciwdziałać obniżaniu się poziomu moralnego, przesadził w malowaniu pewnych i to ujemnych tylko cech pokolenia, do którego sam przecież należał, nie ulega to chyba wątpliwości, dzisiaj zwłaszcza, kiedy owo pokolenie, w przeciwstawieniu do najnowszego, wystawiamy sobie jako przeniknięte szlachetniejszymi niż karyerowiczostwo ideałami. W „Dziwożonie" widzimy podobnież jednostronność. Chciał tu Kaczkowski odmalować okres od r. 1831 do 1850 i uwydatniającą się w nim walkę kierunku demokratycznego i arystokratycznego. Twierdził on, że bezstronnie chciał przedstawicieli tych kierunków odtworzyć, ale w wykonaniu skutek daleko pozostał poza zamiarem. Reprezentant arystokracyi, lubo lekkomyślny, sympatyczniej jednak się nam przedstawia, aniżeli rozwichrzony demokrata, który głosząc wzniosłe idee, w życiu popełnia same niemal występki, a w końcu przekleństwo krajowi przesyła.

Powieści te były wykończone przed pierwszym wyjazdem Kaczkowskiego do Paryża i noszą na sobie cechy niechęci, jaką pałał dawny demokrata, zawiedziony w swych oczekiwaniach, do haseł, niegdyś przez siebie wyznawanych. Powróciwszy z podróży, rozejrzawszy się w szerokich widnokręgach życia nowoczesnego, powieściopisarz nie dopuszczał się już takiej jednostronności. Pozostał wprawdzie szlachcicem, ale nie wykluczał bynajmniej możności, by nieszlachcic mógł zostać dobrym obywatelem. Dwa środki ku temu podawał: uczucie religijne pielęgnowane szczerze, oraz pożycie wśród szlachty z dobrego gniazda. Pierwszy środek uczynił z księdza wikarego w „Stachu z Kępy" (1856) zapalczywego trochę, lecz szlachetnego i gorliwego szerzyciela oświaty wśród ludu; drugi powołuje dziecię wieśniacze (w „Bajroniście" 1857) na małżonka arystokratki i właściciela znacznego majątku; a demokratycznemu

doktrynerowi Skibie (w „Rozbitku" 1861) pozwala ciągle się wyszlachetniać i niezmordowaną pracą wetować szkody zadane gospodarstwu szlacheckiemu niedojrzałemi lub zgubnemi ideami. Niezależnie od tego wyrozumialszego traktowania demokracyi, mają wymienione tu trzy powieści niemałe znaczenie, jako publicystyczne wskazówki w doniosłych zagadnieniach społecznych. „Stach z Kępy" przedstawia stosunek chaty do dworu i plebanii; „Bajronista" smaga bezowocne marzycielstwo; „Rozbitek" daje rady gospodarzom, jak mają ratować swe majątki po uwłaszczeniu wieśniaków. Pod względem artystycznym najlepszą powieścią społeczną Kaczkowskiego jest „Bajronista", najsłabszą „Rozbitek", przeciążony czysto dydaktycznymi wykładami, a w kompozycyi nadzwyczaj luźny.

Rady, dawane przygodnie w powieściach, postanowił Kaczkowski, jako przedstawiciel umiarkowania w polityce i stosunkach społecznych, rozpowszechniać w dzienniku i założył we Lwowie r. 1861 „Głos". Niedługie było trwanie tego organu. Dziwna ironia losu zaprowadziła reprezentanta umiarkowania do więzienia austryackiego, w którem ponownie miał sposobność zastanowić się nad przeszłością i nad sobą, rozpatrzyć się w materyałach rękopiśmiennych, dotyczących wieku XVIII, oraz kończyć rozpoczęte już poprzednio studyum historyczne p. t. „Kobieta w Polsce", studyum, które dopiero po latach 30 paru miało w całości wyjść z druku (1895, Petersburg).

Po wypuszczeniu z więzienia Kaczkowski wskutek okoliczności politycznych zaniechał zawodu pisarskiego, wyniósł się z Galicyi i osiadł w Wiedniu. Jak dawniej Michał Wiszniewski, tak teraz on oddał się operacyom finansowym; był atoli od niego szczęśliwszym i dorobił się znacznego majątku, a choć podczas głośnego „krachu" w r. 1873 dużo stracił, pozostało mu jednak tyle, że przejechawszy do Pa-

poprzedniej, ale ci, co przejmując z wszystkich epok co w nich było pię-
knem, szlachetnem i wzniosłem, utrzymują ciągłość i spójność ducho-
wego rozwoju. Ci, którzy około tego rozwoju pracują, nie powinni się
zrażać surowemi sądami tworzących się od czasu do czasu koteryj lub
stronnictw, czy takowe usiłują postęp powstrzymać i cofnąć, czy też
ruchem gwałtownym popychać go naprzód. Takie koterye są jak
chmury powietrzne, które horyzont społeczeństwa na chwilę zaćmią
albo ognistym blaskiem oświecą, ale mimo to ani jego duchowej

Autograf Z. Kaczkowskiego.

ryża, mógł dalej operacye prowadzić i zająć tam w świecie bankierskim jako Mr. de Pomian wybitne stanowisko. Do literatury wrócił dopiero w r. 1879, kiedy na życzenie redaktora „Gazety Polskiej" nadesłał mu powieść współczesną p. t. „Graf Rak". Podjęta w niej została ważna kwestya naukowo-społeczna: znaczenie materyalizmu teoretycznego i praktycznego, pierwiastek refleksyjny przeważał stanowczo nad malowniczym. Postać tytułowa, w pomyśle doskonała i w kilku pierwszych scenach znakomicie odtworzona, tonie później w powodzi rozpraw, a raczej nadmiernie długiego monologu, w którym Graf Rak stara się udowodnić, że wyniki nauki nie tylko nie przeczą nieśmiertelności duszy, lecz ją owszem stwierdzają. W ośm lat potem zwrócił się ponownie do powieści historycznej, z zamiarem wskazania młodszym autorom, jak należy „ducha dziejów" odtwarzać. W „Abrahamie Kitaju" (1887) wypadkiem najważniejszym jest wyprawa wiedeńska, ale że autor nie poczytywał świetnego zwycięstwa nad Turkami za objaw potęgi narodowej pod koniec wieku XVII, jeno za fajerwerkowy wybuch dzielności rycerskiej, więc przedstawił je chłodno, niemal po kronikarsku; rozwiódł się natomiast szeroko nad tem, co uważał za istotną cechę czasów Sobieskiego, a zatem nad słabością rządu, a rozzuchwaleniem się oligarchii. Na odmalowanie tych stron życia cały swój talent plastyczny obrócił i stworzył istotnie kilka scen wspaniałych. „Olbrachtowi rycerze" (1889) to znakomimicie, lubo chłodno, skreślony obraz cywilizacyjny Polski z końca wieku XV-go. Śmiało twierdzić można, że żaden z naszych autorów dawniejszych nie dał tak rozleglego, tak wyczerpującego i tak na wiarogodnych świadectwach opartego malowidła przeszłości, jak Kaczkowski w tym właśnie utworze; z obcych tylko Wiktor Scheffel w swoim „Ekkehardzie" może tu iść w porównanie, z tym atoli zastrze-

żeniem, że nasz autor nie miał takiego polotu poetyckiego, ani tak pięknego stylu, jak niemiecki.

Powieści „spółczesnych”, wydrukowanych po „Olbrachtowych rycerzach”, mamy trzy: „Wasi ojcowie” (1892 w „Dzienniku polskim”) „Zaklika” (1893 w 3-ch tomach, Kraków), „Święta Klara” (1895 w „Nowej Reformie“ krakowskiej). Pod względem artystycznym wartość ich jako całostek sztuki, jest wogóle szczupła; lecz pod względem świeżości i ważności tematów, w nich poruszonych, pod względem oryginalności postaci, jakie w nich zostały wyprowadzone, niewiele znalećby można im równych. Kaczkowski nie chciał się zadowolić malowaniem życia potocznego, zajętego sprawami bardzo powszedniemi, lecz sięgał do podwalin, na których wspiera się budowa społeczna i narodowa, i pragnął umysł czytelnika skierować ku głębszemu wglądaniu w najistotniejsze sprawy bytu. Nie obce mu były najnowsze prądy i kierunki, a pełen wyrozumiałości, zdobytej doświadczeniem, nie potępiał ich ryczałtem i bezwzględnie, karcąc to tylko, co było naprawdę niedorzecznem lub zgubnem, Okazał się on w tej mierze rozleglejszym umysłem, niż znaczna część jego rówieśników; chciał zrozumieć wszystko i nie stać się duchowo zacofanym. Wogóle mówiąc, Kaczkowski był to człowiek, obdarzony rozumem jasnym, trzeźwym, obejmującym szerokie widnokręgi, lecz nie znajdującym upodobania w objawach tajemniczych, mglistych, mistycznych, lub miękkich, rozmarzonych, czułostkowych. Zgodnie z takim rodzajem umysłu, fantazya jego nie była lotną, nie szybowała śmiało i odważnie po krainach marzeń i zachwytów, owszem trzymała się ziemi i najlepiej odtwarzała rysy zewnętrzne, mając na posługi zdolność plastycznego kreślenia scen i postaci. Fantazyi tej brakowało swobody, brakowało drgnień namiętnych, brakowało ciepła. Strona bowiem uczuciowa u tego powieściopisarza od samego początku była jakby skrępowaną. Nie znaczy to,

ażeby Kaczkowski nie umiał odczuć bólu i radości, uniesień i zobojętnienia, zapałów i ostygnięć; owszem, potrafił je nawet malować, ale nigdy nie dał się porwać wybuchowi namiętności, ponieważ czynnik refleksyjny stanowczo w nim przeważał. Miało to swoją znaczną zaletę, bo u nas mdłej uczuciowości jest podobno zadużo, tak że oddziaływanie jasnego rozumu nigdy nie zawadzi; muszę jednak zaznaczyć, że uczuciowość wyższego rzędu wszędzie, a tembardziej u nas, decyduje o wyraźnym wpływie autora na serca i wytwarza popularność; w dziale zaś sztuki stanowi obok fantazyi, najważniejszy składnik. Jako artysta szwankował mocno pod tym względem Kaczkowski, zwłaszcza że głębszej analizy psychologicznej nie uwzględniał, lekceważył ją nawet; natomiast tyle złożył myśli ważnych w powieściach spółczesnych i publicystycznych pracach swoich, że będą one stanowić cenną skarbnicę dla wszystkich, co myśl szacować umieją. Nie wszystkie oczywiście jego poglądy mogą być uznane za trafne i słuszne; sam on przechodził trzy conajmniej fazy w swoim rozwoju duchowym, pociągające za sobą zmianę w przekonaniach, a zwłaszcza w ich cieniowaniu; nie ceni się atoli ludzi jedynie za prawdy niewątpliwe, przez nich wypowiedziane, lecz także i za wielki zasób umysłowy, pozwalający im rozbudzać drzemiące w czytelnikach zdolności i w ruch je wprawiać. Takim budzicielem myśli, jednym z najżywszych w naszem powieściopisarstwie, był właśnie autor „Wnucząt" i „Świętej Klary". Pod względem artystycznym zaś zajmuje, obok Rzewuskiego, miejsce najwybitniejsze wśród malarzy naszej kontuszowej przeszłości, jako autor „Ostatniego z Nieczujów".

IX.

Pomijając tu podrzędnych powieściopisarzów, kreślących czy to współczesne czy minione stosunki,

bez dodania nowych jakichś rysów, nowych stron do tych, jakie odmalowali trzej naczelni, winienem podać charakterystykę autora, który w jednym z utworów swoich starał się odtworzyć wszystkie warstwy społeczeństwa naszego, jakby epopeją czasów naszych, pisaną w prozie, i który zarazem skutkiem różnorodnych wpływów uchronił się od działania reakcyi na jego umysł; stanowiąc w tej dobie jedyne przeciwieństwo względem prądu ogólnego. Autorem tym był: KAROL EDMUND CHOJECKI (1822 † 1899). Otrzymawszy średnie tylko wykształcenie, czytaniem zdobył sobie jeżeli nie gruntowne, to błyskotliwe i do popisów potrzebne wiadomości. Nie bawiący się w tkliwe uczucia, ambitny, mściwy, lecz umiejący się zastosować do okoliczności, bo giętki, wróg przemysłu, jako czciciel ideału, ale zawsze praktyczny, bardzo młodo wziął udział w pracy piśmienniczej. Przybywszy r. 1841 do Warszawy, nosząc się zawsze wytwornie według mody i nie przestając z cyganami literackimi, a szydząc z emancypacyi kobiet, redagował osobny przy „Gazecie Warszawskiej“ dodatek p. n. „Echo“ przez czas bardzo krótki, a potem pomieszczał dużo wierszy i powiastek w ówczesnych wydawnictwach; zwłaszcza w „Bibliotece Warszawskiej”. Schłostany przez Michała Grabowskiego, zachował do niego straszną urazę i mścił się na nim szyderstwami w późniejszych utworach. W r. 1843 odbył wycieczkę na Krym, przypominając sobie natchnienia Puszkina i Mickiewicza, skrzętnie notując podania miejscowe, wrażenia swoje, spostrzeżenia i wyniki rozczytywania się w dziełach historycznych złożył w starannie, ale niezbyt czystym językiem pisanej, czasami dowcipnej, lecz częściej pretensyonalnej książki, ogłoszonej w Warszawie r. 1845 p. t. „Wspomnienia z podróży po Krymie“.

Ale już w drugiej połowie r. 1844 wyjechał do Francyi; zaznajomił się rychło z właściwą sobie zręcznością nie tylko z rodakami, ale i z wybitnymi

Francuzami odmiennymi od siebie w poglądach jak Emil de Girardin i Proudhon; pisywał artykuły do „Revue indépendante". Równocześnie jednak nie zapominał o języku polskim: ogłaszając zbiorek wierszy p. t. „Gęśla" (1846), oraz dwutomową pracę publicystyczną, na swój czas cenną, p. n. „Czechia i Czechowie przy końcu pierwszej połowy XIX stulecia" (1847). W r. 1848 pojechał na pamiętny Zjazd słowiański do Pragi czeskiej, jako wielbiciel „gminy słowiańskiej", co to urzeczywistniła zasadę „wolności we wspólności"; lecz ścigany przez rząd austryacki, wrócił do Paryża i został na krótko sekretarzem redakcyi dziennika, założonego w połowie marca 1849 roku przez Mickiewicza p. t. „Tribune des peuples". Rozstawszy się z tym dziennikiem, skreślił żywy i świetny obraz ruchu politycznego w Europie, rozpoczętego lutową rewolucyą francuską, z namiętnem potępieniem wszelkich półśrodków. Broszura ta, w której talent stylistyczny Chojeckiego zabłysnął całą świetnością, ma napis: „Rewolucyoniści i stronnictwa wsteczne w r. 1848" (Berlin, 1849, drugie wydanie Lipsk, 1865). Parę lat następnych przepędził to w Egipcie, ucząc się języków wschodnich, to we Włoszech i Szwajcaryi. Za powrotem do Paryża w r. 1851, opracował największy i najlepszy swój utwór w języku polskim p. n. „Alkhadar, ustęp z życia ojców naszych" (1854, Paryż, trzy tomy; drugie wyd. Lipsk, 1869, cztery tomy).

Według własnych słów, zamiarem jego nie było napisać „powieść wyłącznie zajmującą, nie dramat z krzyżujących się namiętności, ani satyrę tylko przeciw wadom i błędom rodaczym"; lecz pragnął na tle życia narodowego „odszkicować kilka pospolitych charakterów w przebojach ze zwykłymi towarzyskimi stosunki", by wskazać, „co i dlaczego ma prawo do życia, co i dlaczego powinno i musi ustąpić z pola rzeczywistego bytu". Dążność główną opowiadania stanowiła obrona „osobistej niepogwałcalności, osobi-

stej swobody myśli, słowa i sumiennego czynu" jako najważniejszego warunku przyszłej pomyślności porządku społecznego. Rzecz dzieje się przeważnie w Galicyi na kilka lat przed r. 1830; ale Chojecki barwy do swego obrazu brał raczej ze stosunków późniejszych, lepiej sobie znanych. Dał on tu szeroki zarys życia towarzyskiego i społecznego we wszystkich prawie warstwach narodu; przedstawił magnatów, szlachtę, duchowieństwo, mianowicie działalność zakonu jezuitów, pieniężników (t. j. bankierów), dworszczyznę austryacką (Szambelan) i lud ciemny a uciemiężony, dla którego głębokie, serdeczne wszędzie objawia spółczucie. Wśród ogólnej lekkomyślności lub otępienia duchowego, wśród zepsucia, próżniactwa lub przewrotnych intryg, wybitnieje dwu braci Porajów: starszy Piotr i młodszy Kazimierz, którzy jako ludzie „prawdziwie męskiego hartu", rozumem, pracą, oszczędnością, jak niemniej miłością dla ludu, okazaną darowaniem pańszczyzny i czynszów, wnoszą odżywczy pierwiastek do organizmu społecznego. Kazimierz pozyskał serce Maryi, córki hr. Sokolnika, i był w przededniu ustalenia swego jednostkowego szczęścia, ażeby dalej pracować nad sprowadzeniem szczęścia ogółu, gdy przywódca hulaszczej młodzieży, Wilczek, krewniak hrabiego, znieważa go strasznie, zowie go tchórzem, spodziewając się, że zostanie wyzwany. Lecz Kazimierz, przedstawiciel idei indywidualistycznej, owej „osobistej niepogwałcalności", nie chce uledz naciskowi przyjętego zwyczaju; jego zdaniem, do pojedynku stawać powinni ludzie, mogący ponieść jednakowe przez śmierć straty; w położeniu takiej ujemnej istoty jak Wilczek nie widzi tego warunku i dlatego wcale go nie wyzywa. Przez to rozstaje się z bratem, traci narzeczoną, musi usunąć się od świata. Przez dwa lata z górą nie zważa na swe osamotnienie; ale gdy poznał uwiedzioną i opuszczoną przez Wilczka dziewczynę wiejską Nastusię; gdy przytem zarzut tchórzostwa uniemożliwiał

działalność publiczną; przybywa do majątku Wilczka, który się w tym przeciągu czasu ustatkował i ożenił z córką pieniężnika Dahlmana, przyzywa swego niegdyś znieważyciela i żąda pojedynku bezzwłocznego. W Wilczku ocyka się dawne awanturnicze usposobienie, staje do walki i pada...

Powieść ta obfituje w dużo świetnie nakreślonych scen i głębszych myśli, ale jak na utwór belletrystyczny, za ciężko wogóle była pisana, zamało posiadała żywości akcyi i ciepła, za wiele mieściła w sobie rozpraw i roztrząsań; styl jej, starannie obrobiony, niekiedy prawie rytmiczny, wydawał się zmanierowanym. Żywszego zajęcia nie obudziła ze znanych nam już z ogólnej charakterystyki okresu tego powodów.

Autor, który ją wydrukował własnym nakładem, widząc, jak egzemplarze rozchodzą się leniwo, pożegnał język ojczysty i zaczął prawie wyłącznie pisać po francusku, zwłaszcza odkąd się dostał na dwór księcia Napoleona (1856) i z nim odbył podróż po morzach północnych, którą potem we wspaniale wydanej książce przedstawił. Następnie już to zaznajamiał Francuzów z literaturą polską, już to pisał dramata, komedye i powieści, na stosunkach francuskich czy wogóle obcych oparte. Pod pseudonimem *Charles Edmond* wszedł do grona pisarzów francuskich i pozyskał pewne uznanie. O obowiązkach swoich względem kraju rzadko już sobie przypominał, bo jedną tylko powieść z nowoczesnego życia greckiego p. t. „Praxeda" (1869) po polsku stylem przesadnym napisał i jeden tylko odczyt miany r. 1870 w Towarzystwie pomocy naukowej w Paryżu drukiem ogłosił. Kilka jego powieści francuskich językowi naszemu przyswojono.

X.

Dziejopisarstwo nasze aż do tej doby miało pracowników tylko na polu czysto naukowem, a o jego spopularyzowanie kusili się jeno: *Jędrzej Moraczewski*, bez wielkiego powodzenia, w swoich 9-tomowych „Dziejach Rzeczypospolitej polskiej", oraz *Lucyan Siemieński* w rozgłośnych „Wieczorach pod lipą", przeznaczonych dla czytelników najskromniejszego stopnia wykształcenia. Są to oczywiście dzieła zupełnie odmiennego rodzaju i zakresu; jedno, w późniejszych mianowicie tomach, opierało się na samodzielnych badaniach; drugie uwzględniało jedynie najważniejsze wypadki historyczne i miało znaczenie zupełnie elementarne. Połączenia gruntowności badań źródłowych z przystępnym, a tem bardziej artystycznie pięknym wykładem nikt długo nawet nie próbował; praca w tym kierunku przez Mickiewicza podjęta, pozostała w rękopiśmie. A tymczasem na Zachodzie już od roku mniej więcej 1820, pod częściowym wpływem powieści historycznych Walter Scotta, starano się nie tylko o zrozumienie, nie tylko o odczucie zwyczajów, obyczajów i stanów duszy w przeszłości, ale także o malownicze i plastyczne ich odtworzenie za pomocą odpowiednich opisów, obrazów i charakterystyki. Jak postępowali powieściopisarze z wymyślonemi przez siebie położeniami i osobistościami, tak historycy zaczęli postępować z faktami dokładnie zbadanymi i z postaciami dziejów rzeczywistych. Augustyn Thierry dał pierwszy przykład takiej „opowieści" historycznej w „Historyi podbicia Anglii przez Normandów" (1825) i znalazł wielu czytelników i naśladowców; Tomasz Carlyle metodę tę pogłębił psychologicznie, starając się za pomocą mozaiki ze świadectw wiarogodnych wprowadzić nas do wnętrza duszy osób historycznych; Macaulay zaś w szkicach swoich i w „Historyi Anglii" rozwinął nie tylko stro-

nę opisową znakomicie, lecz i świetność charakterystyki.

U nas pierwszym tego rodzaju dziejopisarzem, który do literatury w ściślejszem znaczeniu wyrazu, liczyć się ma prawo, był KAROL SZAJNOCHA (1818 † 1868), jeden z przykładów rychłego polszczenia się obcych pochodzeniem rodowem ludzi. Nie odrazu jednakże stał się on dziejopisem malowniczym; owszem przeszedł dość długą drogę powolnego rozwoju i błąkał się w różnych kierunkach, zanim natrafił na drogę właściwą. Ojciec jego (Scheynoha Vtellensky) przybył z Czech do Galicyi jako urzędnik austryacki, ożenił się z Polką patryotką Maryą Łozińską; to też syn Karol, urodzony w Komarnie pod Samborem, wcześniej od Wincentego Pola uległ wpływowi polskiemu. Uczył się w szkołach zgermanizowanych (samborskich i lwowskich), gdzie język nasz wykładano po niemiecku; miewał z niego stopnie mierne; czytywał przeważnie autorów niemieckich lub też w tłomaczeniu niemieckiem; ale już w gimnazyum pilnie się zajmował historyą powszechną i polską, układał krótkie jej rysy i zestawiał pamiętne daty. W siedemnastym roku życia, podejrzany o zamiar utworzenia kółka archeologów, dostał się do więzienia u karmelitów we Lwowie, a wilgotne mury, w których był zamknięty, i ciemność w nich panująca, zrujnowały mu w przeciągu półtora roku zdrowie; z nich bowiem wyniósł początki reumatyzmu i chorobę oczu, co go w ostatnich dziesięciu latach życia miała wzroku całkiem pozbawić. Jedną tylko książkę do nabożeństwa wolno mu było mieć w swej brudnej i cuchnącej klatce; odczytując ją wciąż w samotności, wpadł w nastrój mistyczny, ale równocześnie wyrobił w sobie wielki hart ducha, podtrzymywany w nim przez anioła opiekuńczego więźniów, cichą, łagodną, pełną poświęcenia Amelię Radziszewską, znaną pod przezwiskiem „Cipci“ i pod niem w dziejach literatury naszej uwiecznioną. Po opusz-

czeniu więzienia w 1837 r. miał jeszcze przez czas jakiś skrępowaną swobodę; nie dozwolono mu bowiem mieszkać we Lwowie; musiał trudnić się nauczycielstwem prywatnem na prowincyi. Aby się wywiązać z zadania sumiennie, sam dużo czytał i wiadomości zdobyte przerabiał piśmiennie.

Gdy mu wreszcie wolno było przenieść się do Lwowa, osiadł tu jako korektor (od 1843 do 1847) „Gazety Lwowskiej", tłómacząc przytem do „Rozmaitości" przy niej wydawanych anegdoty z czasopism niemieckich. Związał się wtedy serdeczną przyjaźnią z młodym entuzyastycznym Kornelem Ujejskim, stanowiąc względem niego kontrast jako sensat poważny i mrukliwy. Czuł jednakże popęd do twórczości poetyckiej. Już w r. 1841 wydrukował w „Dzienniku mód paryskich" pierwszy swój utwór: „Romans na własne oczy widziany" i kilka innych drobnych artykułów; a w 1843 wystawił w teatrze czteroaktową tragedyę prozą p. t. „Stasio". Talentu prawdziwie dramatycznego nie posiadał, chociaż długo się pod tym względem łudził, kreśląc dla sceny efektowną sztukę p. t. „Panicz i dziewczyna"; ogłaszając w r. 1850 dramat historyczny wierszem białym napisany p. t. „Jerzy Lubomirski"; kilka utworów tego rodzaju spalił.

Atoli zajmując się temi próbami belletrystycznemi, pracował równocześnie nad dziejami. Zaznajomiwszy się z zasadami reformatora geografii, Karola Rittera, zaczął je stosować do wykładu i objaśnienia dziejów Polski. W „Poglądzie na ogół dziejów polskich" (drukowanym 1847 w „Bibliotece Zakładu Ossolińskich") za pomocą „teoryi geograficznego oddalenia Polski od Zachodu i stopniowego oświetlania różnych wzniesień i dolin przez słońce" chciał historyozoficznie wytłómaczyć spóźnianie się okresów dziejowych historyi naszej w stosunku do historyi powszechnej. Rozprawa ta pisaną jest jeszcze stylem suchym, długimi i zawiłymi okresami, na wzorach



Karol Szajnocha

niemieckich kształconymi. W rok potem posługiw się już innym stylem i inną metodą, przypominającą Thierrego i Macaulaya. Pierwszy wytworzył u nas formę „szkicu“ historycznego, który nie jest rozprawą i rozumowaniem, nie jest także suchem wyliczeniem zdarzeń i rysów znamionujących pewną osob ę historyczną, ale barwnym obrazem jakiejś wydatnej osobistości lub wypadku i ich szeregu, z perspektywą i plastyką artystyczną. Takim przedewszystkiem jest szkic o „Bolesławie Chrobrym“, ogłoszony drukiem we Lwowie r. 1849. Widać tu najprzód, że autor jest upojony wielkością swego bohatera i świetnością kraju za jego czasów. Bolesław jest przedstawicielem władzy silnej, rozsądku zdrowego i szerokich poglądów politycznych. Ale bynajmniej nie myślał go Szajnocha idealizować, wystawiać za wzór postępowania, wielbić wszystkie jego postępki, ukrywać wady lub takie objawy charakteru, które dzisiaj, przy zmienionych warunkach cywilizacyjnych, za ujemne poczytujemy. Ten „lew ryczący“ używa naprzemian pokory i buty, chytrości i gwałtu, okrucieństwa i łagodności, uszanowania dla kapłanów świeżo zaprowadzonej wiary i jaskrawego łamania jej przepisów. Szajnocha *wczuł* się w wiek XI, przeniósł się weń nie tylko rozumem, ale uczuciem i wyobraźnią, a chcąc i czytelnika jaknajbardziej spoufalić z tak oddaloną epoką, użył wyrazów, wyrażeń i całych ustępów z kronikarzy najbardziej zbliżonych do czasów Chrobrego, oraz z wszelkich dokumentów mogących najdobitniej przemówić do rozumu, serca i imaginacyi. Z tych wyrazów i zwrotów ułożył z talentem śliczną mozaikę, odtwarzającą za pomocą barw, właściwych czasom opisywanym, ludzi, rzeczy i stosunki.

Równocześnie z „Bolesławem Chrobrym“ wyszedł drugi szkic: „Pierwsze odrodzenie się Polski 1279—1333“ i podobne posiadał zalety. Oba były chciwie czytane i odrazu niemal wyrobiły historykowi imię rozgłośne nie tylko wśród uczonych, ale i wśród

tych, co dotychczas karmili się tylko belletrystyką: pisma Szajnochy stały się popularnemi. W ciągu 20-letniej działalności ogłosił 4 tomy „szkiców historycznych“ (1854—1869), w których obrabiał najrozmaitsze przedmioty i zagadnienia z różnych wieków, najczęściej jednak uwzględniając stronę cywilizacyjną i ekonomiczną stosunków naszych. Do najcelniejszych należą: „Święta Kinga“, „Walgierz Wdały“, „Słowianie w Andaluzyi”, „Zdobycze pługa polskiego“; „Powieść o niewoli na Wschodzie”, „Urazy królewiąt polskich”, „Domna Rozanda“, „Hieronim i Elżbieta Radziejowscy“.

W r. 1855 nie zaniedbując szkiców, zaczął Szajnocha ogłaszać swą „opowieść” historyczną p. t. „Jadwiga i Jagiełło“ najprzód w 3, potem w 4 tomach. Połączenie Litwy z Polską jest główną treścią tego pięknego dzieła; sięga też ono daleko po za zgon królowej, maluje wiekopomne zwycięstwo grunwaldzkie i kończy się dopiero unią horodelską (1413). Autor nie poprzestał na skreśleniu biegu wypadków, rokowań dyplomatycznych czy wojen, ale dał żywy obraz cywilizacyjnych stosunków naszych na schyłku XIV i w początkach XV stulecia, w zestawieniu z kulturą zachodnio-europejską. „Niema strony w życiu społecznem — jak powiada Bernard Kalicki — niema szczegółu obyczajowego, niema wypadku w kierunku naukowym i religijnym, któregoby tam nie tknięto. Wszystko, co tylko w zakres historyi wchodzić może, układa się tam w obraz nieporównanego wdzięku, dostarcza niewyczerpanego bogactwa szczegółów, których największą zaletą jest prawda“. Tak, pod względem *sztuki* dziejopisarskiej jest to dzieło znakomite, i niewiele do dziś ma równych sobie; ale co się tyczy ścisłej *prawdy* historycznej, to należy zrobić pewne ograniczenie. Szajnocha opierał się niewątpliwie na dokumentach we wszystkiem, co odmalował w „Jadwidze i Jagielle“, lecz w zestawieniu szczegółów stamtąd poczerpniętych pozwalał trochę

bujać fantazyi, przekraczając granice oznaczone dla prac badawczych. Ścisły historyk woli się wyrzec zaokrąglonej ciągłości opowiadania, lub też wyczerpania wszystkich stosunków, jakie w danej chwili dziejowej zachodzić mogły, aniżeli posługiwać się świadectwami, odnoszącymi się do stosunków, które pięćdziesiąt lat wcześniej lub pięćdziesiąt lat później od opisywanych zachodziły; a jeżeli takiemi świadectwami się posługuje, to baczy nader pilnie, czy stosunki opisywane są tego rodzaju, iż zmiana w nich ważna nastąpić mogła czy nie. Otóż w „Jadwidze i Jagielle", mianowicie w obrazie spraw cywilizacyjnych niejednokrotne znajdują się uchybienia względem takiej zasady metodycznej; stąd też nie wszystko, co się tam znajduje, uznać możemy dzisiaj za zupełnie prawdziwe t. j. za odpowiednie rzeczywistości danej chwili dziejowej. Nie są to oczywiście rzeczy rażące, lecz wobec krytyki naukowej ostać się one nie mogą.

Mniej piękną jest jako całość, lecz świetnością charakterystyki i ściślejszem przestrzeganiem prawdy dziejowej odznacza się druga obszerna opowieść Szajnochy, wydana na schyłku życia p. t. „Dwa lata dziejów naszych" (1865 - 68 dwa tomy). Przedmiotem jej jest przygotowywana przez Władysława IV wielka wyprawa na Turków, udaremniona oporem magnatów, oraz jako skutek tego chybionego zamiaru, wybuch wojen kozackich pod wodzą Bohdana Chmielnickiego.

Pracował jeszcze nasz historyk nad trzecią wielką monografią, której punktem środkowym miał się stać Jan Sobieski, a treścią zasadniczą walka ze Wschodem muzułmańskim, lecz utrata wzroku nie dozwoliła mu jej ukończyć, tak że z niej pozostał piękny jeno szkic wydany r. 1860 p. t. „Mściciel".

Obok wymienionych tu dzieł, inne rozprawy Szajnochy, mające charakter rozbiorczy, a nie synte-

tyczny, w cień się usuwają, zwłaszcza, że twierdzenia w nich zawarte, nie utrzymały się wobec krytyki. W „Lechickim początku Polski" (1858) chciał uzasadnić mniemanie, że założycielami państwa Polskiego byli korsarscy Normandowie. Dużo wyszafował erudycyi na udowodnienie tego przypuszczenia, ale go nie zdołał jako prawdy w historyografii naszej ustalić.

Główną, najważniejszą zasługą Szajnochy jest podniesienie u nas sztuki dziejopisarskiej na ten stopień doskonałości, który odpowiadał najlepszym wzorom historyografii zachodnio-europejskiej, a przez to artystyczne traktowanie treści dziejowej—rozpowszechnienie wśród ogółu zamiłowania do dzieł historycznych. W analizie mniej był szczęśliwym; jednakże i pod względem ściśle naukowym prace jego posiadają zalety piewszorzędne, a mianowicie: uwzględnienie oddziaływania ziemi i jej czynników na losy narodu, pamięć ustawiczna o związku, zachodzącym pomiędzy Polską a Europą, baczne zwracanie uwagi na wielkie starcia cywilizacyjne, czy to Germanów ze Słowianami, czy Polaków ze Wschodem muzułmańskim, pilne rozpatrzenie się w stosunkach wewnętrznych, a przez to dojście w późniejszym wieku do trafnej oceny wpływu politycznego magnatów na na sprawy Rzeczypospolitej i odstąpienie od uwielbienia dla demokracyi szlacheckiej i wogóle naszej konstytucyi politycznej. Zacząwszy od uwielbień w tym kierunku, przeszedł do krytyki, chociaż nigdy nie popadł w pessymizm, kochając gorąco swój naród.

---

2. Doba druga.

Złagodnienie reakcyi.

XI.

Już we wzmiankach, pomieszczanych przy charakterystyce pisarzów doby poprzedniej, zauważyć było można, że około roku 1856 daje się dostrzegać pewna zmiana w pojęciach i dążeniach, na korzyść światła i postępu. Najmniej widoczną jest ona w zakresie poglądów religijnych. Jednakże i tutaj zauważyć można swobodniejszy powiew. Obłuda i formułkowa pobożność ulegają ostrej krytyce, a przeciwko pogardzaniu rozumem na rzecz wiary występują tacy prawowierni autorowie, jak *Eleonora Ziemięcka*, która ogłasza tłómaczenie dzieła ks. Mareta: „O godności rozumu ludzkiego" (1859 Warsz.), a w „Studyach" swoich (1861) stanowczo walczy z „tradycyonalizmem," wykluczającym całkowicie indywidualność opinij w rzeczach wiary.

Przeciwko bezwzględnemu uwielbianiu przeszłości, a mianowicie czasów i figur „kontuszowych," pierwszy, z właściwą sobie rzutkością umysłu, stanął do walki *Kraszewski* w liście do „Gazety Warszawskiej" z 15 marca 1856, wołając: „Szaleje, kto dla miłości zmarłego zakopuje się z nim w jednym grobie, chybaby sam chciał umrzeć... Inna jest opłakiwać na mogile, a inna do niej zstępować z zimnymi trupami; myśmy właśnie tego rodzaju samobójstwa dopuścili się w literaturze"... A gdy list ten wraz z innymi wyszedł w książce p. t. „Gawędy o literaturze i sztuce" (Lwów, 1857), znalazł odgłos w rozumnie a trzeźwo napisanej recenzyi *Aleksandra Krajewskiego*, tłómacza „Fausta," ód „Horacyusza" i dzielnego naówczas krytyka. Sam Kraszewski w dziele

większem nie rozwinął swej myśli; po dawnemu tylko jednostronnie albo dodatnie, albo, co daleko częściej, ujemne strony przeszłości malował, lecz znaleźli się inni, którzy niezależnie zresztą od niego, zaczęli głosić krytyczne o przeszłości zdania. Młody wówczas *Józef Szujski* (1835 † 1883) w „Portretach nie Van-Dyka" (1861, Lwów) lubo szlachtę uważał za „historyczną i faktyczną alfę i omegę narodu," „za ocean dobrej woli i wiary," urządzenia wszakże Rzeczypospolitej nazywał błędnemi; same one, według niego, sprowadzały upadek, same otwierały wrota intrydze, a udaremniały wszelką naprawę. „Przypomnijmy sobie — pisał — kołowaciznę przed kilku laty w modzie będącą, a i dziś potężną jeszcze, kołowaciznę ślepego afektowania niepostępowych opinij, estetycznego rozlubowania się w przeszłości, systematycznej nienawiści ku temu wszystkiemu, co się głośniej odezwało, co ruszyło jakąś kwestyę drażliwą. Przypomnijmy sobie chorobę wzajemnej admiracyi, chorobę dobrych chęci słabiutkich i niewyraźnych, chorobę nareszcie legitymizmu i bigoteryi, które u nas grasowały tak powszechnie. Nie zapadlibyśmy byli zapewne w wszystkie te denerwujące wsteczności, gdyby nas w nie nie popchnęła ślepa i niekrytyczna nienawiść ku dawnej demokracyi, gdybyśmy nie byli widzieli w każdym wolniejszym objawie myśli widmo Robespierre'a, a w każdem słusznem ograniczeniu naszego stanowiska narodowego nie obawiali się przekleństwa religii... Niema nieszczęśliwszej kołowacizny jak zamknięcie się w czterech ścianach swego kraju, jak egzaltowane patrzenie na wszystko polskiemi oczami. Trzeba stać nad narodem i nad światem..." W tym duchu pisał i drukował Szujski swoje „Dzieje Polski" (1862 – 1866, cztery tomy), przyjęte i czytane z zapałem.

Sprawa uwłaszczenia ludu nanowo teraz podjętą została i prowadzoną z wielkiem ożywieniem.

Najpierwej dotknął jej korespondent lwowski „Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych" w połowie kwietnia 1856 r, przedstawiając w krótkości sposób załatwienia jej w Galicyi w r. 1848 i podnosząc błogie skutki uwłaszczenia zarówno dla chłopów, jako i dla szlachty. Korespondencya ta wywołała zarówno w „Kronice," jak w innych pismach warszawskich artykuły za i przeciw, a *Seweryn hr. Uruski* († 1890) zebrał część ich i wydrukował w broszurze p. t. „Polemika o kwestyi włościańskiej" (1857 Warsz.). Dołączył tu swoją rozprawkę, bardzo pobieżnie skreśloną: „Wola i niewola w pracy," a przytem prospekt na swe czterotomowe dzieło p. t. „Sprawa włościańska," zapowiadając, że w niej historycznie i teoretycznie rzecz całą wyłoży, jako stanowczy rzecznik „uwłaszczenia." Z powodów ubocznych osoba Uruskiego nie była sympatyczną; więc jego odezwy przyjmowano drwiąco, tak, że z zapowiedzianego dzieła wydrukował tylko bardzo duży tom 1-szy (str. 1139), który przetłómaczono na język rosyjski, lecz który w kraju bardzo mało się rozchodził. Niezależnie od niego, ogłosił r. 1857 *Julian hr. Ledóchowski* broszurę, uwydatniającą treść swoją w samym nadpisie: „Uwłaszczenie przez wykup; korzyści tego trybu wyjścia ze stanu pańszczyznianego." Najwymowniejszym atoli i najbardziej wpływowym apostołem uwłaszczenia był ów *Tomasz Potocki* († 1861), z którym Juliusz Słowacki jeździł r. 1830 w odwiedziny do Niemcewicza. Wielostronnie wykształcony, gorącego usposobienia, lecz i rozważny zarazem, umiał on z niemałą swadą przemawiać za sprawą włościańską. W r. 1851 wydał on dzieło: „O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce" (Poznań), ale wówczas, ze znanych nam już powodów, nie zwrócono na nie należytej uwagi, a „Przegląd Poznański" zarzucał mu, że zadużo mówił o ekonomice, a zamało o religii. Dopiero kiedy w r. 1858 z woli cesarza Aleksandra II w całem państwie ro-

syjskiem szlachta miała wyrazić swe zdanie o sposobie uregulowania stosunków włościańskich; kiedy wskutek tego wszędzie potworzyły się komitety obywatelskie, nad tem obradujące, a w Królestwie Polskiem świeżo założone „Towarzystwo rolnicze“ gorliwie się tą sprawą zajęło, Potocki postanowiwszy ogłosić drugie wydanie swego dzieła, poprzedził je książką, odpowiadającą na zarzuty przeciwników uwłaszczenia, w formie rozmowy, p. t. „Poranki karlsbadzkie“ (1858, Poznań). Jakkolwiek wymowne i rozumne wywody Potockiego znajdowały silny odgłos w rozprawkach *Hipolita Popiela*[1]), *Kazimierza herbu Strzała*[2]); nie brakło jednak i upartych przeciwników, którzy albo za dzierżawą długoterminową, jak *Andrzej Zamoyski*[3]) i jego zwolennicy (*Ludwik Górski, Solecki)*, albo za wieczystą, jak *Władysław Garbiński*[4]) przemawiali, że nie wspomnę o tych, co lubo drukiem nie śmieli obstawać za utrzymaniem pańszczyzny, a nawet poddaństwa (jak na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie), lecz na posiedzeniach ustnie za tem gardłowali i byli napiętnowani przez Syrokomlę w wierszu: „Wyzwolenie włościan“ (1858).

Po gorących rozprawach w „Towarzystwie Rolniczem,” Zamoyski odstąpił wreszcie od swojej zasady tak długo rozpowszechnianej i zgodził się na

---

[1]) Pod pseudonimem *Onufrego Sulimy* ogłosił: a) „Uwagi nad oczynszowaniem i uwłaszczeniem włościan w Królestwie Polskiem.” Kraków, 1857; b) „Kilka słów na zarzuty wymierzone przeciw uwagom nad kwestyą włościańską,“ 1858; c) „Odpowiedź na kilka myśli względem uregulowania stosunków włościańskich w Król. Polsk. przez Aleksandra Ludwiga ogłoszonych,“ 1858.

[2]) „Głos szlachcica do swych współbraci o wolności i równości kmiecej” 1859, Poznań.

[3]) „O własności i dzierżawie ze względu na włościan naszych” 1845 (w Rocznikach gospodarstwa krajowego); „Kwestya włościańska” 1848 i inne.

[4]) „Listy o właściwem u nas stanowisku kwestyi włościańskiej” 1858, Warsz.

uwłaszczenie; w połowie marca 1861 wyrzekło „Towarzystwo" swoją pod tym względem decyzyę. Oczywiście wykonania jej przeprowadzić nie mogło. Zajął się tem rząd i w r. 1864 ostatecznie dokonana została w reszcie ziem dawnej Rzeczypospolitej wielka reforma włościańska. Chłopi stali się odtąd sąsiadami dawniejszych „dziedziców" i „panów."

Równolegle ze sprawą uwłaszczenia szło zadanie umoralnienia i oświecenia włościan. Dość obszerna pod tym względem od r. 1856 rozwinęła się literatura. W r. 1856 *Aleksandra Petrowowa* założyła w Warszawie „Czytelnię niedzielną", dla warstw rzemieślniczych głównie przeznaczoną, i prowadziła ją do końca r. 1862 z wielkiem powodzeniem i uznaniem. W r. 1860 powstało pismo dla włościan p. t. „Kmiotek" pod redakcyą naprzód *Władysława Ludwika Anczyca*, potem *Jana Kantego Gregorowicza*, który jako *Janek z Bielca* wielki pozyskał rozgłos. Redakcya „Biblioteki Warszawskiej" przedsiębierze wydawnictwo tanich książeczek dla wiejskiej przeważnie młodzieży; toż zacny księgarz Cels Lewicki i inni [1]). Takich żywych objawów zainteresowania się wykształceniem ludu nie widzimy w owej dobie w W. ks. Poznańskiem; w Galicyi wychodzi „Dzwonek" od r. 1859; na kresach zachodnich coraz lepiej rozwija się działalność „Gwiazdki Cieszyńskiej," odkąd uzyskała debit w Królestwie.

Zajęcie się ludem wywołało w niektórych okolicach (mianowicie na Podolu i Ukrainie) u młodzieży inteligentnej a zapalonej chęć dzielenia trybu jego życia, jego zatrudnień, a szczególniej zabaw. Chęć ta, posunięta do przesady, wytwarzała „chłopomanię," czasem szczerą, częściej wytwarzaną. Kraszewski z właściwą sobie rączością pochwycił ten objaw i upa-

---

[1]) A. A. K.(rajewski): „O pismach edukacyjno-ludowych w r. 1862" (Warszawa).

miętnił w historyi Jurasia z „Jasełek“ (pisanych r. 1860). Juraś, dusza poetyczna i marzycielska, zrażony surowością ojca, znienawidził woskowane posadzki i przenosił nad nie tułaczkę po stepie. W świecie salonowym czuł się jak „obcy, nieswój, zmęczony;“ dopiero—powiadał — „gdy dłoń podam uznojonemu wieśniakowi, gdy z nim siądę gwarzyć na mogile, gdy w lesie głuchym słucham śpiewu bożych dzieci, jestem w swoim żywiole i szczęśliwy.“ Poznawszy atoli „chłopomanów” modnych, zraził się do nich, bo w ich postępowaniu dojrzał komedyę. „Oburzały mnie—mówi—hulanki, które często wracając z moich wycieczek zastawałem w domu (na Ukrainie) i orgie naśladowane niedołężnie, wśród których rozprawiano o życiu ostrem, o stepie, o kozactwie, o prostocie obyczaju, polewając je szampanem i burgundem, umilając przytomnością biednych istot uwiedzionych, na których dla chwili pańskiej fantazyi, na wieki piętno spodlenia i rozpusty zostać miało.“ Tacy komedyanci zniesławiali działalność szczerych „chłopomanów,“ marzących o zbrataniu się z ludem, o zahartowaniu ciała i o odświeżeniu uczuć w czystej krynicy przyrody...

W pewnym wreszcie związku ze sprawą oświecenia i uwłaszczenia chłopów zostają badania nad ich dziejami i uprawą roli, że tu wspomnę prace *Tadeusza ks. Lubomirskiego*: „Rolnicza ludność w Polsce od XVI do XVII wieku” (r. 1857—1862) oraz *Edmunda Stawiskiego*: „Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego” (1858, Warszawa).

I kwestya wyższego wykształcenia kobiet wznowioną została pod koniec tej doby. Artykuły i powieści *Józefy Śmigielskiej* (później *Dobieszewskiej* † 1899), *Maryi Brzeziny* (później *Sadowskiej*), a zwłaszcza *Narcyzy Żmichowskiej* (Gabryelli) dążności tej stały się wyrazem.

Zniesienie w 1857 r. bardzo wysokiej opłaty za paszporty zagraniczne w Cesarstwie i Królestwie

ułatwiło zwiedzanie obcych krajów. Zaroiła się wtedy zagranica od naszych spółziomków, gwarnie rozprawiających. Naturalnie, przeważna liczba osób szukała rozrywki, popisu lub taniego niby nabycia drobnostek i modnych towarów. Tę stronę niedorzeczną, a czasem rujnującą ówczesnych „wojażów" trafnie a słusznie wyśmiał Korzeniowski w żywo skreślonej komedyi „Podróżomania" (1859). Ale byli i tacy, co istotną z tych wycieczek odnosili korzyść i wracali do kraju wzbogaceni nowymi poglądami, pragnieniem wzmożenia u nas światła i ożywienia popędu do pracy na różnych dotąd zaniedbanych polach. Najwymowniejszym w tej mierze przykładem był Kraszewski, wyjeżdżający w r. 1858 z wielkiemi względem „zmateryalizowanego Zachodu" uprzedzeniami, a wracający stamtąd ze znacznie zmienionemi pojęciami, które mu dozwoliły stać się w „Gazecie Codziennej" (od r. 1861 „Polskiej") rozpowszechnicielem zdrowych pojęć o znaczeniu przemysłu i handlu, o równouprawnieniu stanów, doniosłości nauki i oświaty, o stosunku religii do wiedzy... Nie jeden, co się udawał za granicę, mógł odczytywać wydawane w Paryżu od r. 1854, ale od 1857 szczególniej znakomicie redagowane „Wiadomości polskie," nawołujące wymownie do poważnego zastanowienia nad sprawami społecznemi i do korzystania rozumnego z nabytków cywilizacyi zachodniej.

Oddziaływanie takich głosów widzimy szczególniej w świetnem wystąpieniu publicystycznem *Kornela Ujejskiego*, upominającego się w „Listach z pod Lwowa" (1861) o czynne wielbienie ideałów, znieważanych serwilistycznem zachowaniem się autorów „Albumu Wileńskiego" (1858: Adam Honoryusz Kirkor, Antoni Edward Odyniec, Ignacy Chodźko, Mikołaj Malinowski), lekceważeniem zabytków przeszłości przez arystokracyę i pismami Wincentego Pola, które jego zdaniem „przyczyniły się najbardziej do zdemoralizowania się naszego kraju." Ujejski był

zbyt surowym dla autora „Mohorta," zbyt namiętnym w robieniu mu zarzutów („apoteozował najgorsze przywary szlacheckie, apoteozował egoizm i brak serca do rodziny, pieczeniarstwo i frymarkę dobrem publicznem, z goryczą odzywał się kilkakrotnie o zniesionej pańszczyźnie, nową przepaścią chciał oddzielić szlachtę od ludu" i t. p.); ale uczucie, które mu podyktowało te zarzuty i „Listy z pod Lwowa" wogóle, było wyrazem wzniesienia się poziomu wymagań społecznych w porównaniu z czasami najsroższej reakcyi, kiedy się bawiono fraszkami lub też nurzano w obłudzie. „Częsta moja gorycz, ironia i sarkazm niemiłosierny—pisał twórca Skarg Jeremiego—nie idą mi z serca, ale z uznania potrzeby; słodycz i grzeczność nasza gubią nas; sypię więc ognisty żar pod zmartwiałe nogi cudze, ale sam moją bosą, czującą nogą stąpam po tym żarze i boli on mię żywiej niż tamtych"...

Zwrotowi ku spoważnieniu umysłów dopomaga założona w r. 1857 Akademia medyko-chirurgiczna w Warszawie, a następnie od r. 1862 Szkoła Główna.

W W. ks. Poznańskiem powstaje r. 1858 „Towarzystwo Przyjaciół Nauk", a od 1860 zaczyna ogłaszać swe „Roczniki".—„Towarzystwo naukowe" krakowskie od r. 1857 zaczyna się ożywiać nanowo. Od r. 1861 w uniwersytecie Jagiellońskim przywrócono jedną katedrę (historyi polskiej) z językiem wykładowym polskim, a od r. 1866 wszystkie uzyskały to prawo. We Lwowie Zakład imienia Osolińskich wskrzesza w r. 1862 swoją „Bibliotekę," a uniwersytet zyskuje w *Antonim Małeckim* (ur. 1821) znakomitego profesora języka polskiego i dziejów literatury naszej.

Niepodobna wreszcie pominąć wydawnictwa obszernej, 28 tomowej „Encyklopedyi powszechnej," podjętej i dokonanej (1859—1867) przez drukarza warszawskiego S. Orgelbranda, jako objawu wskazu-

jącego potrzebę gruntowniejszych informacyj dla czytelników średnio ukształconych. Przyczynki swoje dawali tu niemal wszyscy nasi uczeni i znakomitsi literaci; a dział odnoszący się do rzeczy polskich do dziś dnia nie utracił wartości.

Oczywiście, literatura piękna rozwijała się bujnie, a przybyło jej parę nowych organów. Do dwu miesięczników w poprzedniej dobie istniejących („Biblioteka Warszawska," „Przegląd Poznański") przybywa od 1856 dobrze redagowany dodatek do „Czasu" i wychodzi do końca r. 1860. W Wilnie powstaje „Teka Wileńska" (1858), ale trwa krótko i musi artykuły nagromadzone drukować w „Piśmie zbiorowem" (1859). Podobnie, w Petersburgu, po zamknięciu wegetującego tylko od lat 10 „Tygodnika," zaczęto w r. 1859 wydawać duży dziennik na wzór europejskich p. n. „Słowo," dołączając do niego dodatek miesięczny, z poważnemi rozprawkami. Po półtoramiesięcznem istnieniu „Słowo" musiało zamilknąć, a rozprawy, do dodatku miesięcznego zebrane, wydać w „Piśmie Zbiorowem" Józefata Ohryski (1859, dwa duże tomy). Zupełną niemal nowością, były czasopisma obrazkowe (illustrowane). Istniały już wprawdzie dawniej od r. 1834 próby tego rodzaju, ale były bardzo słabiutkie, mogąc zaledwie uczynić zadość potrzebie unaocznienia pewnych przedmiotów, ale zgoła nie zadawalając smaku estetycznego. Wraz z postępami drzeworytnictwa, nastręczała się sposobność zużytkowania ich na rzecz pięknych illustracyj do dzieł pięknych. Niewątpliwe pod tym względem zasługi położył *Ludwik Jenike* (ur. 1818), tłómacz różnych poetów niemieckich, a szczególniej Goethego, wielki przestrzegacz czystości języka, sumienny redaktor. Od r. 1851 do 1860 redagował on wydawaną przez księgarza Merzbacha „Księgę świata," naukom przyrodniczym, podróżom i wynalazkom głównie poświęconą. Dodawano do niej staloryty, lub w samym tekscie mieszczono drzeworyty.

Były to jednak po większej części odbitki klisz zagranicznych. Dopiero w r. 1859 drukarz Unger przedsięwziął wydawnictwo „Tygodnika illustrowanego," rzeczom krajowym wyłącznie oddanego, a więc i z drzeworytami własnemi. Redaktorem tego czasopisma został Jenike i przez długi szereg lat niem kierował, wielce się przyczyniwszy i do zaznajomienia ziomków z zabytkami i dziejami kraju i—pośrednio—do rozwoju naszego drzeworytnictwa.

XII.

Z pomiędzy poetów, oprócz dawniejszych, którzy i w tej dobie dalej pisali. dwaj są najznamienniejsi: Mieczyslaw Romanowski i Leonard Sowiński. Wprawdzie i Felicyan Faleński do tej po części należy doby, ale o nim stosowniej będzie pomówić w następnym okresie, kiedy się wpływ jego na rozwój twórczości niektórych poetów uwydatnił.

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI (1834 † 1863) nie był wielkim mocarzem słowa, zginął przedwcześnie, by mógł zawładnąć opornym stylem i wierszem, ale podniosłością natchnień, wprowadzeniem paru świeżych żywiołów do poezyi naszej, wreszcie piękną zgodnością słów i czynów na chlubną sobie zasłużył pamięć. Urodził się w Żukowie, w Kolomyjskiem, gdzie ojciec jego był dzierżawcą. W piątym roku życia przeszedł ciężką chorobę, a jej skutkiem było rozdrażnienie nerwowe, sen mu odbierające. Siostra wpadła przypadkiem na myśl zabawienia biedaka grą na fortepianie; nią kołysała brata do snu rok przeszło. Szkoły kończył w Stanisławowie. W r. 1853 przybył do Lwowa, by z woli ojca studyować prawo; ale prawdziwy pociąg czuł do poezyi, składając wier-

sze od 16 już roku życia. Czuł wtedy i myślał jak Gustaw w powieści Kraszewskiego „Poeta i świat;” wyrzekał na zimną prozę życia i postanowił zamknąć się w sobie, targany zwątpieniem i rozpaczą. Towarzystwo kolegów uniwersyteckich, a mianowicie *Mieczysława Pawlikowskiego,* który jako publicysta i nowellista miał się dać poznać w następnym dopiero okresie, ale już wtedy pisywał poezye, i *Ludwika Wolskiego,* głośnego następnie w zawodzie politycznym, wpłynęło dodatnio i na usposobienie i na wyrobienie języka i stylu młodego poety. Na jednem z posiedzeń, po długiej dyspucie, postanowiono, żeby każdy z nich na temat wybrany przy tajnem głosowaniu, opracował poetycznie powieść obszerniejszych rozmiarów. Spisano na kartkach tytuły przyszłych poematów, a z porozumienia się między Wolskim a Pawlikowskim wyszedł dla Romanowskiego temat z godłem: „zaręczyny na pobojowisku.” Utwory miały być wykończone w przeciągu miesiąca. Z zadania wywiązali się tylko: Romanowski i Pawlikowski. Pierwszy napisał „Chorążego” (druk. 1854 w „Nowinach” lwowskich), drugi zaś: „Pamiętnik pieśniarza” (druk. 1856 we Lwowie). Zarówno „Chorąży” jak i „Chart Watażki” (również w 1854 drukowany) nie posiadają większej wartości poetyckiej; są to gawędy ze wszystkiemi wadami tej formy zaniedbanej, a bez wybitnego talentu plastycznego. Zauważyć tylko należy, iż Romanowski brał wzory nie tylko od Pola i Syrokomli, ale także od większego niż oni poety, od Malczewskiego.

Tematy błahe szybko Romanowski porzucił, przechodząc do ważniejszych; tworzył już nie gawędy, lecz poematy. Takim poematem są: „Łużeccy” (1856). Jest to historya zachowania się dwóch braci podczas wojny szwedzkiej w wieku XVII. Jeden z nich dumny i zarozumiały, posiadał wysokie dostojeństwa w Rzeczypospolitej; wyznaczony na dowódcę, przez opieszałość i zaniedbanie obowiązku naraził

wojsko polskie na klęskę, a przez to rzucił plamę na nazwisko Łużeckich. Drugi, skromny, zajęty, jak się zdawało, wiejskiem tylko gospodarstwem, dowiedziawszy się o postępku brata, pragnie naprawić złe przezeń zdziałane, zbiera ochotnika, wygrywa bitwę i ratuje cześć imienia. Ton jest tu trochę za uroczysty, za patetyczny.

Z wady tej wyzwolił się Romanowski zupełnie w najznakomitszym swoim poemacie, w „Dziewczęciu z Sącza," pisanym pod wyraźnym wpływem „Pana Tadeusza". Romanowski starał się przyswoić sobie i pogląd i sposób artystycznego malowania bohaterów, jaki znalazł w arcydziele Mickiewicza. Zrozumiał, że wielkość w utworze poetycznym osiągnąć można prostymi środkami, że niekoniecznie trzeba pewnej osobie przyznawać wszystkie możliwe zalety, by nią zająć wyobraźnię i serce, że niekoniecznie należy używać słów grzmiących, by uczucie silne i głębokie obudzić, ale że przedewszystkiem potrzeba odczuwać samemu gorąco radości i smutki, mieć w duszy zdrój nieprzebrany szlachetności i podniosłości, pojmować ludzi jako ludzi z ich słabościami i śmiesznościami i dobierać barw takich, ażeby prawda zewnętrzna i wewnętrzna uwydatniła się jaknajlepiej. „Dziewczę z Sącza" to powieść epiczna, mieszczańska, pierwsza i jedyna do tej pory. Pol, jak wiadomo, naszkicował tylko jedną osobę, mało tłum uwydatniając; przytem używał tonu wyłącznie jowialnie-rubasznego, który z poezyą w bardzo dalekiem zostawał powinowactwie. Romanowski w tonie prostym, ale przejmującym, skreślił różne strony życia mieszczańskiego, ukazał go nam w domu, w karczmie, przy zabawie, w kościele, w bitwie; poruszył różne stany duszy, radosne i smutne, i lubo nie ukrywał wad, lubo niekiedy uśmiechał się z pogodną ironią, umiał przecież osobistości tego światka otoczyć szczerą sympatyą. Oto w domu mieszczanina, utrzymującego austeryę w Sączu, podczas najazdu Karola

Gustawa na Polskę, stanął kwaterą oficer szwedzki Oskar i rozkochał córkę gospodarza Basię, do której wzdychał napróżno cieśla Bartek. Szwedzi postanowili w noc oznaczoną wyrznąć mieszkańców miasta. Oskar pragnie ocalić Basię i jej rodzinę, ale nie chciałby zdradzić tajemnicy; zawiadamia tedy ukochaną, a wymógłszy obietnicę dochowania sekretu, radzi, aby na dzień wskazany opuściła Sącz wraz z rodziną. Basia pomieszaniem swojem i namowami do wyniesienia się z miasta, bez wskazania istotnego powodu, budzi w ojcu podejrzenie i zwraca na siebie uwagę mieszczan. Zaprowadzona do kościoła, zaklęta uroczyście, wyjawia wreszcie tajemnicę, choć się domyśla, że wyjawienie to będzie zgubą dla Oskara. Mieszczanie na radzie ogólnej postanawiają przed dniem naznaczonym na rzeź przez Szwedów, wyrżnąć ich samych, i przywołują górali tatrzańskich na pomoc. Następuje bitwa; załoga szwedzka pada pod ciosami mieszczan i górali; Oskar i Basia giną, a Bartek, po skończonych zapasach, robi trumnę dla Basi, a potem zebrawszy młodzież rzemieślniczą, udaje się z nią razem do gromadzonych przez Stefana Czarnieckiego zastępów.

Wszędzie zachował Romanowski piękną harmonię i miarę; nigdzie nie widać przesady, karykatury lub też fałszywego idealizowania. Naradę mieszczan w karczmie zestawić można z naradą w zaścianku u Mickiewicza. Nie jest ona jednak prostą kopią; Romanowski samodzielnie zastosował metodę twórczą mistrza, t. j. trzymał się stosunków realnych, a śmieszności i słabostki malował z łagodną i spokojną ironią, dobierając rysów właściwych mieszczaństwu. Czujemy tu sobkostwo grona mieszczańskiego, obawiającego się zarówno o swe interesa jak o życie; garstka zaledwie z pomiędzy nich pragnie walki, ale ta garstka tchnie entuzyazmem, pociągającym za sobą całe zebranie. Do najpiękniejszych ustępów zaliczam „Trumnę,“ gdzie poeta z wielką

rzewnością, a bez sentymentalizmu, z wielką głębią uczucia prostego odmalował posępne rozmyślania Bartka przy pracy nad grobowym domkiem, dla ukochanej a nieszczęśliwej Basi. Wszystkie charaktery, delikatnymi zazwyczaj rysami kreślone, nie zdumiewają wprawdzie wielką plastyką, lecz są dość wyraziste i do końca dobrze utrzymane. Nie jest to zapewne dzieło silnego natchnienia, ale jestto bądźcobądź praca utalentowanego umysłu, umiejącego wczuć się w sferę, z którą i w życiu rzeczywistem poeta lubił przestawać, budząc w niej pragnienie światła i uczucia obywatelskie.

„Dziewczę z Sącza“ ukończone zostało w roku 1858, a drukowane w całości dopiero w 1861. Trzeba tu, choć mimochodem, wspomnieć, że znany już nam z poprzedniego okresu poeta, *Włodzimierz Wolski*, w tym także czasie, niezależnie od Romanowskiego, opracował powieść, wypełnioną starannem, dobrze wystudyowanem malowidłem stosunków rzemieślniczych w Warszawie. Wolski od początku swego zawodu literackiego lubił kreślić drobne opowiadania, zrazu bardzo nieudolne, potem coraz lepsze, zebrane w dwu seryach: „Czarna Wstążka“ (1852), „Opowiadania i powieści“ (1858). Już w nich znajdują się szkice z życia mieszczan warszawskich (*Dobry pijaczek, Pan Źreniczka, Na stogu*); ale częściej lubił zaglądać na wieś, pisząc obszerne powieści, jak „Uśmiech losu“ (1856), „Bakałarz“ (1858). Dopiero w r. 1859 całkowicie i z zamiłowaniem zajął się rzemieślnikami i w sposób realistyczny, na szerszem tle niż Korzeniowski w „Krewnych,“ ukazał nam zwykły tryb ich życia, opisując „Domek przy ulicy Głębokiej“ (Warsz., trzy tomy). Nie mógł on wywołać takiego żywego współczucia jak Romanowski, gdyż wogóle, jak wiemy, nie odznaczał się nastrojem lirycznym; ale jako malarz rodzajowy dużo wykazał zalet. „Dziewczę z Sącza“, „Domek przy ulicy Głę-

bokiej," to zapowiedź tego bratania się stanów, jakie w r. 1861 tak żywo się objawiło.

Po tem koniecznem zboczeniu, wracam do Romanowskiego. Prócz poematów epicznych, pisał on wiele drobniejszych opowiadań, zawsze mając na uwadze żywotne sprawy społeczne, zawsze lubując się w wystawianiu bohaterskich wysiłków i w kreśleniu wzniosłego zadania poety. „Tymoleon z Koryntu," „Savannah," „Śmierć Levittoux," „Ksiądz gwardyan Kobylański," „Przewodnik w puszczy" — oto jedna grupa; a druga to: „Śpiewak z oazy," „Wieszczowi" (na wiadomość o zgonie Mickiewicza), „Po mszy za Irydyona."

Te ostatnie utwory mają formę liryczną. Jako liryk, nie posiadał Romanowski śpiewności i melodyjności wiersza; główna więc wartość pieśni jego polega na zaletach wewnętrznych, na uczuciu gorącem i pełnem zapału, na myśli ogarniającej szerokie widnokręgi. Zwrócę uwagę na takie liryki jak „Pożegnanie," „Do mej młodości," „Sen ziemi," „Umilknij serce," a szczególniej prześliczne „Sestyny" przeczuciem i pragnieniem zaszczytnego zgonu tętniące. Wogóle smutne uczucia opiewał Romanowski piękniej aniżeli radosne; bolało go, że „czuć olbrzymio to dziś pusta mrzonka, co jako świetlik po grobach się błąka"...

XIII.

Był wreszcie Romanowski i pisarzem dramatycznym. Ale ażeby dobrze ocenić zasługę jego w tej dziedzinie, trzeba rzucić okiem na współczesną mu w niej twórczość.

Prócz Korzeniowskiego, który po r. 1850 bardzo już mało dramatów utworzył, szukając to treści, to formy nowej, w „Cyganach," w „Beacie," w „Zło-

tych kajdanach," gdzie po raz pierwszy u nas wprowadził sen wcielony na scenie, obok obrazów życia realnego,—kilku pisarzy próbowało dorywczo lub systematycznie przyłożyć się do wydoskonalenia dramatu, mianowicie dramatu historycznego. *Antoni Edward Odyniec*, który po pierwszych niezbyt świetnych występach oryginalnych, oddał się był tłómaczeniu, przyswajając nam piękne utwory Byrona, Moore'a, Walter Scotta, Schillera, ogłosił r. 1849 w Wilnie dramat z pierwszych wieków chrześcijaństwa p. t. „Felicyta," przeniknięty poglądami wstecznymi, zachęcający do bierności i kwietyzmu, spalony z tego powodu przez studentów dorpackich, a uwielbiony przez Lucyana Siemieńskiego. W dziesięć lat potem wydał obszerne „poema dramatyczne w sześciu aktach, z prologiem, p. t. „Barbara Radziwiłłówna czyli początek panowania Zygmunta Augusta" (1858, Wilno). Mniej tu deklamacyjności, niż w „Felicycie," więcej poczucia stosunków rzeczywistych; dużo starania o wielostronne odtworzenie chwili dziejowej, tak bogatej w różnorodne usposobienia i kierunki; nie można jednak przyznać utworowi temu nie tylko zalet scenicznych, o czem Odyniec zgoła nie myślał, ale i cech prawdziwego dramatu; wszystkie bowiem kolizye są przedstawione raczej powieściowo niż dramatycznie i to w sposób mdły, a charaktery, pomimo wielkiej objętości dzieła (str. 376, bez przypisków), są zaledwie naszkicowane, gdyż autor ogromną ilość osób do swego poematu wprowadził, a nie posiadał talentu skupiania się, ani też energii słowa. Pod względem przekonań jest tu Odyniec katolikiem, drwiącym z ruchu protestanckiego, i Litwinem—monarchistą, nie cierpiącym hałaśliwości sejmowej i zbyt wielkich swobód szlacheckich. Spółczucie dla ludu, tak popularne w tej dobie, wyraził kilkakrotnie przez usta króla, chociaż nie miał ku temu podstawy historycznej, tak samo, jak w prawieniu o „rokoszu" przeciw Zygmuntowi Augustowi,

lub o zaręczynach 18 letniego Jana Kochanowskiego z Dosią Podlodowską... Barbarę idealizował: z próżnej i ambitnej, jaką była najpewniej, stała się ona w dramacie drugą Jadwigą, niemal „świętą,“ mającą na widoku głównie zgodę i ostateczne zjednoczenie dwu narodów. I „Jerzy Lubomirski, czyli wojna domowa w Polsce“ (1861, Wilno; część druga 1870 w „Przeglądzie polskim“), jakkolwiek lepszy od dramatu Szajnochy tejże treści, nie może być uznany za dobry zupełnie, ani pod względem myśli przewodniej (dość chwiejnej), ani pod względem wykonania. Odyniec nie jako twórca oryginalny, lecz jako tłomacz i pamiętnikarz, utrwalający zewnętrzne rysy okresu romantycznego („Listy z podróży“ 1875—78, Warsz., cztery tomy; „Wspomnienia z przeszłości,“ 1884, tamże) pozostanie w naszej literaturze.

Tomasz August Olizarowski w drugiej fazie twórczości swojej, zarzuciwszy „śnielki,“ „padwanki,“ „chwały i żale,“ wzorował się na Słowackim, przynajmniej w stylu i budowie dramatów, i pisał jak Odyniec, raczej poemata w formie dyalogowej, aniżeli dzieła sceniczne. Utworzył on podobno około 30 sztuk; z nich zaledwie kilka ogłoszono drukiem: „Wincenty z Szamotuł“ (1850), „Dziewice Erynu“ (1857), „Rada w Chęcinach“ (1861). Są tu niekiedy szczegółowe piękności poetyczne; ale niema wykończonej całostki dramatycznej. Posiadał Olizarowski bogatą, ale wielce rozprężliwą wyobraźnię, która mu nie pozwalała skupić efektów dramatycznych i trzymać się stosunków realnych, a przyzwyczajenia epika i liryka nadawały dyalogowi jego polot, lecz odejmowały zwięzłość i siłę.

Wprost przeciwną właściwość, t. j. brak żywszej wyobraźni, a stąd niedociągnięcie stylu do podniosłości sytuacyj, ma pięcioaktowa tragedya *Antoniego Maleckiego*: „List żelazny“ (1854, Poznań), osnuta na podaniu dziejowem. Zauważyć tu można

tylko pięć ważnych momentów, a więc właściwie pięć scen rzeczywiście dramatycznych, które rozciągnięte zostały na 5 aktów za pośrednictwem powolnej i szeroko opowiadającej dykcyi, niby na wzór dramatów greckich, przez autora doskonale wystudyowanych, ale bez ich zwięzłości w chwilach przełomowych, i bez ich wstrząsającej nieraz siły.

Dramaty *Wacława Szymanowskiego*: „Ostatnie chwile Kopernika" (1855), „Michał Sędziwój" (1859) pisane gładkim, potoczystym wierszem, nie posiadają ani poetycznego polotu, ani siły słowa, ani dobrej charakterystyki epok, z których zostały wzięte; krótko mówiąc są zupelnie mdłe.

Pomijając niezdarne próby biskupa *Ludwika Łętowskiego* („Jadwiga," „Samuel Zborowski" 1856), oraz *Kazimierza Radeckiego* („Szczepanowski, dramat w 6 porach" 1856), podnieść należy początkowe dramata znanego nam już publicysty i historyka *Józefa Szujskiego*.

„Halszka z Ostroga" (1859), „Królowa Jadwiga" (1860) i „Wallas" z tych lub owych względów zasługują niewątpliwie na uwagę. Szujski miał wiele danych na dramatyka: uczucie w sobie skupione, znajomość dziejów dokładną, język pełen siły; ale szukał jeszcze natenczas, jak i później, wedle własnego wyznania „drogi ku dramatowi polskiemu," szukał jej u Kalderona, Rasyna, Wiktora Hugo i u tragików greckich. W tem poszukiwaniu drogi powiodło mu się nakreślenie kilku dobrze, konsekwentnie utrzymanych charakterów, kikunastu scen, wybornie odtwarzających starcie się namiętności; wreszcie stworzenie owych trzech dzieł, które czy to pod względem teatralnym czy pod względem poetycznym, jako całość wywalczyły sobie żywsze uznanie.

Taki był mniej więcej stan dramatu naszego, kiedy Romanowski pisał i drukował swoją pięcioaktową tragedyę: „Popiel i Piast" (1862, Lwów). Istnie-

je w niej szczęśliwe zjednoczenie—lubo w skromnym tylko stopniu — wyobraźni i rozmysłu. Autor nie poszedł wraz ze Słowackim gubić się we mgłach kapryśnej fantazyi, lecz ujął i przedstawił postaci podaniowe jako osoby rzeczywiste, działające z zupełnem przejęciem się w pewnym jasno określonym celu. Biorąc treść do dramatu z tak odległej, zamierzchłej epoki, umiał w nią tchnąć ducha żywotnego przez silne uwydatnienie zasadniczej idei: odwiecznej walki plemienia germańskiego ze słowiańskiem, walki, odbrzmiewającej potężnie i budzącej żywy interes tak samo dziś, jak za czasów Piasta. Ten motyw główny rozwinął zarówno w stosunkach życia publicznego i religijnego, jak i prywatnego. Przeciwko dążeniu do władzy despotycznej postawił poczucie wolności gromadnej; przeciwko nawracaniu ogniem i mieczem na religię chrześcijańską—apostolstwo miłości i wyrozumienia; przeciwko dworactwu i intrygom na wzór niemiecki — słowiańską prostotę i łagodność obyczajów. Popiel a Piast z synem Ziemowitem; pater Fuks a ś. Metody; Adela żona Popielowa a Rzepicha żona Piasta, oraz Bożena i Kalina (matka i siostra Popiela): oto główniejsi przedstawiciele tych kontrastów, umiejętnie i z wielką miarą artystyczną użytych i przeprowadzonych. Książęta—stryjowie Popielowi, oraz wojewodowie rodów reprezentują różne pośrednie stopnie usposobień i poglądów, wahających się między interesem narodu a interesem kasty, do której należą. Żóraw wreszcie, Zaodrzanin, to wyraz tego zrozpaczenia, jakie ogarnia człowieka i naród, kiedy straszliwa groźba zagłady nad nimi wisi: już on nie dba o wolność, już gotów przystać na rząd najostrzejszy, byleby niezależność od wroga nienawistnego uzyskać. Wobec znacznej liczby osób, przewijających się w tragedyi, nie wszystkie oczywiście z jednakową wyrazistością zostały odmalowane. Najświetniej przedstawia się Popiel, bardzo konsekwentnie pod względem psycho-

logicznym rozwinięty. Z początku jest on tylko ambitnym władcą, pragnącym wiece znieść i panować bez podziału. Nienawidzi Niemców, choć się ożenił z Niemką; poczucie słowiańskości drga w nim silnie; jest „orlem rycerskich ludzi.“ Ale gdy widzi z jednej strony podnoszące się niechęci i bunty stryjów i wojewodów, a z drugiej — milczący, ale groźny opór wieców, zaczyna Popiel walkę przeciwko Niemcom powoli podporządkowywać chęci zgniecenia wroga wewnętrznego, a wezwanie pomocy niemieckiej nie wydaje mu się rzeczą zbrodniczą, chociaż i wtedy jeszcze wolałby się oprzeć na kmieciach. Dusza jego psuje się i znieprawia; król gotów na srogości i podstępy; wywołuje też straszne przekleństwo matki, ale męstwa nie traci ani na chwilę, i nawet przy zgonie umie zachować godność królewską.—Mniej zajmującym jako postać dodatnia ukazuje się Piast. Cichy, skromny, wyrozumiały, powolny, przywiązany do samej idei władzy, dopiero w ostateczności, gdy widział zagrożone wiece, gdy wstrząsł się na zbrodnie Popielowe, skłania się do walki, by kmiecą dłonią naród ocalić.—Żóraw znowu jest postacią wybornie odmalowaną. Dzielny, wierny obietnicy swojej wytrwania przy Popielu za pomoc, jaką tenże ma dać Zaodrzanom, tem sroższym przejmuje się bólem, gdy się przekonywa, że nadzieje go zawiodły, że władca, któremu zaufał, łączy się z wrogami.—W kompozycyi tragedya jest rozwlekła; niema skupienia artystycznego, zawiera dużo ustępów ładnych, ale tamujących rozwój działania; to też na scenie utrzymać się nie mogła. Ale kilka charakterów silnie narysowanych, kilkanaście scen pięknych, idea żywotna całości, język jędrny (chociaż niezawsze poprawny) nadają temu dziełu znaczenie wyższe; one też sprawiły, że liczni naśladowcy poszli za Romanowskim, biorąc temata z prastarych podaniowych dziejów. Porównany z trzema wspomnianymi dramatami Szujskiego, ustępuje „Popiel i Piast“ co

do poetyczności „Wallasowi“, co do sceniczności „Halszce z Ostroga“ i „Jadwidze“, ale ma nad nimi wyższość co do rozległości idei głównej, a w wielu razach co do siły i dzielności charakterystyki i umiejętnego jej utrzymania w ciągu utworu.

Niedługo już żył Romanowski po wydrukowaniu tragedyi.

XIV.

Siłą słowa grzmiącego stojąc ponad Romanowskim, dorównał Kornelowi Ujejskiemu, czystością języka przewyższał go, lecz z powodu braku miększego, rzewniejszego uczucia nie osiągnął jego popularności LEONARD SOWIŃSKI (1831 † 1887). Urodzony we wsi Berezówce na Podolu, z ojca szlachcica, matki wieśniaczki, z pochodzenia niejako miał wszczepione w siebie idee demokratyczne, wzmocnione później wykształceniem wśród grona „chłopomanów“ ukraińskich. Nauki początkowe odbywał w Międzybożu jednocześnie z *Henrykiem Jabłońskim* († 1869), fantastą, marzycielem, śpiewającym na nutę ukraińską, znanym następnie ze zbiorku poezyj p. t. „Gwido i dumki" (1855, Lwów). Gimnazyum skończył w Żytomierzu, a w r. 1847 wszedł na wydział filologiczno-historyczny w uniwersytecie kijowskim, gromadzącym naówczas znaczną liczbę młodzieży naszej z Podola, Wołynia i Ukrainy. Po czteroletnich studyach otrzymał stopień kandydata; poczem znów przez 4 lata chodził na wydział lekarski; w końcu porzucił go i wrócił do literatury. Odbywszy w r. 1857 wycieczkę podróżniczą (Austrya, Włochy, Francya, Belgia, Saksonia i W. Ks. Poznańskie), przemieszkiwał aż do r. 1862 już to na Podolu, już to w Kijowie.

Do zawodu literackiego zachęcił go Kraszewski. Pierwsze jego dochowane poezye *(Madonny Ra-*

faelowe, Przed Madonną Sykstyńską, Przed obrazami Fra Angelico da Fiesole) sięgają r. 1857 i są wynikiem wrażeń, doznawanych w ciągu wędrówki po Europie: odznacza je wyższy nastrój ducha i wytworne wierszowanie. R. 1859 w „Piśmie zbiorowem wileńskiem“ Sowiński pomieścił wyjątki z poematu „Satyra“, wydanego w całości dopiero w 1870 (Kraków). We wstępie, poeta będąc pod świeżem wrażeniem podróży do Rzymu, maluje, jak Krasiński i Zaleski, zepsucie Romy starożytnej i przepowiada świetną dla Słowiańszczyzny przyszłość. W dalszym ciągu utworu objawia się już wyraźnie kierunek poetyczny i myślowy poety. Powstaje on przeciw pysze rozumu, przeciw zarozumiałości nauki i sztuki, przeciw zmateryalizowaniu Zachodu. W obrazie usiłowań wielkiego matematyka i filozofa, Hoene-Wrońskiego, stara się wykazać marność zaciekań nad zagadką świata, a dalej przeklina tych mistrzów sztuki, co tworzą groźne, zimne postaci, albo też rozdzierają piersi słuchaczów dysonansem niewiary i rozpaczy; zaleca natomiast pokorę, ofiarność, oraz „przeczyste, rzewne, potulne i święte“ malowidła. Z drugiej atoli strony występuje namiętnie przeciw faryzeuszom i świętoszkom, tej „brudnej kurzawie bożego domu“; a wystawia potęgę mas ludowych.—Z r. 1859 pochodzą także „Widziadła“ (Kijów), zbiór 12 sonetów złączonych w jedną całość odmalowaniem ciernistego zawodu poety na ziemi. Do charakterystyki tego zawodu, nakreślonej w powieściach Kraszewskiego, przydał Sowiński szczyptę zwątpienia nie o celach wielkich i świętych, lecz o siłach jednostki utalentowanej, każąc jej odpocząć pod krzyżem „po walce płonnej.“

Pomiędzy r. 1860 a 1862 Sowiński był spółpracownikiem „Kuryera Wileńskiego“, który się wtedy całkowicie zreformował pod redakcyą *Adama Honoryusza Kirkora* († 1886); pisywał tu stale korespondencye z Kijowa. Prócz tego wydał „Studya

nad literaturą ukraińską", rozprawę o najznakomitszym poecie małoruskim Tarasie Szewczence wraz z przekładem jego „Hajdamaków." W roku 1862 w wierszu „Do narzeczonej" słyszymy po raz pierwszy u Sowińskiego wyrażenie uśmiechu i szczęścia; lecz prawie równocześnie dochodzi nas zgrzyt wściekłości i rozpaczy; poeta ciska przekleństwo na miłość i kobiety. Mówię o „Fragmencie powieści", drukowanym dopiero w 1869 (Lwów), ale nakreślonym w 1862. Opisana tu jest miłość Leona, studenta medycyny do córy szlacheckiej, zalotnej Mani, miłość szalona, namiętna, chuć raczej zmysłowa, którą poeta chce wychłostać biczem furyj i pochodnią hańby piekielnej wyświecić, pragnąc okazać, jak wiele męskich dusz, „nadziejami wielkich za młodu", runęło nagle w proch, tkniętych śmiertelną trucizną zmysłowości. Zawiedziony przez płochą zalotnicę, Leon gardził i kochał, „sam z sobą w dziwnej rozterce"; potem tulił do serca Magdaleny pokutujące... „Fragment powieści" jest to poemat w rodzaju Byronowskiego „Don Juana" — pod pewnym tylko oczywiście względem. Pełno w nim spraw osobistych, sympatyj i antypatyj autora, pełno obrazków przecudnych i myśli wzniosłych, jak niemniej pełno miału i kwasu egoistycznego. Wiersz długi 15-zgłoskowy z męską średniówką przypomina niekiedy prozę tokiem swoim, lubo dykcya jest wysoce poetyczna i obfituje w mnóstwo energicznych, śmiałych, malowniczych wyrażeń. Temperament Sowińskiego niewątpliwie wyraził się tu najdobitniej; widać, że utwór był istotnie pisany krwią i łzami — wybuchy namiętności na każdej płoną karcie.

W 1868 przyjechał do Warszawy, został spółpracownikiem różnych czasopism, umieszczając w nich dużo recenzyj, trochę wspomnień, powieści i poezyj. Najważniejszym utworem jego z tej doby jest tragedya w 5 aktach z prologiem i epilogiem, ogłoszona bezimiennie r. 1873 w Poznaniu p. t. „Na Ukrainie."

I ona nie wypełnia warunków scenicznych, ale jest wyższą od okruchów „Z życia“, pod względem artystycznym, ustępując im pierwszeństwa co do myśli zasadniczej. Grunt realny, na którym się poeta oparł, poruszenie sprawy żywo obchodzącej ogół, wyborne odmalowanie kilku charakterów, wiersz silny i dźwięczny, styl pełen polotu pozwalają niemal zapomnieć o wielkiej luźności budowy, przedstawiającej się jako szereg obrazów, nie zaś jako jednolita, skupiona w sobie całość. Poeta nie umiał też nagiąć swej dykcyi do oddania znamiennego mowy rozmaitych usposobień i charakterów; wszystkie jego postacie odzywają się jednostajnym językiem, właściwym samemu twórcy: jędrnym, barwnym, pełnym przenośni nowych i trafnych. Nigdy jednak potem nie stworzył Sowiński nic lepszego w formie dramatycznej, chociaż próbował; w „Prologu tragedyi,” malującym stosunki podolskie między 1840 a 1850 r. w sposób namiętny i jaskrawy, zarysy charakterów są silne, ale zbyt jednostajne; najlepszym z nich jest Łaszcz, człowiek zdolny, z błyskotliwem wykształceniem, wymowny, lecz zepsuty nawskroś, czyniący swym zachciankom jedynie zadość.

I jako epik nie utworzył Sowiński wyższych rzeczy nad „Fragment powieści.” Nastrojem i barwą najbliższy temu utworowi jest „Graf Jarosz” (1872), opowiadający o miłostkach znudzonego magnata z cyganką Diwą i o jej zemście. W „Prażniku” (1883) pragnął poeta zachować jaknajzupełniejszą przedmiotowość i stąd, obrawszy temat z życia ludu wiejskiego na Podolu, przymuszał się do utrzymania prostoty sytuacyj i wyrażeń. Przymus ten widać z całego toku opowiadania oraz z tych miejsc, w których nie udało się powstrzymać lotu wyobraźni literackiej, np. gdy krupniczek nazywa „dziecięciem miodu i gorzałki, zrodzonem w ogniu,” lub gdy opór dziewcząt względem napastniczych zuchów nazywa „głośnym ale kruchym.” Chciał naśladować „Pana Tadeusza”

tak w charakterystyce ludzi, jak w porównaniach i sposobie prowadzenia rozmów; ale mistrzowskim wzorem nie potrafił przejąć się należycie.

W lirykach Sowińskiego od r. 1868, przeważnie gnomicznych, znajdujemy wyraz uczuć różnorodnych, mrocznych częściej, niż jasnych. Zwątpienie, gorycz, myśli samobójcze, rozpaczliwe nad stanem społecznym rozpamiętywania, dźwięczały naprzemian na strunach teorbanu. Wspaniale odmalował „Świat ducha," przeciwstawiąc mu „świat materyi bezwiedny;" potężnemi słowy skreślił „Widmo ruiny," uosobione w trzech postaciach: nędzarza-łupiezcy, bachantki, oraz „miałkiej, bezdusznej, pozornej nauki;" ale jak tam, tak i tutaj niezawsze przewodniczyła tworzeniu rozwaga poety-myśliciela, który nie tylko na formę piękną, ale i na wszechstronny rozwój treści baczy pilnie, ażeby uczucie i fantazya, zakochane w pewnym pomyśle, nie nadały mu niewłaściwego zabarwienia. W ośmiu „Fragmentach satyrycznych" uderzył na zmateryalizowanie świata, na ową gorączkę złota, na ową „giełdę bez Boga," która się już Krasińskiemu w okropnych przedstawiła kształtach. Zgrajom rozszalałym nie przyświeca żadna gwiazda, bo nawet myśl badawcza, niegdyś roztaczająca zwój „potęg twórczych," dzisiaj kupczy strzępami wiedzy, otoczona rojem heter i sofistów. Tryumfy nad kamieniem, parą i żelazem, podsycają tylko moc i szał materyi; kał żądz poziomych zalał świątynie serc; ateizm na zgliszczach wiar zapanował i zawładnął przekonaniami tłumów całych. Nasz mądry wiek—zdaniem poety—zostawi po sobie jeno „stos węgli, martwych ksiąg i kłamstwa nowy krój i wielki grób w ostygłem potomności łonie." Ryczałtowe to potępienie XIX stulecia i postawienie siebie samego w roli mędrca, wyrokującego o głupstwie świata, nie jest wszelako objawem zarozumiałości; w innym bowiem utworze p. t. „Płacz senny" Sowiński szczerze się spowiada ze swych słabości, wyznając, że rozkładowe

pierwiastki czasu podziałały i na niego. Otuchę czerpie wyłącznie w wierze i modlitwie, ale ognisty jego temperament, nadający się do opiewania „burz i błyskawic," nie umiał pięknie wyrazić ukorzenia się, prostoty i rzewności... Jednostronność w poglądzie na świat, zawarunkowana romantycznym nastrojem ducha, którego Sowiński był świetnym epigonem, najczęściej psuje wrażenie, wywołane barwnymi obrazami i nie dozwala nam uznać liryk jego za doskonałe; zaledwie parę z nich („Rada poecie," „Do liryków dzisiejszych") mogą jako całość zadowolić i myślowe i estetyczne wymagania.

Zbiorki utworów Sowińskiego: jeden wyszedł w Poznaniu r. 1875 w dwu tomikach p. t. „Poezye S."—drugi w Warszawie r. 1886 p. t. „O zmroku." Prócz tego pozostawił po sobie Sowiński ładne „Wspomnienia szkolne" (1884), trzytomową powieść „Na rozstajnych drogach" oraz pięciotomową kompilacyę p. t. „Rys dziejów literatury polskiej" (1874—1878 Wilno).

XV.

Na pograniczu między poezyą a powieścią stają pisma NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ w drugiej fazie jej twórczości. Rozejrzawszy się po r. 1850 w całkiem zmienionem otoczeniu pod wpływem czasów reakcyjnych, Gabryella gorzko zabolała („List nie wiem czyj i nie wiem do kogo") i zrazu pragnęła zapomnienia, jako „łaski sakramentu na odpuszczenie grzechów naszych wśród chaosu pomyłek, kłamstw i zwątpień,"—ale następnie od r. 1857 wystąpiła do walki z mniemaniami, urągającemi dawnym jej najświętszym przekonaniom. Zwróciła się naprzód przeciw obłudzie religijnej, pisząc „Adeodata" (1857

w „Wieńcu"). Adeodat, który był uciekł na puszczę, nie chcąc patrzeć na szkaradę postępków ludzkich, wraca do świata, żeby go pozyskać dla prawdy i miłości, ażeby się poświęcić, pracować i cierpieć dla braci. Wchodzi do salonu; każdy, do kogo się tylko zbliży, rozprawia głośno o potrzebie ofiary, łaski, pokory, świętego natchnienia; ale każdy w postępkach kłamie słowom swoim bezczelnie i zapiera się Chrystusa... Toż samo, w innej tylko formie, znajduje Adeodat wśród kłamanego ubóstwa i zabobonnej ciemnoty; tylko wśród młodzieży spotyka niektóre jednostki, przejęte szlachetnemi, wielkiemi uczuciami. Odbywszy swą wędrówkę, Adeodat zaszedł na cmentarz i począł obliczać zebrane spostrzeżenia. Nikt go wprawdzie nie ukrzyżował, nikt nie spotwarzył, nikt nie wyśmiał urągliwie; lecz za to obojętność wszędzie lodowatym opasała go murem; wszędzie dano mu poznać, że się na nic ludziom nie przyda,— on, co miłością najczystszą, słowem najszczerszem, uściskiem najserdeczniejszym objąć ich pragnął. Nie rozpacza jednak i kończy swe rozmyślania na cmentarzu śliczną apostrofą: „Bracia moi, bracia obojętni i oporni! Kochać was będę wszystkich, was, co umrzeć zepsuciu, odżyć wyrokom Najwyższego musicie!"— a autorka dodaje sarkastycznie: „ach, jak łatwą jest miłość bliźniego na *puszczy* i na *cmentarzu!...*"

Po tym śmiałym manifeście przeciw obłudzie, Żmichowska gorąco wystąpiła w obronie swobody myślenia i odważnego dochodzenia prawdy, wbrew deklamacyom przeciw „pysze rozumu" i zalecaniu kornej wiary („Niektóre pisma bezimiennej autorki"); przykładowo w powiastce: „Stary dwór w Świerszczowej" wykazywała, że ślepa wiara nie chroni bynajmniej jej wyznawców od grzechu, występku i zbrodni. Energicznie potępiła (w „Drugiem zapytaniu") apatyczną obojętność i trwożną rezygnacyę, powiadając, że obłuda martwoty, objawiająca się brakiem granitowej przekonań zasady i zgadzaniem się

na poglądy najsprzeczniejsze, stoi niżej nawet od obłudy faryzejskiej.

A chcąc znów poprzeć przykładem twierdzenie o szkodliwości zobojętniałej rezygnacyi i o potrzebie walki ze wszelkiem złem, napisała „Białą różę“. — Przedstawiła tu kobietę o wyobraźni niepospolitej, o rozumie analitycznym, nadzwyczaj subtelnym, o popędach bardzo szlachetnych z natury; ale o energii, zmiażdżonej względami życia światowego i wpływami ograniczonego umysłowo otoczenia. Umiała ona marzyć prześlicznie, umiała ze smakiem prawdziwym unosić się nad pięknością dzieł sztuki, umiała rozumnie oceniać wyniki nauk głębokich, a co ważniejsza, umiała tak trafnie i delikatnie wszystkie głębie ducha swego analizować, że tego talentu najbieglejszy psycholog mógłby jej pozazdrościć. Ale jako kobieta czasów reakcyjnych, całą sztukę udawania w to włożyła, ażeby powierzchownie w niczem się od innych „dam“ nie odróżniać, chociaż zna całą martwotę, całą nicość konwenansu. Stąd wydawała się konserwatystką w każdym szczególe życia, od religii poczynając, a kończąc na poszanowaniu salonowej formy; okazywała nieufność względem uczucia, szyderstwo względem wszelkiej niezwykłości, zamiłowanie miernoty. Skądże taki odskok od wewnętrznej treści duszy do jej uzewnętrznienia wśród stosunków towarzyskich? Biała Róża była w dzieciństwie uczuciową i śmiałą; ale gdy pierwsze jej porywy zostały ironią osób otaczających skarcone; gdy jej marzenia wyśmiano; gdy wszystkie jej wiadomości zaczęto traktować tylko jako środek, służący do upiększenia modelu panny posażnej; gdy zaczęto przedstawiać uczoność jako synonim śmieszności, entuzyazm jako szaleństwo, śmiałość jako dowód złego smaku: uległa wpływom, stała się pozornie taką, jak wszystkie inne bogate panny na wydaniu, wlazła w reakcyjną skorupę „tego co wypada i co nie wypada.“ Założyła natomiast we własnej głowie pań-

stwo osobne, rozświetlone błyskami bolesnej ironii, a zaludnione wszystkiemi najbujniejszemi marzeniami fantazyi. Biała Róża stała się bardzo utalentowaną i bardzo zręczną artystką życia; przebywała najswobodniej w dwu sprzecznych światach, i co traciła w jednym, wynagradzała sobie w drugim. List jej do Kazimiery, swobodnie i odważnie z myślami swemi i uczuciami w świat występującej, jest arcydziełem subtelności nie tylko uczuciowej, ale i rozumowej: tyle w nim bystrych spostrzeżeń, tyle tej analizy głębokiej, co w każdym proszku życiowym umie cały świat myśli odkryć, tyle drobnostkowej rozwagi, która przecież pierwiastku poetycznego pozbawioną nie jest. W liście tym zajaśniały brylantowym blaskiem wszystkie zasoby bogatego umysłu Białej Róży, zakrywając fałsz i obłudę: chciała skromną Kazimierę zadziwić potęgą swego artyzmu życiowego, chciała zakosztować rozkoszy bezinteresownego współczucia istoty prostej i szczerej, ażeby je później wyszykanować dowcipnie.

Pod względem psychologicznego rozbioru tak złożonej istoty jak Biała Róża nie mamy dotychczas nic lepszego w literaturze naszej; na czasy, w których go podała Żmichowska, może był za głęboki; dziś go lepiej zrozumieć i ocenić zdołamy. Jako całość powieściowa utwór ten dobrym nie jest; rozprawy zajmują w nim miejsca zadużo.

Wyobraźnia Żmichowskiej była natury wybuchowej: błysnęła oślepiającym płomieniem, wyrzuciła masę lawy gorącej, a potem przy pomocy subtelnej analizy zastygłą już lawę drobnostkowo rzeźbiła. Nie było w niej jednostajnej siły natężenia; słabła i potężniała; stawała się rozpaloną i ciepłą tylko. Zgodnie z rozumem dedukcyjnym, nie chwytała cech zewnętrznych, ale umiała natomiast zagłębić się w tajne przepaści ducha. Po Sztyrmerze, który, jak wiemy, chorobliwe tylko objawy pewnego rodzaju umiał przedstawiać, Żmichowska musi być uważana za

wszechstronniejszą, nieporównanie wyższą talentem twórczynię powieści psychologicznych, pisanych stylem całkiem oryginalnym.

Po wydaniu „Białej Róży,“ nie utworzyła już Żmichowska żadnej wykończonej całostki, a talent jej słabnął. Zmarła 25 grudnia 1876. Zbiór jej „Pism“ wyszedł w Warszawie 1885 w 5 tomach.

XVI.

W powieści, prócz piszących w dalszym ciągu przedstawicieli pierwszej doby tego okresu, mamy dwu nowych twórców, którzy podejmowaniem i rozwijaniem tematów społecznych dużo się przyczynili do zwrócenia uwagi ogółu na ważne zagadnienia, działając przedewszystkiem jako publicyści, używający formy popularnej jedynie dla rozpowszechnienia pewnych poglądów. Autorami tymi są żyjący dotychczas: Zygmunt Miłkowski i Jan Zacharyasiewicz. Ogólnie ich tylko charakteryzować zamierzam.

ZYGMUNT MIŁKOWSKI (urodzony r. 1824), znany lepiej pod pseudonimem *Teodora Tomasza Jeża*, wystąpił na widownię literacką już jako mąż dojrzały, dużo mający doświadczenia i z wyrobionemi przekonaniami. Urodził się na Podolu, we wsi Saraceja nad Dniestrem. W domu panowało zamiłowanie literatury ojczystej i rozlegały się opowiadania o wojnach napoleońskich, w których ojciec Zygmunta brał udział. Szkolne czasy w Niemirowie były jakby zapowiedzią późniejszego tułaczego życia. Chłopiec uczył się wprawdzie dobrze, szkoły przechodził aż do klasy szóstej włącznie; musiał je opuścić z powodu zajścia z dyrektorem. Przygotowawszy się przez rok w domu, wstąpił do liceum w Odessie na wydział matematyczno-fizyczny; skończył go w r. 1846, otrzymawszy dyplom i medal złoty za rozpra-



T. T. Jeż.

resztek robi. Gdy nad nią dach i zerwał; gdy mury zamku dla wiatrów i otwierały: sam wtajemniczeni dachówki układał i szczeliny zatykał. Widywałem go na dachu w ulewy, zmokłego ale niestrudzonego. A ponieważ przekonany jestem, że widzenia mogą nie być wytworem czystej fantazji, życzę przeto Czcigodnemu Koledze, aby służbę swoją drugich jeszcze lat czterdzieści pełnił.

Genewa d. 2 listopada 1887

T. T. Jeż.

Autograf T. T. Jeża.

(Ze zbiorów Adama Pługa).

wę konkursową. W roku następnym udał się do Kijowa w celu zdania egzaminu na stopień kandydata nauk matematycznych; słuchał tu przez rok niespełna wykładów uniwersyteckich.

Nie karyera jednak naukowa miała być jego przyszłością. Wypadki r. 1848 zniewoliły go do opuszczenia kraju; udał się do Galicyi, a stamtąd do Węgier, gdzie jako legionista walczył z wojskami austryackiemi; znajdował się przy oblężeniu Aradu i w bitwach pod Solnokiem, Tapio-Biczke, Isaszeg, Nagy-Szarlo, Komornem, Budą, Szegiedynem i Temeswarem, które opisał później z niepospolitym talentem w powieści: „Ci i tamci." Po upadku powstania węgierskiego dotarł wraz z innymi legionistami do Turcyi, a potem do Anglii. W Londynie przez dni dziewięć nic nie miał do jedzenia. Dostał następnie zajęcie jako posługacz w zakładzie modelów do obić papierowych; potem rysował wzory obić. Gdy już jakotako ubezpieczył byt materyalny, zajął się sprawami ogólniejszej natury; wstąpił do Towarzystwa Demokratycznego, które się wtedy z Paryża przeniosło do Londynu, poznał osobiście członków zarządu, czyli t. zw. „centralizacyi," mianowicie Stanisława Worcella, Wojciecha Darasza, Jana Kantego Podoleckiego. Czytywał wówczas dużo, uczył się ciągle, a zachęcany przez Worcella, zaczął pisywać artykuły do „Demokraty Polskiego," który jako tygodnik drukował się od 12 stycznia 1851 w Brukseli. Istniał w stolicy Anglii „Komitet centralny demokracyi europejskiej," który reprezentowali: Ledru-Rollin, Mazzini, Ruge, Darasz i Dymitr Bratiano. Pozostawał on w ścisłych stosunkach z „Centralizacyą.", Z jego polecenia Miłkowski pojechał do Mołdawii, a następnie przez czas wojny krymskiej przeszedł Serbię, Bulgaryę, wielokrotnie odwiedzał Konstantynopol, gdzie też osiadł po skończonej kampanii. Przebywali tu czasowo lub stale poeci nasi: *Henryk Ja-*

błoński, *Ryszard Berwiński*, *Roman Zmorski*, *Karol Brzozowski* (ur. 1821), który świeżo wtedy (r. 1856) wydrukował najcelniejszą swą gawędę: „Noc strzelców w Anatolii.“ Ocieranie się o literatów rozbudziło zapewne nanowo żyłkę pisarską w Miłkowskim. Posyłał on wprawdzie kiedyniekiedy korespondencye do „Demokraty Polskiego,“ który po paroletniej przerwie znów w r. 1854 ukazywać się zaczął w Londynie pod redakcyą *Antoniego Żabickiego*;—lecz za autora bynajmniej się nie miał. Autorstwo „wydusił“ na nim Włodzimierz Kozłowski, kolega jego z wojny węgierskiej. Na jego naleganie opisał „Udział Polaków w sprawie wschodniej“ (druk. r. 1858 w Paryżu). Zanim atoli książka ta, budząca dużo wrogich dla autora usposobień i zasadzek, wyszła z druku, Miłkowski, pod pseudonimem *T. T. Jeża*, stał się głośnym publicystą i powieściopisarzem. W końcu lata r. 1856 w „Dzienniku literackim,“ wychodzącym we Lwowie pod redakcyą *Jana Dobrzańskiego*, zaczęły ukazywać się „Wyjątki z pamiętników włóczęgi,“ które ciągnęły się z przerwami przez dwa lata następne i objęły żywy opis Dobrudży, Bulgaryi, Konstantynopola, i mocno zajęły czytelników. W r. 1857 już poszukiwano korespondencyj Jeża, a te, które nadsyłał do „Gazety Warszawskiej,“ niemało się przyłożyły do jej wielkiego rozpowszechnienia. W r. 1858 ukazuje się w „Dzienniku literackim“ pierwsza powieść Jeża p. t. „Wasyl Hołub,“ a później sypały się coraz to nowe, drukowane już to w „Dzienniku literackim,“ już to w „Gazecie Warszawskiej,“ „Tygodniku illustrowanym“ i t. d. Pod względem układu nie zadawalały one zazwyczaj, zadużo w nich było epizodów, zawiele niespójności w rozwikłaniu wątku. Sam autor zaliczał powieść do rodzaju „sprawozdań“ o stanie umysłowym, moralnym i społecznym; o sztukę kompozycyi dbał niewiele. Ale w jego stylu, choć zmanierowanym przekładniami, było dużo świeżości, barwności i plastyki; a co ważniejsza, w jego opowiadaniach drgała we-

wnętrzna dźwignia, zmuszająca nieprzeparcie do wsłuchiwania się w głos autora, piszącego nie dla czczej rozrywki, do roztrząsania jego myśli, do głębszego zastanawiania się nad ludźmi i stosunkami.

Dźwignią tą była podniosła idea demokratyczna, przewijająca się srebrzystem pasmem poprzez całą osnowę jego twórczosci. Interesa ludu wystąpiły u niego na plan pierwszy, wypowiadały się z całą potęgą w czasach, kiedy pańszczyzna na znacznej przestrzeni ziem b. Rzeczypospolitej istniała jeszcze. Nie było to sielankowo-romantyczne lubowanie się w obrazkach zagród wiejskich, lub też w gwałtownej miłości czarnobrewych dziewic, ani też chorobliwy zapał „chłopomanów," którzy pod wpływem niejasnych pojęć chcieli się zniżać do klas majątkowo i umysłowo upośledzonych, wmawiając w siebie, że tym jedynie sposobem można zerwać z fałszem i zepsuciem warstw niby ucywilizowanych, a przynajmniej „ogładzonych." Jeż nie chciał bynajmniej idealizować ludu. Znał on dobrze zarówno wady jak i zalety swoich ludowych bohaterów i bohaterek; wad tych nie ukrywał przed czytelnikiem, owszem z całą, sobie właściwą dobitnością przedstawiał je szczegółowo, bez usprawiedliwiań sofistycznych, bez strojenia ich w sztuczne blaski. Nie wyrywał tych osób z zakresu życia praktycznego, aby je mieścić na wyżynach podobłocznych. Owszem, są to ludzie zwyczajni, których pewne tylko okoliczności wynoszą czasami nad poziom powszedniej krzątaniny około potrzeb codziennych. Ważność ich wydobywa się z samego wnętrza mas wielkich, mających prawo do używania wszystkich korzyści, jakie cywilizacya z sobą przynosi, a które odejmują im: przesądy, egoizm lub zepsucie klas uprzywilejowanych. Ażeby masom przyznać to prawo, nie potrzeba litości, ani filantropii, ni sentymentalnie tkliwych popędów serca; potrzeba jeno szanować człowieka, znać obowiązki społeczne, oraz cele, ku którym życie narodowe zmie-

rzać powinno. Takiemi myślami przepełnione są początkowe powieści Jeża: „Wasyl Hołub,“ „Handzia Zahornicka,“ „Historya o prapradziadku,“ „Hrabianka Dynia,“ „Wrzeciono“ i inne.

Obok tego zajęcia się sprawą ludu w czasach pańszczyźnianych i poddańczych, Jeż miał na ciągłej uwadze ogół narodu, jego losy przeszłe i teraźniejsze, przyczyny osłabienia i potrzebę wzmocnienia jego organizmu. Oczywiście, jak dla każdego powieściopisarza, tak i dla Jeża wady ludzkie najwięcej dostarczały materyału do obrabiania, ale malował on te wady nie dla celów czysto artystycznych, ani też dla znęcania się nad społeczeństwem, lecz w zamiarze wskazania drogi ku lepszemu ustrojowi. Brak prawdziwie dobrego wychowania, psutego zazwyczaj zbyt wielką pobłażliwością lub próżnością matek; nizki poziom oświaty; zepsucie młodzieży, która nie umiejąc sobie znaleźć pola działania, gnuśnieje w bezczynności, lub grzęźnie w błocie; brudne samolubstwo rozpowszechniające się wśród warstw bogatych; nieposzanowanie godności narodowej i gonienie za wyłączną osobistą korzyścią w jakimkolwiek kształcie: oto główniejsze wady, jakie Jeż w całym szeregu powieści wytknął ogółowi mężczyzn. Co do kobiet, zarzucał im brak samodzielności, brak nauki, brak istotnego zrozumienia ciążących na nich obowiązków. Typy: kwiatka w pączku, kobiety z kluczykami i chustką dla ucierania nosów malcom, lub jaskrawej aż do szatańswa zalotnicy —najczęściej w życiu i powieściach się napotykają. Cieplarniana atmosfera salonu nie dozwala rozrosnąć się ani prawdziwemu uczuciu kobiety, ani jej umysłowym zdolnościom. Kokieterya, chorobliwa czułostkowość lub wyrafinowana zmysłowość: to skutki dotychczasowego wychowania i roli kobiet w społeczeństwie. Stąd też popierał nasz powieściopisarz dążność do wyższego wykształcenia i dążność do tak zwanego równouprawnienia, rozumie się w zakresie właściwym

dla płci niewieściej. „Mężczyzna i kobieta—powiedział—są to dwa skrzydła, na których ludzkość ku przyszłości swojej żegluje, ku doskonałości podąża; potrzeba i dla nich, jak dla skrzydeł, równowagi.”

Żaden podobno z naszych powieściopisarzów nie był tak gorącym, tak stanowczym i tak wytrwałym jak Jeż rzecznikiem *obowiązku*. Wszystkie uczucia, wszystkie pragnienia, podporządkowuje on temu wielkiemu przykazaniu. Szereg takich utworów, jak: „Historya o praprawnuku,” „Pierwsze boże przykazanie,” „Drugie boże przykazanie,” „Krwawe dzieje,” „Pamiętniki starającego się,” „Pani komisarzowa,” „Wnuk chorążego,” że pominę wiele innych, głośno, dobitnie i wymownie wpaja w czytelników to przekonanie, że ten tylko na szacunek i cześć zasługuje, kto spełnił swój obywatelski obowiązek.

To też nie można się dziwić, że miłości indywidualnej nie poświęca Jeż kart wielu; nie dlatego wcale, żeby ją lekceważył; owszem pojmuje ją i przedstawia bardzo rozumnie. „Mniemam—powiada w jednej ze swych powieści—że miłość jest bardzo poważną w społeczeństwie potęgą, nawskroś moralną, ale nie mniej przeto rzeczywistą, czysto ludzką i bardzo czystą. Człowiek jej potrzebuje, jak powietrza do oddychania; potrzebuje zespolić się uczuciem, aby miał prawo być istotnym społeczności ludzkiej członkiem, aby miał prawo być człowiekiem. Kto nie kochał, ten nim jeszcze nie jest, a kto z miłości żarty robi, ten człowiekiem nigdy nie będzie: zostanie zwierzęciem, albo maszyną, t. j. albo krwią—ducha w sobie zaleje, albo też zatopi się w jakiejś specyalności, która go w formułę zamieni.” Prawdziwa miłość nie odrywa od pracy, ale do niej pobudza, nie staje na przekór obowiązkom, ale w nich znajduje swe dopełnienie. Odnieść zwycięstwo nad szałem zmysłów, nad rozigraniem wyobraźni, w tym celu, aby nie mieć przeszkody w pracy dla dobra ogólnego: oto bohaterstwa, które Jeż lubi opromieniać naj-

wyższem uznaniem. Bo, jak powiada, „najpiękniejszą jest cnota, a najpiękniejszym cnoty objawem jest poświęcenie się dla dobra współbraci. Poświęcić majątek, czas, życie, rozum dla wszczepienia w ogół szlachetności przekonań, to mi ideał, który warto bohaterstwem zaszczycić,—ale nie idealizowanie jakichś miłostek, salonowych lub alkowianych intryg i artystycznych rojeń"...

Surowe pojęcie obowiązku, zachęta do pracy wytrwałej a sumiennej, gorące pragnienie sprawiedliwości zarówno dla jednostek i poszczególnych warstw, jak i dla całych narodów, trzeźwość myśli, powierzanie spraw życia rozumowi—nie wyrzekającemu się wpływów prawdziwego uczucia — i sumieniu, niezamąconemu fanatycznemi doktrynami, nawiązywanie nici sympatycznych z lepszą tradycyą przeszłości, nawoływanie do nauki gruntownej, jako najodpowiedniejszego drogowskazu w postępowym pochodzie człowieczeństwa, wolnomyślność i rzetelny humanizm—oto uczucia i poglądy, jakie w najróżnorodniejszej formie ożywiają utwory Jeża, zarówno powieściowe, jak publicystyczne i historyczne.

Jako artysta, Jeż dawał obrazy pełne życia, barwy i plastyki; niema w nich nic zamglonego, nic niepewnego; lubił używać wyrazów i wyrażeń dosadnych, w pismach jego znaleźć można słowa usunięte z parafialnego słownika, utworzonego przez pruderyę; mniej więcej stara się wszystko nazwać po imieniu, trzymając się ściśle rzeczywistości, biorąc z niej zarówno osoby, wypadki, jak i barwy. Stąd odrzucił prawie wszystkie przestarzałe porównania poetyczne, o których mówi niekiedy z przekąsem. Wybornie maluje silne, energiczne charaktery; doskonale oddaje dyalog satyryczny, ale stosując ten sam sposób malowania do osobistości rzewnych, rozmarzonych, tkliwych zbytecznie, nie umie utrzymać koniecznej równowagi pomiędzy rzeczą a słowem, pomiędzy zapewnieniem autorskiem a jego zrealizowa-

niem przed oczyma czytelników. Ustępy czułe znajdują się w pewnej dysproporcyi do ustępów silnych, wybuchowych lub uszczypliwych; więcej tam zawsze napotykamy omówień i opisów; artystyczne przedstawienie nie dochodzi tym sposobem do należytej jedności i pełni. Mając zastrzeżenie to na uwadze, można powiedzieć, że Jeż umie wyzyskać artystycznie sytuacye; nie drobi, nie kawałkuje powieściowego obrazowania, ale obrabia je z całą starannością, dopóki zupełnie materyału nie wyczerpie. W kompozycyi natomiast znajdują się usterki znaczne, tak, że tylko szczuplejsze utwory za udatne pod tym względem uznać można.

Najpiękniejsze swoje powieści osnuł Jeż na obrazowaniu stosunków w stronach swoich rodzinnych oraz w słowiańszczyźnie południowej. Tutaj jest zupełnym panem pomysłów i ich powieściowego przeprowadzenia; a w uczuciu głębokiem, przepełniającem mu duszę, znajduje sympatyczny łącznik z czytelnikiem. Dlatego też takie powieści, jak: „Historya o praprawnuku", „Sen nieboszczki", „Komysznik", „Szandor Kowacz", „Narzeczona Harambaszy", „Uskoki", „W zaraniu" były i będą z prawdziwą przyjemnością, a niekiedy z wielkiem rozrzewnieniem czytane. Mniej szczęśliwie wypadły obrazy z przeszłości Polski, takie jak: „Za króla Olbrachta", „Dersław z Rytwian", „Karzeł dyplomata". I tu wszakże, ilekroć tknął spraw ruskich, odzyskiwał żywość i barwność, jak tego dowodzi opowiadanie z czasów wojen kozackich p. t. „Z burzliwej chwili".

Doskonale pod każdym względem zbudowanej powieści większej Jeż nie dał. Nawet „Uskoki", stosunkowo najlepiej opracowane i zawierające w sobie sceny, jakichby się największy powieściopisarz europejski nie powstydził, szwankują pod koniec w rozwinięciu akcyi. Dlatego też z góry zaznaczyłem, że zasługi Jeża polegają głównie na uwydatnieniu i rozszerzeniu uczuć i myśli pierwszorzędnej wagi. W ar-

tyzmie zaś twórczość jego przyniosła wzmocnienie tej umiarkowanej metody realistycznej, którą się już posługiwali dawniejsi nasi powieściopisarze, od Kraszewskiego poczynając.

XVII.

Jak u Jeża rysy grube, rubaszne, tak u JANA ZACHARYASIEWICZA głównym środkiem artystycznym są drobne kreski starannie cieniowane, lub też szereg punkcików, z których powoli układa się całość fizyognomii ludzi i rzeczy, przy pomocy wyobraźni dopełniającej uważnego czytelnika. Siłę plastyki, którą posiada w nizkim jeno stopniu, zastępował drobiazgowością opisu, nie pomijającą niedojrzanych niemal objawów zewnętrznych usposobienia czy nastroju w ruchach twarzy, czy w giestykulacyi, przyczem wybierał sobie jakiś ulubiony ruch ręki lub oczu, powtarzający się wielokrotnie. Tak samo postępował z pewnymi frazesami, które miarowo w pewnych odstępach czasu, wracały niekiedy aż do znudzenia. Powtarzanie takie mogło wywołać w pewnych wypadkach skutek komiczny, nie leżący bynajmniej w zamiarach autora.

Ale Zacharyasiewicz nie poprzestawał na przedstawieniu stron zewnętrznych życia; więcej niż inni powieściopisarze (z wyjątkiem oczywiście Żmichowskiej) lubił się zajmować duchowem przetwarzaniem się swoich bohaterów. Według niego powieść to „patologia“ ludzkiego społeczeństwa i jednostek. Autor bierze tedy chorego, odznaczającego się jakąś wadą lub zaletą wybitniejszą, stawia go w warunkach trudnych do pokonania, nie odpowiadających pierwotnym pojęciom i usposobieniom niedoświadczonego młodzieńca i każe mu działać. Oczywiście taki czło-

wiek działa po większej części bardzo mało, przyjmuje biernie wrażenia i przekonywa się zazwyczaj, że trzeba życie zacząć nanowo, na innej podstawie, według przekonań lepiej licujących z wymaganiami społecznemi. Te przejścia wewnętrzne, ta przemiana duszy daje sposobność powieściopisarżowi do szeregu spostrzeżeń psychologicznych i do głębszego wniknięcia w uczucia, poglądy i popędy ludzkie. Wielką subtelnością rozbioru nie odznacza się Zacharyasiewicz, ale niektóre procesy duchowe, jak marzycielstwo lub zamiłowanie w wygodach umiał przedstawić dobrze. Zauważyć w nim można jakby ustawiczne wahanie się pomiędzy dwoma czynnikami: skłonnością do rojeń poetycznych, a wyrozumowaną potrzebą liczenia się z realnymi stosunkami życia. Są to wyniki usposobienia przyrodzonego i środowiska, w którem upłynęły mu lata najwrażliwsze.

Zacharyasiewicz urodził się w miasteczku Radymnie r. 1825 z rodziców niezamożnych; wcześnie musiał myśleć sam o sobie i wcześnie zaznał wszystkich goryczy i cierpień, na jakie narażało młodzież położenie Galicyi za rządów Metternichowskich, kiedy każde liczniejsze zebranie podejrzewano o knucie spisków. Ze szkoły w Przemyślu, gdzie się chwilowo spotkał podobno z Kaczkowskim, musiał przejechać za jakieś patryotyczne przekroczenie wraz z innymi kolegami do twierdzy w Spielbergu, gdzie dwa lata (1842—44) przesiedział, kształcąc się na książkach niemieckich, jedynie mu dozwolonych. Po uwolnieniu przybył do Lwowa i złączył się z gronem młodzieży, czczącej entuzyastycznie poezyę i próbującej sił w literaturze. Duch tu był szczerze i zapalczywie demokratyczny; zachęcano się wzajem do czynu, do pracy dla ludu. W r. 1848 stanął 23 letni młodzieniec wraz z swym przyjacielem *Karolem Widmanem* (1821 † 1891) na czele czasopisma radykalnego: „Postęp“, które przeciwnicy z obozu szlacheckiego o skłonności socyalistyczne oskarżali. Tu

oprócz artykułów drobniejszych, pomieścił rozprawkę „o polityce ruskiej i narodowości ruskiej“ w Galicyi, rzecz, którą później w kilku powieściach obrabiał, budząc wielkie zajęcie. „Postęp" istniał niedługo. W r. 1849 Zacharyasiewicz redagował, bardzo krótko zresztą, „Tygodnik polski", przemieniony już poprzednio przez Karola Szajnochę z dobrze znanego w dziejach literatury galicyjskiej „Dziennika mód paryskich“. Niebawem atoli, wskutek coraz silniejszej reakcyi rządowej, dostał się do więzienia; osadzony w fortecy Theresienstadt, musiał znowu karmić się wyłącznie literaturą niemiecką, która też zarówno na styl jego, jak na sposób tworzenia powieściowego silnie oddziałała. Wypuszczony po dwu znowu latach, wrócił do Lwowa i wziął udział w słabo z początku tętniącym ruchu czasopiśmienniczym, reprezentowanym najprzód przez „Nowiny,“ a następnie przez „Dziennik literacki“. Obu tych pism został gorliwym spółpracownikiem, jako poeta i powieściopisarz.

Jako poeta śpiewał tęsknie i melancholicznie; kiedyniekiedy pieśni swoje kończył uśmiechem ironii. Uśmiech ten nie był łagodny i pobłażliwy, jak uśmiech męża, przypatrującego się z pewnej wyżyny sprawom dziennym, lecz bolesny i zgryźliwy, jako wyraz młodzieńczego rozczarowania i chęci pozbycia się zawodnych marzeń. W jednej z najwcześniejszych swoich nowel, osnutej na częściowych wspomnieniach z pobytu w fortecy, p. t. „Gwiazda“ (1854) wypowiedział 31-letni już wtedy mężczyzna te bardzo znamienne słowa: „Niech mówią, co chcą, poeci i powieściopisarze, którzy uczuciom bezwzględnie wieczność i nieśmiertelność przypisują; ja jednak mówię wam szczerze, że takowe zawisły od wpływów, które je zasilają, lub zupełnie niszczą. Każda wyższa potęga ducha objawia się w świecie zmysłowym przez pewne medium, zmysłom podpadające, które ją przez nie istocie ducha udziela. Obcowanie zatem duchów zawisło zawsze od jakiegoś czynnika, na pół zmy-

słowego, a bezwzględne tychże porozumienie i wzajemność bez pomocy takich czynników obejść się nie może". A przykładowo rozwinął toż samo twierdzenie w dziejach „Uczonego" (1855), pierwszej swej większej powieści, wykazując, jaką drogą młodzieniec pełen życia, zapału, poetyczny i uczuciowy, może się przemienić na móla książkowego, zobojętniałego nie tylko na miłość osobistą, ale także na miłość ogólniejszą, bo przenikniętego kosmopolityzmem... Znaczna zresztą część bohaterów powieściowych Zacharyasiewicza choruje na marzycielstwo, z którego życie rzeczywiste ma ich wyleczyć.

Ale nie znaczy to bynajmniej, żeby w samym twórcy wygasła wszelka skłonność do marzycielstwa. Marzenia pozostają wprawdzie w kąciku, traktowane są niby z przekąsem; ale przy lada sprzyjającej okoliczności wypełzają ze swych kryjówek i choć słabym głosem, domagają się zaprzeczonych na chwilę praw bytu. Uczuciowe obrazki, sny cudowne, fantasmagorye, widzenia hallucynacyjne grają wówczas w utworach znaczną rolę, tym przynajmniej sposobem czyniąc zadość tłumionej trzeźwością poglądów wewnętrznej potrzebie serca i wyobraźni. Czasami cały utwór osnuty jest na tej sennej stronie życia ludzkiego, jak np „Renata" (1858, Warszawa).

Częściej atoli Zacharyasiewicz występował jako lekarz dusz, dający wskazówki, gdzie leży niebezpieczeństwo i coby robić potrzeba, aby go uniknąć. W „Sierocie wielkiego świata" (1856, Lwów) odmalował szkodliwy, a nawet zgubny wpływ bigoteryi w postaci intryganta (fraczkowego jezuity), który wszystkie szkaradzieństwa swoje popełniał ze słodziutką miną, z rękami na piersiach skrzyżowanemi, w imię religii i Boga. W „Bożem dziecięciu" (1858, Lwów) wskazał magnatom, nie wiedzącym co robić z czasem i dużemi funduszami, jak je mają na rzecz oświaty narodowej zużytkować. W powieści „Na Kresach" (1860), która mu naprawdę wielki rozgłos

w piśmiennictwie i społeczeństwie zapewniła, rozwinął na szeroką skalę to, co *Paulina Wilkońska* w skromnym swoim „Obrazku poznańskim" (1857) pierwsza u nas zaznaczyła, a mianowicie sprawę germanizacyi w Wielkopolsce, dosadnie wykazując potężne środki przez Niemców użyte i niezaradność obywateli, co własnowolnie oddawali ziemię przodków w ręce nienawistnych przybyszów. W „Świętym Jurze" (1862, Lwów), poruszył, ze stanowiska polskiego, agitującą się już od lat kilkudziesięciu, a wówczas groźniej występującą kwestyę rusińską w Galicyi, a zrobił to dokładniej, z większą znajomością rzeczy niż *T. T. Jeż* w równocześnie drukowanej „Sprawie Ruskiej w Galicyi". Powieść „W przededniu" (1863, Lwów) przedstawiła dobitnie rwanie się ustawiczne przedsięwzięć w zakresie pracy wewnętrznej (oświata ludu, sprawa uobywatelenia żydów, zakładanie instytucyj ekonomicznych). W „Marcyanie Kordyszu" (1865) odtworzył bardzo umiejętnie typ ludzi, co uparcie przebywając w dziedzinie wysoko mierzących ulud, tchnąc ustawicznie arystokracyą pragnień, nie mogą i nie chcą zastosować się do wymagań rzeczywistości, usuwają z pod nóg swoich wszelką podstawę i w końcu marnieją. W „Czerwonej czapce" (1869, Poznań; w Warszawie wyszła jako „Nemezys") w sposób zajmujący i malowniczy skreślił ciekawy i ważny proces przetwarzania się Niemców, osiadłych w Polsce, na krajowców, jeżeli już nie w pierwszem, to przynajmniej w drugiem pokoleniu. W „Zakrytych kartach" (1874, Lwów) wybornie przedstawił silnie zakorzenioną w obyczajach naszych sprzeczność pomiędzy ogłoszonemi na popis niby - zasadami, a istotnem postępowaniem, i to na tle upadania wielkich majętności w Galicyi. W „Złym interesie" (1876, Warszawa) mamy dobrą analizę tej wstrząsającej gorączki złota, jaka do najszpetniejszych prowadzi zboczeń i występków, gdy opanuje wszystkie nerwy organizmu ludzkiego, wy-

żerając szlachetniejsze uczucia, wypaczając charaktery, a życie czyniąc albo snem trwożnym albo orgią.

Nie zawsze jednak zajmował się Zacharyasiewicz tak ważnymi psychologicznie i społecznie zagadnieniami; częściej owszem poświęcał swe pióro sprawom powszednim, codziennym, obowiązującym równie silnie do noszenia krawatu, jak do wykonywania katechizmowych czy kodeksowych przepisów. Miłość odgrywa tu rolę pierwszorzędną; a Zacharyasiewicz z wielkiem o niej mówi zamiłowaniem, poddając ją szczegółowemu, drobiazgowemu nawet rozbiorowi. Nie jest on ani zbyt zapałonym chwalcą cnót niewieścich, ani też zbyt gorzkim szydercą. Ubóstwia miłość prawdziwą; więc smutno mu, że jest ona coraz rzadszą na świecie, gdyż zastępuje ją gonienie za bogactwami, blaskiem, wygodami życia, zaszczytami, wreszcie samolubstwo, depczące pragnienie innych, byleby swoim zachciankom dogodzić. Jako wielbiciel cichego, spokojnego uczucia, bardzo często Zacharyasiewicz przeprowadza w swych powieściach osnowę następną: Bohater poznaje jakąś skromną panienkę w zaciszu wiejskiem, budzi w niej serdeczny ku sobie pociąg; potem z jakiejkolwiek przyczyny oddala się, szukając w świecie szerokim mary szczęścia. Po wielu próbach, które go moralnie męczą i przygnębiają, wraca do owego wiejskiego ustronia i odnajduje zadumaną a tęskniącą bohdankę... Co powiedziałem o mężczyznach, to w szczuplejszym zakresie stosuje się i do kobiet, które na ogół są albo bezdusznemi lalkami, albo wyrafinowanemi kokietkami, albo też silnie i wytrwale kochającemi idealistkami. To też domagał się powieściopisarz wyższego wykształcenia i rozszerzenia zakresu pracy kobiecej („Po ślubie" 1866). Raz pomyślał o stworzeniu ideału polskiej dziewicy i napisał „Wiktoryę Reginę" (1870). Poznajemy tu kobietę piękną, szlachetną, wykształconą, imponującą i rozumem i sercem i zachowaniem

się. Kochała ona pewnego Jetkiewicza, który oczarowany jej urokiem i olśniony jej umysłem, zaczynał przemieniać swe życie. Na nieszczęście kochał on poprzednio inną i w wielkim smutku ją zostawił. Wiktorya Regina dowiedziawszy się o tem, zrzeka się swej miłości na rzecz owej pierwszej kochanki swego wielbiciela. A sama? Sama wychodzi za hrabiego Andrzeja. Piękna dusza jej wyraziła się tylko w zdaniach wypowiadanych i wypisywanych, ale czyny nie dały nam w niej poznać kobiety niepospolitej; olbrzymieje ona tylko dlatego, że obok niej są karly. W każdym razie „Wiktorya Regina” zajmuje wyższe miejsce wśród powieści Zacharyasiewicza, poświęconych obrazowaniu stosunków codziennych, powieści takich jak: „Mąż upatrzony”, „Zakazane owoce”, „Milion na poddaszu”, „Porwanie Sabina”, „Widoki familijne”, „Opinia parafialna”, „Omanka”, „Kometa” i t. d. i t. d.

Próbował też Zacharyasiewicz i powieści historycznych, osnuwając je prawie wyłącznie na ponurem tle panowania Stanisława Augusta („Marek Poraj” 1867, „Chleb bez soli”, „Noc Królewska” 1872); nie są one doskonałe; autor odczuwa silnie zarówno idee jak i dążenia wielkie, ale nie umie ich plastycznie na tle dziejowem odmalować. Ładną jest krótka powiastka: „Konfederat” (1861), przedstawiająca rozbudzenie się w sercu mieszczanina Radysza uczuć obywatelskich, które go skłoniły do zdobycia sobie podstępem papierów szlacheckich Popiela, ażeby módz walczyć w szeregach konfederacyi barskiej.

XVIII.

Obok tych dwu wybitnych powieściopisarzów tej doby niepodobna chociaż krótkiej wzmianki nie

poświęcić trzem innym, którzy wprawdzie takiego znaczenia jak tamci nie osiągnęli, lecz każdy w swoim zakresie uwydatnił pewną społeczną lub artystyczną właściwość. Rodem są ze stron różnych i odmienne mają zalety. *Antoni Pietkiewicz*, znany pod pseudonimem *Adama Pługa* pochodzi z tych samych okolic co Syrokomla. Urodził się r. 1824 we wsi Zamościu, w powiecie słuckim; w Słucku pobierał nauki od 1835 — 1842. Około r. 1844 rodzice jego, niegdyś zamożni, mieszkali w Żukowym Borku, upamiętnionym w naszej poezyi, w bliskiem sąsiedztwie Kondratowicza, z którym Antoni zaprzyjaźnił się serdecznie. W r. 1845 wyjechał do Kijowa na studya uniwersyteckie, lecz przebywał tu rok tylko, słuchając wykładów na wydziale filologiczno-historycznym. Pragnienie wiedzy i żal, że nie mógł mu zadość uczynić w pełni, wyrażał później wymownie w niejednym ze swych utworów. Od r. 1846 do 1856 bawił na Podolu jako nauczyciel domowy. Ożeniwszy się, założył w Żytomierzu szkołę męską. Od r. 1861 do 1866 mieszkał w Kijowie przymusowo, oddając się studyom nad językiem angielskim. Po stracie żony oddał się znowu nauczycielstwu; dopiero w grudniu 1874 zamieszkał w Warszawie, objąwszy kierownictwo literackie czasopisma obrazkowego „Kłosy" aż do ich zamknięcia w r. 1889. Obecnie jest redaktorem naczelnym „Wielkiej Encyklopedyi ilustrowanej", wychodzącej od r. 1890 w Warszawie. Pisać zaczął wcześnie i to wierszami, naśladując Mickiewicza. Pierwszą swą pracę prozą, przeplataną wierszem, wydał w r. 1847 p. t. „Wigilia św. Jana". Przedstawił tu głównie senne marzenia na tle zabobonów ludowych. Z gronem postępowców, skupiających się około „Gwiazdy" kijowskiej zostawał w serdecznem porozumieniu, a ganiąc zbyt ostre występowanie względem przeciwników, podzielał zasadnicze ich dążenia, a mianowicie głęboko się przejął ideą demokratyczną, ściśle z serdecznem uczuciem chrześcijańskiem, wol-

nem od bigoteryi związaną, i wiernym jej pozostał na zawsze. Idea ta stanowi też zasadniczy ton w jego utworach wierszowanych czy prozaicznych. Widnieje ona w „Dzieciobójcy“ (1851), gdzie nieszczęsna dola ludu wśród stosunków poddańczych została z przejęciem odmalowana, w „Marcinie Futorniku” (1856), gdzie przechodzi w „chłopomańskie” urojenia i w najrozgłośniejszej powieści Pługa: „Duch i Krew” (1859), gdzie arystokratyczne uprzedzenia namiętnie napiętnowane zostały, a szlachetność, podniosłość serca i myśli ubogiej szlachty, czy wykształconego syna chłopskiego uwielbione. Obraz bezgranicznego poświęcenia kobiety z ludu dla rodziny szlacheckiej odmalował z niezwykłą dobitnością, a nawet rodzajem zaślepionego pietyzmu w „Piastunce” (1857). Niesprawiedliwość wielkich panów względem szlachty ubogiej roztoczył w szeregu obrazów, nieraz jaskrawych, w „Oficyaliście” (1866, w książce 1872). Życie i smutną dolę nauczycieli domowych, z głęboką znajomością rzeczy odtworzył w „Bakałarzach” (1870—1873 w „Kłosach”). Uczuciowy, przesadza nieraz w liryzmie; w satyrycznych zaś obrazach często nie umie utrzymać miary i wpada w karykaturalność. Lubi wypowiadać się szczegółowo, w długich, prawidłowo i poprawnie zbudowanych okresach; niejednokrotnie wadę rozwlekłości wytknąć mu potrzeba. Z poezyj jego najpiękniejszą jest „Sroczka” (1867), śliczny sielankowy obrazek życia w zaścianku, opromienionego wyższemi duchowemi pragnieniami.

Albert Wilczyński (1829 † 1900) urodzony na Pradze pod Warszawą, odebrawszy wykształcenie średnie, został urzędnikiem w komisyi sprawiedliwości. Po ożenieniu się przejechał do Galicyi, zajmował się przemysłem i handlem, ale zbankrutowawszy, osiadł we Lwowie, gdzie też umarł. Od r. 1854 zaczął w „Bibliotece Warszawskiej” pomieszczać obrazki satyryczno - komiczne pod ogólnym napisem: „Kłopoty starego komendanta”

i bardzo rychło zwrócił na siebie uwagę. W gruncie rzeczy tylko pierwszy obrazek odznaczał się wielką świeżością i postaci i sposobu ich traktowania. „Przykładną karę" wymierzył na starych wiarusów zniedołężniałych ich stary również, ale porywczy, popędliwy komendant; nie mógł jednak wytrwać w przybranej surowości, i gdy nie skutkowały miny i znaki, musiał sam wypowiedzieć z gniewem, żeby go proszono o ułaskawienie winowajcy... Niema tu niepotrzebnych refleksyj; opowiada niby syn o swoim ojcu, a opowiada tak żywo i charakterystycznie, że się jego słowa pochłania. Nastrój panuje tu wprawdzie „humorystyczny" w estetycznem znaczeniu tego wyrazu. Dalsze obrazki, coraz to rozleglejsze, już tych zalet nie posiadają; przystosował się w nich autor do maniery powszechnie wtedy panującej szerokiego moralizowania i mdłego zachwycania się cnotami swojskiemi w przeciwstawieniu do zagranicznego zepsucia. Sama postać starego komendanta czasami zaciera się zupełnie, a czasem w znacznie odmiennem ukazuje się oświetleniu, aniżeli w pierwszym obrazku. W każdym jednak razie Wilczyński dobrze pochwycił i nieraz szczęśliwie odmalował zakątki prowincyonalne, w których stara rubaszność, stara jowialność, stare figle i stare nieukształcenie się przechowały. W późniejszych utworach swoich, bardzo licznych (w wydaniu zbiorowem w Warszawie, 1880 jest 20 tomów, a nie obejmują one i połowy twórczości Wilczyńskiego), umiał on przedstawiać trafnie stosunki małżeńskie, w których pani aksamitną dłonią prowadzi za nos pana, dobroduszną uległość mężów, świadomych swego położenia, zebrania szlacheckie, urzędników małomiasteczkowych, oryginałów, kupców korzennych, woźnych, życie knajpowe. Uczucie miłości traktuje mimochodem, albo zupełnie pomija. Obrazów natury nie maluje prawie wcale, chociaż jego osoby lubią się szablonowo zachwycać widokami sielskimi. Naj-

lepiej udają mu się drobne obrazki: z większych najlepsza jest powieść „Opiekunowie wdowca“, celująca dowcipem, wesołością i nader żywą akcyą.

Walery Łoziński (1837 † 1861) wart tu wspomnienia jako autor „Szlachcica chodaczkowego” (1857), doskonale przedstawiającego naturę, zwyczaje, obyczaje, pojęcia, zatargi i spory zaścianków w okolicach Sambora; dramatyczność opowiadania przytem jest tu niepospolita, widocznie na powieściach francuskich wyrobiona. Dalsze powieści Łozińskiego („Szaraczek i karmazyn”, „Dwie noce”, „Czarny Matwij“, „Zaklęty dwór”) odznaczają się wprawdzie zajmującą osnową, lecz pisane pośpiesznie, gorączkowo, wkraczając w sfery, autorowi mało znane, rażą naciąganiem, karykaturalnością i licznemi nieprawdopodobieństwami.

XIX.

Komedyopisarstwo w tym czasie miało, jak i dawniej, najznakomitszego przedstawiciela w *Józefie Korzeniowskim.* Lubo się przeważnie poświęcił wtedy tworzeniu powieści, nie zaniedbał przecież i niwy dramatycznej, a mianowicie komedyi. Z kilkunastu sztuk, napisanych po roku 1850, nie przedstawiających zresztą świeżych cech twórczych, najpiękniejszą jest pięcioaktowa komedya wierszem p. t. „Majątek albo imię” (1859). Ma ona bardzo dobrze skreślone charaktery, kilka prawdziwie komicznych sytuacyj i wiele dowcipu słowa; całość zaś jest tak dobrze ułożona, że chociaż niektóre położenia trochę naciąganemi wydać się mogą, trudno im przecie odmówić należytego upowodowania artystycznego. Najlepiej obrobioną postacią jest wykształcona, tłumiąca w sobie uczucie Aniela Bydgowska, pełnoletnia już panna, pragnąca sobie zdobyć albo duży majątek, albo też imię arystokratyczne, a wychodząca wreszcie za ubo-

giego artystę, syna wieśniaczego. Po „Pannie Mężatce” pierwsze należy komedyi tej, grzeszącej rozwlekłością i powolnością akcyi, przyznać miejsce.

Korzeniowski też, pierwszy po Niemcewiczu, próbował napisać komedyę na tle dziejowem osnutą. Zrobił to w „Wąsach i peruce” (1852, Wilno) przeciwstawiając, zwykłym wówczas trybem, kontusz frakowi, obyczaje staropolskie salonowości i zepsuciu francuskiemu. Parę dowcipnych rozmów, jedna efektowna scena z Kortycellim, to główne ozdoby tej sztuki płytko pomyślanej i niezbyt zajmująco przeprowadzonej. Wywołała ona wszakże naśladowania, nie w szczegółach oczywiście, lecz w dążności malowania scen komicznych z przeszłości. Najwcześniejszem i najlepszem z nich jest „Grochowy wieniec czyli Mazury w Krakowskiem” (1855, Poznań). Napisał tę 4 aktową komedyę, wspominany tu już parokrotnie *Antoni Małecki*, opierając się na Pamiętnikach Paska i czerpiąc z nich zarówno pomysł główny, jak sytuacye i znamienne wyrażenia. Szczerego, acz rubasznego komizmu jest tu dosyć, choć dyalóg nie toczy się lekko i swobodnie; ale ze względu na wiek XVII, kiedy się lubowano w długich „oracyach,” nie razi to prawie. Na scenie okazał „Grochowy wieniec” pewną żywotność; wskrzeszono jego przedstawienia w r. 1898; autor zaś porobiwszy w nim skrócenia i zmiany, wydał go ponownie we Lwowie.

Najlepszą komedyą kontuszową, do tej pory utrzymującą się na scenie, jest „Miód Kasztelański” *Kraszewskiego* (r. 1860). Trafił nią znakomity powieściopisarz w jedną z zasadniczych cech usposobienia narodowego (dobroduszna, poczciwa żartobliwość) przedstawiając i nastrój i charaktery żywcem wzięte z pośród naszego społeczeństwa, jego skłonnościom serca i umysłu odpowiednie. Ma ona pewne podobieństwo do „Ślubów panieńskich” Fredry, ale jest utworem zupełnie od nich odmiennym, nie tylko co do szczegółów zewnętrznych, ale także co do chara-

kterów i sposobu wykonania. Jacek Sołoducha przypomina Molierowskiego „Świętoszka” swoją pozorną pobożnością i skromnością, ale różni się od niego stanowczo swoim temperamentem; nie podnosi on nigdy głowy, ani razu nie przybiera tonu rozkazującego, nie osiąga na chwilę nawet tryumfu; materyału na postać „dramatyczną” zgoła w nim niema. Pewien stopień dobroduszności istnieje i w jego charakterze, tak jak u innych osób; a umysłowo nie bardzo się wznosi nad poziom powszedni. Intryga jest słaba, lecz cecha ta znajduje się we wszystkich niemal owoczesnych komedyach naszych; jest więc „Miód kasztelański” i w tej mierze znamiennym.

Ludowemi sztuczkami pozyskał sobie rozgłos późniejszy autor dzielek dla ludu i dzieci, *Władysław Ludwik Anczyc* (1823 † 1883), syn aktora wileńskiego, ukształcony i działający głównie w Krakowie od r. 1848. Anczyc kochał lud niewątpliwie, pragnął dla niego oświaty, umoralnienia i dobrobytu; ale pisząc pierwszą swą krotochwilę: „Chłopi arystokraci” (1849) w chwili, kiedy w Galicyi ustały stosunki pańszczyźniane, sądził, iż małoletni pod względem duchowym lud nie da sobie rady bez opieki i kierownictwa dworu — i wejdzie na bezdroża; wyzyskał więc tendencyjnie objawy śmieszne, jakie niewątpliwie zdarzać się mogły w pierwszym momencie upojenia wolnością. Ponieważ pogląd taki podzielało wielu, „Chłopi arystokraci” stali się ulubionem widowiskiem dla szlachty i mieszczan, a śpiewki, w nich pomieszczone, rozpowszechniły się szeroko. Dalsze jednoaktówki: „Łobzowianie”, „Błażek opętany”, „Flisacy” nie miały już tak wyraźnych cech tendencyi chwilowej, ale też nie pogłębiły znajomości duszy chłopskiej, owszem wytworzyły pewne konwencyonalne pojęcia o ludzie, które się stały w dramatyce ludowej przez bardzo długi czas jakby obowiązującemi. Pod koniec życia Anczyc wrócił ponownie na pole dramatu ludowego, wyzyskując, w nastroju poważnie melodra-

matycznym, kwestyę palącą; wtedy napisał „Emigracyę chłopską" (1876, Warszawa), która wywołała dość liczne naśladownictwa. Po za sferą wyłącznie ludową, tworzył dużo utworów okolicznościowych, cieszących się powodzeniem, ale płytkich. Najpiękniejszy wiersz Anczyca to „Pieśń Tyrteusza" (1862).

Długo pracował na imię w literaturze *Jan Chęciński* (1824 † 1874) urodzony w Warszawie, przeważnie samouk. Mając rok 27 i będąc aktorem, wystawił r. 1851 jednoaktówkę p. t. „Poeta", a w rok potem dwuaktową komedyę „Rozwód". Po tych pierwszych próbach zamilkł jako dramatyk na lat kilka, a pisywał pieśni i krótkie gawędy, z których najpopularniejszemi się stały: „Zamki na lodzie". Dopiero w r. 1859 wystąpił z 3-aktową komedyą wierszem: „Szlachectwo duszy", gdzie śmiało i wymownie bronił prawa zasługi osobistej wobec przesądów urodzenia i uroszczeń ludzi pieniężnych. Nie tyle wartością dramatyczną, nie tyle komizmem, chociaż go tu i owdzie nie brakowało, ile szlachetnością uczuć i porywającym niekiedy patosem, który płynął z głębi duszy, zyskał Chęciński tą sztuką powodzenie, naówczas niezwykłe; w samej bowiem Warszawie w ciągu jednego roku miała ona dwadzieścią kilka przedstawień. Żadna z komedyj późniejszych („Porządni ludzie", „Poświęcenie") ani przysłów dramatycznych („Przed obiadem i po obiedzie", „Ciekawość pierwszy stopień do piekła", „Cicha woda brzegi rwie") nie osiągnęły takiego uznania. Draśnięty recenzyami, Chęciński starał się ośmieszyć i napiętnować rzeszę oceniającą dzieła literackie w 5-cio aktowej komedyi: „Krytycy" (wydanej po śmierci autora 1875 r.). W pomyśle zawiera ona starcia potężne i dające się wspaniale rozwinąć, ale w wykonaniu mdłe lub też krzykliwe efekta psują wrażenie. Jak w innych, tak i w tej sztuce nie ma poważnego a głębokiego wejrzenia w namiętności ludzkie, niema siły w malowa-

niu charakterów i sytuacyj. U Chęcińskiego było niejakie przeczucie komedyi społecznej, ale stworzyć jej nie zdołał.

XX.

Krytyka literacka nadzwyczaj była w tym czasie ożywiona. W dziennikach ani przedtem ani potem nigdy nie czytano takiego mnóstwa sprawozdań i rozbiorów jak w tej dobie. Nieraz o jednej powieści lub „gawędzie" ta sama gazeta dawała kilka recenzyj. Po większej części były to pogadanki pisane lekko, czasem obrazowo, przystępne dla ogółu, który znajdował w nich upodobanie. Cechą wspólną niemal wszystkich była zupełna podmiotowość, opierająca sąd swój na chwilowem, doraźnem wrażeniu, bez podciągania go pod jakieś normy estetyczne. Tylko względów moralnych przestrzegano ściśle; a niektórzy z tego jeno punktu zdanie swe o poezyach i powieściach uzasadniali. Wobec takiego podmiotowego zabarwienia krytyki, nie dziw, że Adam Pług skarżył się w r. 1855: „Na jeden sąd zdrowy a sumienny miewamy dziesięć namiętnych a uprzedzonych, na jedno zdanie wyrzeczone z powagą a namaszczeniem, dziesięć gwałtownych pamfletów lub panegiryków przyjacielskich".

Prócz wspomnianych poprzednio mimochodem krytyków (L. Siemieński, Antoni Marcinkowski, Aleksander Krajewski), odznaczyło się w tej dobie trzech, mianowicie:

JULIAN KLACZKO, urodzony w Wilnie r. 1827 z familii żydowskiej, już we wczesnej młodości zaczął pisać wiersze; utwór p. t. „Moja pierwsza ofiara" z r. 1838 zwrócił uwagę księdza *Antoniego Mossyńskiego*, który listami swymi obudził w czasopiśmiennictwie spółczucie dla młodziutkiego autora i wyje-

dnał mu pomoc do dalszego kształcenia się. Nie porzucając pisania wierszy polskich, zajął się Klaczko tłomaczeniem na hebrajski poezyj Mickiewicza i „Mnicha” Korzeniowskiego. W r. 1845 wyjechał za granicę, uczęszczał do uniwersytetu najprzód w Królewcu, potem w Heidelbergu, gdzie pozyskał względy sławnego historyka Gervinusa i był spółpracownikiem redagowanej przezeń „Deutsche Zeitung”, zwracając się do właściwego sobie zawodu: publicysty i krytyka. Biorąc żywy udział w ówczesnych ruchach politycznych, przebywał r. 1848/9 w W. ks. Poznańskiem i ogłosił broszurę: „Die deutschen Hegemonen” (1849, Berlin). Przeniósł się następnie do Paryża a pisząc po polsku i po francusku rozsławił swe imię. Pierwsza jego praca krytyczna, porównawczo rozbierająca twórczość Bürgera i Mickiewicza w dziedzinie ballady, p. t. „Lenora i Ucieczka” wyszła w poznańskiem „Pokłosiu” na r. 1853. Mieści ona w sobie niektóre bardzo trafne spostrzeżenia, lecz wogólności odznacza się przejętą od Niemców metodą doszukiwania się myśli filozoficznej w utworze literackim, choćby przyszło jaknajdowolniej zestawiać i przestawiać fakta. Otrząsnąwszy się z naleciałości uniwersytetów niemieckich i przejąwszy od Francuzów posługiwanie się dowcipem i wdziękiem, najświetniej zajaśniał w szeregu artykułów pomieszczonych w „Wiadomościach polskich” od r. 1856 do 1861. Stawał on tu na straży sumienia narodowego w duchu zachowawczym, jak go uosabiał książę Adam Czartoryski i jego otoczenie, czyli tak zwany „Hotel Lambert.“ Podzielał w zupełności przekonanie, że krytyka czysto literacka u nas „nadługo jeszcze nie powinna być czem innem, jak tylko zmysłem moralnym, poczuciem potrzeb narodowych, zastosowanem do płodów piśmiennictwa.” Z takiego stanowiska lekceważył ówczesne przejawy malarstwa naszego i zapowiadał, na krótko przed ukazaniem się arcydzieł Matejki, że malarstwo u nas zakwitnąć nie

może i nie powinno, gdyż należy hartować, nie rozmiękczać umysły („Sztuka polska” 1858). Z takiego stanowiska potępiał dążność jakoby antynarodową niektórych powieści Korzeniowskiego („Krewni” 1858). Z takiego stanowiska wystąpił namiętnie przeciw Ludwikowi Mierosławskiemu, którego dawniej był zwolennikiem („Katechizm nierycerski” 1859), przeciwko Lenartowiczowi („Gladyatorowie” 1859), przeciwko Odyńcowi, Chodźce i ich towarzyszom, co „Album wileńskie” ogłosili („Odstępcy” 1860). W przeważnej części wypadków nie miał po sobie słuszności, jednostronnie oświetlając fakta i charaktery, nie okazał się bystrym w przewidywaniach; ale pisał porywająco, lubo pod względem językowym niezbyt poprawnie, wytworzył sobie styl namiętny a giętki, chętnie posługujący się igraszką słów, lecz pełen siły i jędrności. Najlepszą jego oceną krytyczną, wolną od osobistych lub stronniczych uprzedzeń prawie zupełnie, jest „Korespondencya Mickiewicza” (1861). Od r. 1862 niemal wyłącznie pisał i pisuje po francusku, głównie w „Revue des deux mondes,” z początku o rzeczach polskich, np. o Zygmuncie Krasińskim, Jadwidze i Jagielle, potem o sprawach europejskich (o Bismarku i Beuscie) lub o literaturze i sztuce włoskiej: „Causeries florentines,” w polskim przekładzie Stanisława Tarnowskiego: „Wieczory florenckie“, „Rome et la Renaissance.” (w polskim przekładzie Antoniny Morzkowskiej „Rzym i odrodzenie“ Juliusz II, Warszawa, 1900). Jestto umysł niezmiernie bystry i subtelny, odczuwający piękno i znający jego dzieje, władający formą po mistrzowsku, lecz w uogólnieniach swoich dość dowolny, bo zawsze przenosi piękną kombinacyę wyrazów, nad ścisłą, a więc niezawsze powabną prawdę. Feljetonowość krytyki, za jego młodych czasów we Francyi panująca, nazawsze cechę swą na jego pismach literackich odbiła.

Na francuskiej literaturze kształcił się także *Ka-*

zimierz Kaszewski (ur. 1825 w Warszawie), lecz studyami nad tragedyą grecką, której arcytwory językowi naszemu pięknie przyswoił, uchronił się od poświęcania myśli dla dowcipu, kierując się poczuciem wielkiej sumienności i oględności. Studya jego i oceny nie miały tego rozgłosu, jaki dzięki ważności zagadnień, paradoksom i stylowi błyskotliwemu, stał się udziałem polskich krytyk Klaczki; ale rozwagą, umiarkowaniem, siłą dowodzenia, zyskiwały sobie ciche uznanie. Przez długi szereg lat był on współpracownikiem „Biblioteki Warszawskiej,” zwłaszcza odkąd Aleksander Tyszyński coraz rzadziej tu się odzywał. Równocześnie pisywał także w tygodnikach i dziennikach recenzye teatralne i literackie. Obeznany z rozwojem literatury powszechnej, a z usposobienia nie indywidualista, nie poprzestawał na zaznaczeniu wrażeń swoich, odnoszonych z rozpatrywania dzieł piękna, lecz starał się odwoływać do zasad estetycznych i popierać je za ich pomocą. Nie ugrzązł też w jakiejś doktrynie zamłodu nabytej, ale rozszerzał i pogłębiał swoje poglądy, w miarę, jak dochodziły do niego wieści o nowych myślach i nowych teoryach. Postępował z wiekiem, a chociaż trudno mu było zrazu wyzbyć się dawnych nałogów myślowych, ostatecznie jednak brał zasiłki nowe i odświeżał swój umysł, chroniąc się od jednostronności. Rozprawy jego krytyczne nie są dotychczas zebrane w całość; a to, co w formie książkowej napisał o historyi literatury greckiej (w I tomie „Dziejów literatury powszechnej z ilustracyami,” Warszawa, 1880) nie może dać należytego pojęcia o jego zdolności krytycznej.

Fryderyk Henryk Lewestam (1817 † 1879), wielostronnie wykształcony, obeznany dobrze z rozwojem literatury powszechnej i z zasadami filozofii niemieckiej, obdarzony dowcipem kostycznym, wydawał w Warszawie r. 1841—2 „Roczniki krytyki literackiej,” które przeważnie sam zapełniał. Pisał wtedy

po polsku bardzo źle; z czasem wydoskonalił język, ale w stylu zawsze pozostały ślady toku niemieckiego. Trafnie zazwyczaj wykazywał strony ujemne dzieł rozbieranych, ale nie umiał określić dodatnich. Najwięcej krytyk swoich pomieszczał naprzód w „Gazecie Codziennej;” część ich zebrał w książce p. t. „Obraz najnowszego ruchu literackiego w Polsce” (1859, Warszawa), potem w „Kłosach.” Ogłosił czterotomową „Historyę literatury powszechnej” (1863—1867, Warszawa); pierwszy tom jest dobrze ułożoną kompilacyą; dalsze są coraz gorsze, a w końcu wykład przemienia się w licho zszyte plagiaty. Był profesorem tego przedmiotu w Szkole Głównej, ale zapału do niego nie potrafił obudzić. Wogóle niepospolite zdolności i niemałe wykształcenie zmarnował skutkiem zaniedbania w odświeżaniu swej wiedzy. Razem z *Janem Kantym Gregorowiczem* wydawał r. 1858—59 głośne swojego czasu świstki satyryczne p. t. „Wolne żarty,” które pobudziły do wydawania stałego czasopism „humorystycznych.”

XXII.

Z dziedziny nauki winienem uwydatnić dwu pisarzów, będących i zwiastunami nowego kierunku duchowego, który miał się dopiero po r. 1863 szerzej rozwinąć, i zarazem najlepszymi przedstawicielami tych dążności, jakie wśród niektórych jednostek już i w tej dobie się przejawiały. Obaj lata swoje młodzieńcze przepędzili za granicą, a mianowicie we Francyi; obaj mieli sposobność dokładnego przyjrzenia się cywilizacyi zachodnio-europejskiej i za powrotem do kraju boleli nad jego zacofaniem, nie dzieląc bynajmniej tych zarozumiałych okrzyków, jakie zaślepieni chwalcy swojszczyzny wydawali. Je-

den był przyrodnikiem, psychologiem i lekarzem, drugi— ekonomistą.

Wiktor Szokalski (1811 † 1891), rodem z Sandomierza, rozpocząwszy nauki lekarskie w uniwersytecie warszawskim przed r. 1830, kończył je w Niemczech i we Francyi, gdzie też oddawał się praktyce lekarskiej jako okulista i pisał rozprawy. Za powrotem do kraju w r. 1853 wybitne miejsce zajął w towarzystwie lekarskiem, a w Akademii medyko-chirurgicznej i w Szkole Głównej zasłynął jako profesor. Prócz wielu dzieł specyalnych, ogłosił on w r. 1861—63 w Krakowie książkę, obliczoną na ogół czytelników inteligentnych p. t. „Fantazyjne objawy zmysłowe“ (2 tomy). Za dewizę wziął sobie zdanie Pascala: „Doświadczenie jest ślepe, jeżeli go nie oświeca rozum, a rozum znów chwieje się i miesza, jeżeli go doświadczenie nie wspiera...” Wiedząc, że gdyby napisał dzieło ściśle naukowe, toby go publiczność zgoła nie czytała, obrał formę nader popularną, czasami wprost powieściową, ażeby się jaknajłatwiej przedostać do umysłów i wnieść do nich trochę światła, rozpraszającego gusła, zabobony, wiarę w strachy i w zjawiska nadprzyrodzone, do których owocześnie z powodu stolików wirujących i innych przyczyn, wskazanych w charakterystyce czasów reakcyjnych, lgniono całą duszą. Po wstępnej pogadance o strachach, mającej barwę całkiem powieściową, pełnej anegdot i zaciekawiających wypadków, wyłożył naukę o stosunku duszy do ciała, o działalności mózgu i nerwów, o omamieniach i przywidzeniach, wreszcie o snach, somnambulizmie, hipnotyzmie i magnetyzmie, udowodniając, że to, co nam się wydaje cudownem i nadziemskiem, znajduje swe wytłómaczenie w faktach realnych i we własnościach duszy naszej. Inaczej mówiąc, w sposób zarówno gruntowny jak powabny, z talentem literackim niepospolitym uczył trzeźwości w rozpatrywaniu wszystkich bezwarunkowo zjawisk, nietylko tych,

które materyalnemi zwykle nazywamy, ale i tych, które do dziedziny duchowej należą. Po długiej przerwie, od czasów Jana i Jędrzeja Śniadeckich, wprowadzał zaniedbaną przez filozofów idealistycznych, a tak bujnie już wtedy na Zachodzie rozwiniętą metodę doświadczalną w psychologii, przeciwną wszelkiej dowolności w wysnuwaniu wniosków i zmuszającą do ścisłego spostrzegania i rozumowania. W dziejach oświaty naszej pozostanie to niezapomnianą zasługą Szokalskiego; rozpraszał on ułudne fantasmagorye romantyczne.

Józef Supiński (1804 † 1893) z innej strony i w innej dziedzinie wiedzy dążył podobnież do otrzeźwienia społeczeństwa, rozmiłowanego zanadto w poezyi i dowolności. Urodził się w Romanowie w Galicyi, kształcił się w Warszawie, gdzie pod wpływem pseudoklasycyzmu tworzył poemaciki opisowe i tragedye. W r. 1831 musiał wyjść za granicę; dla zapewnienia utrzymania sobie i rodzinie, wyuczył się rachunkowości kupieckiej i jako buchalter, potem dyrektor fabryki, mógł żyć wygodnie. Zatęsknił jednak do kraju i wrócił r. 1844 do Galicyi, gdzie otrzymał posadę w świeżo założonej Kasie Oszczędności; pozostawał na niej lat 20, dopóki osłabienie wzroku w 1864 nie zmusiło go do ustąpienia. Od r. 1848 zaczął brać udział w publicystyce („Głos wołającego na puszczy“), a nawet powrócił do twórczości literackiej, pisząc 5-aktową tragedyę: „Tatarzy.“ Ale nie na tem polu miał on zasłynąć. W r. 1855 wykończył dzieło, któremu początkowo nadał tytuł: „Myśl ogólna fizyologii powszechnej“, zmieniony potem na: „Myśl ogólna fizyologii wszechświata.“ Długo tułał się rękopism, nareszcie w r. 1860 został wydrukowany we Lwowie i wywołał rozprawy. Zasadniczą treścią tego dzieła jest wskazanie związku, zachodzącego pomiędzy światem wewnętrznym człowieka a odwiecznemi prawami wszechświata, więc wykluczenie wszelkiej kapryśnej dowolności. Dążnością

zaś społeczną było wpojenie przekonania, że „nie poezya, muzyka i powieści leżą na drodze męskiego wykształcenia“, że „rozum rzetelny ma wznioślejsze powołanie“, bo wyrobienie samodzielności w myślach, uczuciach i postępkach. „Jeżeli ta praca—mówił Supiński w przedmowie — uspokoi nieco trwożliwych, karmiących się wyobraźnią sprowadzi na drogę rzeczywistości, porywczych ostudzi i cierpliwszymi uczyni, dopomoże wesprzeć nadzieje przyjaciół postępu, a gwałcących prawa przyrodzone w zwątpienie wprowadzić; jeżeli kto silny nauką i sądem własnym wpadnie na pomysły, jakich ja z ubogich zasobów wiedzy mojej wysnuć już nie zdołałem: — wtedy zaprawdę uczuję pierwszy raz w życiu to rozległe szczęście, które wydobywa człowieka z ciasnoty osobistego istnienia i w ludzkości całej roztapia.“ Szczegółowe pomysły, rozwinięte tu, mogą być mylne, ale to na tarczywe domaganie się samodzielności, jak niegdyś u Trentowskiego, tak teraz w innym realnym kierunku u Supińskiego, ma pierwszorzędne kształcące znaczenie i zniewala nas do dania książce jego zaszczytnego miejsca nie tylko w dziejach filozofii, ale także w historyi literatury. Nie tak ogólną, bo specyalniejszą doniosłość ma drugie wielkie dzieło Supińskiego: „Szkoła polska gospodarstwa społecznego“ (1862—65, Lwów), przedstawiająca parę pomysłów oryginalnych, pisana z zapałem i umiejąca zapał wywoływać. Dzisiaj, ze stanowiska nowszych poglądów ekonomicznych, można pracy tej wiele zrobić zarzutów, ale na swój czas była dziełem znakomitem i wywarła wpływ ogromny—lecz nie zaraz po wyjściu. Supiński walczył otwarcie i śmiało z bezprzedmiotowem i bezpłodnem marzycielstwem romantycznem.

XXII.

Okoliczności zewnętrzne i rozwój wewnętrzny uczuć i usposobień narodowych nie sprzyjały na razie szerzeniu się trzeźwości i pilnego obrachunku z warunkami bytu realnego.

Zbieg różnych przyczyn sprawił, że cesarz Aleksander II udzielił Królestwu Polskiemu szeregu reform, że zamianował *Aleksandra Wielopolskiego* naprzód dyrektorem Komisyi oświecenia i wyznań, a potem naczelnikiem rządu cywilnego. Urodzony w r. 1803, otrzymał wykształcenie staranne, poznał filozofię niemiecką, doktoryzował się w r. 1823, w ciągu r. 1831 był posłem do Anglii, nic nie mogąc uzyskać. Następnie zajął się gospodarstwem, nie zaniedbując nauki. Po rzezi galicyjskiej wydał r. 1846 bezimiennie po francusku „List do księcia Metternicha“, w którym wypowiedział przekonanie, że Polska tylko w ścisłym związku z Rosyą może znaleźć należyte pole do rozwinięcia swych zasobów materyalnych i duchowych. W tem przekonaniu trwał ciągle; ono mu ułatwiło wejście na nowe a ważne stanowisko. Nie celował atoli talentem prawdziwego męża politycznego; był za drobnostkowy i za pyszny zarazem; chciał, ażeby wszyscy mu ustępowali, żeby nawet w podrzędnych rzeczach byli z nim zgodni; nie posiadał ani giętkości, ani uprzejmości, którąby zdołała przeciwważyć surowość zasad i środków, użytych do ich przeprowadzenia. Nie zdołał opanować ruchu rewolucyjnego, a środek przezeń zaproponowany — branka w rekruty, przyśpieszyła wybuch powstania styczniowego 1863 roku. Nie spełniwszy swych planów, rozgoryczony, raz aż do myśli samobójstwa doprowadzony, długo męczył się w Dreźnie, dopóki go śmierć w końcu r. 1877 od cierpień nie uwolniła.

I ten rodzaj trzeźwienia nie oddziałał narazie.

Zakończył tylko dzieje romantyzmu naszego, stawiając na miejsce idei mesyanicznej zasadę utylitarną stosowania się do okoliczności.

OKRES V.

(od r. 1864).

Czasy pozytywizmu filozoficznego i realizmu estetycznego [1]).

I.

Cechy tego nowego okresu w rozwoju literatury naszej musiały być oczywiście spotęgowaniem i pogłębieniem haseł z ostatnich chwil okresu poprzedniego, a przeciwieństwem względem znamion reakcyi dawniejszej.

Przeciwko pobożności, wyznawanej głośno częstokroć w celach ubocznych, nic z istotą religii nie mających spólnego, powstaje w umysłach wykształconych już nie tylko opozycya taka, jaką widzieliśmy w kraju pomiędzy r. 1840 a 1850, lecz o wiele rozleglejsza i gruntowniejsza, sięgająca podstawy samej. Opozycya ta wszakże nie ma zazwyczaj charakteru szyderstwa „wolteryańskiego"; jest raczej objawem skłonności do poważnego rozbioru zarówno działań duchowieństwa, jak i tradycyi religijnej. Nie przy-

[1]) Ponieważ okres ten opracowałem w osobnej książce, która r. 1898 wyszła w czwartem wydaniu p. n. „Zarys literatury najnowszej", odsyłając tedy do niej po szczegóły, tu daję tylko charakterystykę głównych kierunków, i nie wchodzę w dokładniejszy rozbiór twórczości jednostek.

biera ona oczywiście ani rozmiarów, ani doniosłości ruchu reformacyjnego, jak w wieku XVI, bo najprzód nie była to odpowiednia doba dla sporów religijnych, a powtóre dążność wolnomyślną hamowały względy praktyczne na znaczenie wiary dla mas i na położenie Kościoła katolickiego w niektórych dzielnicach byłej Rzeczypospolitej. W każdym razie zniesienie Państwa Kościelnego we Włoszech r. 1870 nawet najumiarkowańszy z wolnomyślnych, reprezentujący zawsze przeciętny nastrój „inteligentnego" ogółu, *Józef Ignacy Kraszewski*, powitał przychylnie, ostro zarazem krytykując świeżo wtedy ogłoszony na soborze watykańskim dogmat nieomylności papieża. Do krańcowych wszelako objawów niereligijności w literaturze, zgoła, o ile wiem, nie przyszło, nawet w takich choćby rozmiarach, jak niegdyś w pismach *Jana Czyńskiego*. Z zachowawczego, a zwłaszcza „ultramontańskiego" obozu piorunowano wprawdzie na „bezbożność" wielu dzienników i pisarzy, ale głosy te opierały się raczej na mniej więcej uzasadnionych przypuszczeniach, aniżeli na faktach.

Przeciwko bezwzględnemu uwielbianiu przeszłości obudziła się nanowo krytyka i to naraz z dwu różnych punktów widzenia: filozoficznego i politycznego. Filozoficznie rzecz biorąc, niepodobna było uznawać ideałów minionych za doskonałe, widzieć „raj" w przeszłości a nie w przyszłości. Politycznie zapatrując się na sprawy, niepodobna ruszyć naprzód, jeżeliby się ciągle miało oczy zwrócone w tył, jeżeliby się nie poddało ocenie zarówno pragnień dawniejszych, jak i środków używanych do urzeczywistnienia zamiarów. Wbrew „idei mesyanicznej", wrócono do poglądu wyznawanego przez reformatorów naszych z doby sejmu czteroletniego, zakwestyonowano wartość wysławianych dawniej instytucyj politycznych, wytknięto, jak to robili demokraci po r. 1831, zasadnicze błędy przodków w pojmowaniu idei wolności, zastosowanej tylko do jednej warstwy

narodu, kazano bić się w piersi za winy, i w sobie samych szukać przedewszystkiem przyczyn upadku, potępiono spiski i powstania („liberum conspiro"). Zwrócono się do ściśle naukowych, krytycznych i „przedmiotowych", o ile się dało, badań nad przeszłością, zarówno dawniejszą, jak i nowszą, zwłaszcza nad wiekiem XVIII i XIX. W wielu wypadkach mocno przesadzono czarne barwy w obrazie tej mianowicie przeszłości, która w okresie reakcyjnym najbardziej była wielbiona, a mniemana trzeźwość i przedmiotowość podszyta była nieraz jaskrawą dążnością dopatrywania samych plam zgnilizny na ciele Rzeczypospolitej.

Przeciwko samouwielbieniu szlachetczyzny wojowano także, bo chociaż przez uwłaszczenie chłopów „szlachta" utraciła swoje „państwo", nie przestała jednak wywierać silnego wpływu na społeczeństwo swoimi stosunkami, a po części i majątkiem. Klęski materyalne, wywołane przez powstanie i jego następstwa, a przytem reforma włościańska w krajach pod panowaniem rosyjskiem zostających, oddziałały na szlachtę przygnębiająco; zmusiły do pilniejszego zajęcia się gospodarstwem, a w razie jego utraty, do szukania środków zaradczych w przemyśle, handlu i rzemiośle. Dawne przesądy, wyśmiewane i potępiane przez publicystykę i powieściopisarstwo, musiały ustąpić sile konieczności, i rozwiewały się naprawdę; demokratyzacya społeczeństwa szerzyła się i zagłębiała istotnie w pojęciach przynajmniej, jeżeli nie w przyzwyczajeniach i nałogach. Starano się nakłonić szlachtę do wzięcia udziału w instytucyach gminnych, by pracować „u podstaw", a gdy zauważono gdzieś opieszałość w tym względzie lub też odosobnianie się od nowych „sąsiadów"-obywateli, chłostano je niemiłosiernie.

Po ostatecznem załatwieniu sprawy włościańskiej na całej przestrzeni b. Rzeczypospolitej, przed-

stawiała się teraz tem natarczywiej sprawa oświecenia i uobywatelenia chłopów. Stąd zwiększona znacznie w porównaniu z dawniejszymi okresami wytwórczość piśmiennicza dla ludu, zarówno w formie książkowej, jak i w wydawnictwach peryodycznych.

Przemysł rozwinął się na wielką skalę, szczególniej w Królestwie Polskiem, gdzie powstało kilka jego imponujących ognisk. Wykształcenie techniczne zaczęło być coraz wyżej cenione. Potęga kapitału, który teraz we wszystkich gałęziach wytwórczości, rolnictwa nie wykluczając, stał się niezbędnym, wzrastała olbrzymio. Przeciwieństwo między przedsiębiorcami a robotnikami równocześnie z rozwojem fabryk nabierało coraz wyższego natężenia. Rodzą się plany unormowania stosunków. Same rządy podejmują tę sprawę, określając czas dziennej pracy robotniczej, biorąc w opiekę chorych i sieroty i t. p.

II.

Jako przeciwieństwo względem przewagi belletryzmu powstaje teraz zapał dla wiedzy, mianowicie przyrodniczej, ekonomicznej i filozoficznej. „Wiedza — to potęga” powtarzano dumnie za Bakonem. Starano się poznawać najświeższe teorye w tych gałęziach naukowych, chwytano je chciwie, gorączkowo, nie mogąc ich na razie przetrawić należycie, a chcąc je natychmiastowo stosować do życia. „Doświadczenie” zaczęło być nader wysoko stawiane i przez czas jakiś wszystkie gałęzie poznania, do których metoda doświadczalna stosowaną być nie mogła, ulegały lekceważeniu. A że nasunął się wyraz, dość często do określenia rozmaitych stosunków, opartych na niezawodnej pewności, na gruntownej podstawie używany *(pozytywny)*, zaczęto chwalić pozytywizm, nie rozumiejąc przez to wcale danej, ściśle określonej teo-

ryi filozoficznej (Augusta Comte'a), lecz raczej dążność do budowania zarówno gmachu myśli, jak i planów życia, na pewnikach, zdobytych przez doświadczenie i mogących być dowiedzionymi każdej chwili. Rozpowszechnienie użycia tego wyrazu i jemu pokrewnych sprawiło, że nie tylko ci, co sami nazwali się „pozytywistami", ale i mnóstwo innych, nic o filozoficznym pozytywizmie nie wiedzących, używało popularnego terminu w rozmowie i pismach. Kiedy *Józef Narzymski* wystawił na scenie krakowskiej swoich „Pozytywnych" (1872), to nie miał na myśli filozofii pozytywnej, ale takich przedewszystkiem ludzi, którzy poczęści możeby sami głośno zaprotestowali przeciwko doktrynie filozoficznej, równocześnie jednak potępiali zapał, uczucie gorące, zwłaszcza w sprawach narodowo-politycznych.

Ponieważ zatem zarówno wyznawcy „pozytywizmu", jak i ci, co nawet ze ściśle katolickiego wychodzili stanowiska, zbiegali się w wysławianiu „rozumu", przynajmniej politycznego, kazali ściśle się rachować z warunkami rzeczywistymi, uważali uczucie za czynnik szkodliwy, mianowicie we wszelkich interesach; można zatem te czasy oznaczyć mianem „pozytywnych."

Od belletrystyki wymagano, żeby wchłonęła pierwiastki naukowe i zajmowała się pilnie sprawami społecznemi, nie bawiąc się w samo splatanie i rozplatanie wieńców artystycznych. „Tendencyę" zatem, która zresztą, jak widzieliśmy, już poprzednio silnie się ujawniała w powieściach, zaczęto wychwalać i zalecać; utwory oceniano głównie z tego punktu widzenia. Nie rozumiano jednak przez „tendencyę" czegoś zewnętrznego, coby w samej treści dzieł nie tkwiło, ani tem bardziej objawów stronności, bezwzględnie wychwalającej lub potępiającej pewne kierunki myślowe czy społeczne, ale żądano, ażeby pisarz-artysta rozumiał i odczuwał wszystkie ważne zagadnienia i sprawy, mające wpływ na dobre lub

złe losy społeczeństwa, żeby myśli te i uczucia przeszły w najistotniejszą treść jego wewnętrzną; spodziewano się bowiem, że taki pisarz nie będzie się bawił cackami i rzeźbił błahostek. Poczucie artystyczne było dość silnie wyrobione, ażeby nie przypisywano zbyt wielkich zalet takim utworom, które stały jedynie myślą przewodnią, a przedstawiały się zupełnie słabo jako dzieła sztuki. Nieraz naturalnie zdarzało się, że ujemne strony artyzmu pomijano, gdy myśl jakaś lub uczucie przemówiło silnie do duszy; a zbyt ostro obchodzono się z temi pismami, w których tylko stronę artystyczną podziwiać było można.

Niebawem wszakże sprostowane zostały owe poglądy przez wymagania „realizmu" artystycznego i „przedmiotowości" w obrobieniu wątku. Przez realizm, którego początki widziano w „Panu Tadeuszu" i powieści naszej, rozumiano nie wywlekanie tylko wstrętnych, zwierzęcych objawów życia i rozkoszowanie się nimi, ale zachowywanie zarówno w pomysłach, jak w ich uzewnętrznieniu wskazówek dobrej, pilnej obserwacyi i doświadczenia życiowego; tak dalece, że nawet najfantastyczniejsze zjawiska duchowe, jak i największy idealizm uczucia mogły stać się treścią dzieła sztuki, jeżeli tylko odpowiadały prawom psychologicznym, jeżeli nie były wytworem zupełnie dowolnej kombinacyi. Przedstawicieli „naturalizmu" w duchu Emila Zoli mieliśmy bardzo niewielu, a i ci do drugorzędnych jeno talentów zaliczeni być muszą. Przez „przedmiotowość" pojmowano takie przedstawienie osnowy powieściowej, w któremby znikała osobistość autora, a czytelnik mógł myśleć, że ludzie i wypadki same się przed oczyma wyobraźni jego przesuwają. Domagano się zatem wykluczenia uwag, od samego autora pochodzących, (o ile naturalnie nie opowiadał w pierwszej osobie) oraz jaknajwiększego prawdopodobieństwa w zestawieniu wypadków, ich przyczyn i skutków, konsekwencyi ścisłej w przeprowadzeniu charakterów, ma-

jących plastycznie (w postępkach, słowach, gestach(a nie retorycznie, istotę swej duszy przed nami ukazywać.

Równocześnie prawie poeci, a zwłaszcza powieściopisarze spotęgowali stronę psychologiczną swoich utworów. Nie zaniedbując opisu ludzi i miejsca pod względem zewnętrznym, starali się głębiej zajrzeć w duszę ludzką i oprócz zasadniczych, w oczy rzucających się objawów, coraz bardziej wnikali w subtelniejsze jej drgnienia, przedewszystkiem i głównie w dziedzinie uczuciowej. Co dawniej niektóre tylko osobistości wybitne w tej mierze czyniły: Mickiewicz, Malczewski, Juliusz Słowacki i Krasiński w poezyi, Leopold Sztyrmer i Narcyza Żmichowska w powieści; to teraz zaczęło obowiązywać wszystkich, chcących obudzić żywsze zajęcie i mieć znaczenie pisarzy „myślących."

W najnowszych czasach posłyszeć można skargi, że zarówno tendencya społeczna, jak zbyt ścisła logika i wymagania bezwzględnego prawdopodobieństwa zanadto krępują indywidualizm twórcy, swobodny polot wyobraźni, przejaw „nagiej duszy", która jakoby logiki nie zna, robią przytem artystę niewolnikiem celów gromadnych i „marnego" doświadczenia. Podniesiono te skargi w imię nieprzedawnionych praw jednostek i wznowiono głoszone przez idealistów-romantyków hasło sztuki „czystej", sztuki służącej wyłącznie celom artystycznym. Ponieważ jednak w twórczości zwolenników tego hasła nie wygasły jeszcze i zdaje się wygasnąć nie mogą pewne iskierki realizmu, mianowicie w przedstawianiu objawów psychicznych, więc ich nie wyłączam z pod ogólnego określenia, jakie temu przeciągowi czasu nadałem.

III.

Znaczny ubytek młodzieży męskiej po roku 1863, a więc i zmniejszenie się widoków zawierania małżeństw, wznowiły nanowo kwestyę kobiecą wśród warstw „ogładzonych.” Szło już teraz nie tylko o wyższe wykształcenie, większe swobody towarzyskie i zmiany w prawodawstwie, dotyczącem stosunków między małżonkami, o co się upominały „entuzyastki” między r. 1841 a 1850, a co w drobnej cząstce osiągnęły; lecz także o rozszerzenie zakresu pracy, ażeby kobiety mogły na utrzymanie zarobić. Zachwalanie kierunku przemysłowego skierowało niektóre niewiasty z „inteligencyi” do nauki rzemiosł; wysławianie wiedzy i przykład zagraniczny skłoniły inne do studyowania nauki lekarskiej i wogóle umiejętności uniwersyteckich. Skala średniego wykształcenia panien podniosła się przytem znacznie w porównaniu z dawniejszym stanem rzeczy. Rozpowszechnicielami myśli o „emancypacyi” kobiet byli zarówno mężczyźni, jak i kobiety, częścią z dawnych „entuzyastek”, częścią z pośród „pozytywistek” lub nawet całkiem religijnie nastrojonych warstw pochodzące; głosy ich odznaczały się umiarkowaniem; jaskrawych teoryj, a tembardziej objawów wyuzdania obyczajowego bynajmniej nie chwalono. Z czasem, kiedy mężczyźni piszący ochłodli w zapale względem idei emancypacyi, wytworzył się kierunek zwany „feminizmem” pod hasłem: „kobiety same o sobie radzić i rozstrzygać winny.” Niewielkimi jednak dotychczas kierunek ten może się pochlubić wynikami.

IV.

Lekceważenie cywilizacyi zachodniej, zwanej zmateryalizowaną i zbutwiałą, silne jeszcze pod ko-

niec poprzedniego okresu, lubo już i wtedy miało przeciwników, teraz zamieniło się w uwielbienie, często bezkrytyczne, „olbrzymich postępów” zagranicy. Studya uniwersyteckie, znacznie wzmożone, przeważnie w widokach polepszenia bytu, zaznajomiły młodzież z nauką europejską, gdyż w każdej gałęzi wiedzy powoływano się na znakomitości obce, ubolewając, że nic podobnego we własnym języku nie posiadamy. Literatura cudzoziemska, mająca u nas zawsze czytelników, nawet wówczas, gdy nią głośno pogardzano, przynosiła z sobą nowe metody naukowe i twórcze, zapoznawała z talentami świeżymi, nie mającymi odpowiednich sobie w naszej własnej. Częste podróże za granicę, stosunki handlowe, silniej niż kiedykolwiek rozwinięte, wskutek ułatwionej komunikacyi przez budowanie coraz to nowych sieci dróg żelaznych, nasuwały porównanie bogactwa i przepychu obcego z naszą niezaradnością, z naszą biedą krajową, z naszym, dopiero rosnąć zaczynającym przemysłem. Z różnych tedy stron nastręczał się wpływ zagraniczny na umysłowość naszą, a myśmy, jak zazwyczaj, poddawali się mu gorączkowo, nie przetrawiając najczęściej tego, co się nam dostawało, lecz śpiesząc od jednego do drugiego bożyszcza „świeżych kierunków”, „świeżych prądów.”

Na początku tego okresu sześciu głównie pisarzy obcych silnie oddziałało na umysły i przyczyniło się do wytworzenia atmosfery duchowej. Najpierw poznano i przetłomaczono na nasz język rozgłośne dzieło Henryka Tomasza Buckle'a „Historya cywilizacyi w Anglii”, podające nowy zupełnie pogląd na dzieje jako uległe prawom niewzruszonym, gdyż niezależnym od tak zwanej wolnej woli ludzkiej. Nie poszczególne twierdzenia, w tem dziele zawarte, nawet nie owe 4 prawa, jakie niby odkrył znakomity pisarz w dziejach, ale zasada determinizmu, oraz znaczenie mas w historyi w przeciwstawieniu do znaczenia jednostek, przemówiły głównie do naszych czytelników.—

Poglądy te utrwaliły się jeszcze głębiej pod wpływem filozofii pozytywnej Augusta Comte'a. Ściśle biorąc, samego Comte'a tak bardzo nie studyowano, ale zaznajamiano się z jego poglądami w streszczeniach, podanych przez Littré'go, Jana Stuarta Milla i wreszcie księdza *Franciszka Krupińskiego* (1836 † 1898). I z tego również pisarza nie wzięto całości teoryi, owszem odrzucono najbardziej znamienne jej cechy; ale przejęto się zapałem do metody doświadczalnej, do badań socyologicznych, mających dużo styczności z pojęciami Buckle'a.—Mill był nie tylko pośrednidnikiem w zaznajomieniu nas z Comtem, lecz samoistnie także wpływał, zarówno swoją „Ekonomią polityczną" przełożoną już w r. 1859, jak rozprawą O wolności (1864), O rządzie reprezentacyjnym (1866), o Poddaństwie kobiety (1870), a wreszcie Logiką indukcyjną.—Od Hipolita Taine'a uczono się psychologii doświadczalnej (dzieło „O inteligencyi" przetłomaczono w r. 1873—5), a zwłaszcza zasad krytyki literacko-artystycznej, uwolnionej, o ile to podobna, od pierwiastków czysto subjektywnych, i szukającej wyjaśnienia cech twórczości nie tylko w samym talencie jednostki twórczej, ale i w tem, co ją warunkuje, t. j. w rasie, środowisku i chwili dziejowej, przedstawiającej nagromadzone już zasoby pracy duchowej.— Ernest Renan swoim uroczym stylem pociągał nawet wierzących, a tym, którym wątpliwości religijne nie dawały spokoju, służył za przewodnika w dziedzinie historyi wytwarzania i ustalania pojęć religijnych. Książek jego nie przetłomaczono wprawdzie, choć się do tego parokrotnie zabierano; poznano je w oryginale.— Najwięcej atoli wrzawy wywołała w początkach tego okresu słynna i osławiona teorya Karola Darwina, która przeszedłszy z pracowni uczonego na ulicę, jednych entuzyazmowała, drugich oburzała. Przetłomaczono główne jego dzieła; a także wielce wpływową książkę jego niemieckiego zwolennika Haeckla. Wysnuwano z teoryi tej wnioski bardzo daleko idą-

ce, bo do sfery etyki; głowy zapalone, a nawet i mniemani mędrcy, zaczęli poczytywać zjawiska zachodzące w świecie organicznym, roślinnym i zwierzęcym, w połączeniu naturalnie z ciałem człowieka, za wskazówki, mające kształtować moralność ludzką. Pogląd taki łączył się z „materyalizmem filozoficznym", którego burza już dawno przehuczała w Europie, lecz do nas w łagodniejszej postaci teraz dopiero wtargnęła za pośrednictwem głównie najpopularniejszego w tej mierze pisarza niemieckiego, Ludwika Büchnera. Przetłomaczono głośny jego podręcznik materyalizmu p. t. „Siła i materya" (1869) oraz inne jego pisma, przystępnością swoją mogące działać na ogół średnio ukształcony. Nie podobna zaprzeczyć, iżby poglądy w nich zawarte nie miały znacznego wpływu na umysły średnie; ale wśród naczelnych przedstawicieli postępu nie cieszyły się one uznaniem, gdyż wcześnie poznane i przełożone na język nasz dzieło Fryderyka Alberta Langego: „Historya filozofii materyalistycznej" (1881) ustrzegło ich od płytkiej jednostronności popularyzatora materyalizmu.

Żadna już z późniejszych teoryj przyrodniczych i filozoficznych nie wywarła na literaturę naszą i na ogólną atmosferę duchową takiego wpływu, jak poglądy owych sześciu mężów. Przetłómaczono wprawdzie wielotomowe dzieła utalentowanego kompilatora, Herberta Spencera, ale one, prócz Nauki o wychowaniu, były czytane w szczupłem jeno kółku zwolenników; nie posiadały bowiem tych lotnych pierwiastków, co dziełom zapewniają obieg rozległy. Sporo pisano o Fryderyku Nietzschem, uwielbiano go nawet, ale główne jego pisma nie ukazały się dotąd w całkowitym polskim przekładzie, dawano tylko z nich krótkie wyjątki. Ten posiadał lotne słowa, lecz oburzał swoim krańcowym indywidualizmem, wzgardą dla kobiet, „pańską" swoją etyką, nakazującą „być twardym".

W ekonomiczno-społecznym natomiast zakresie coraz to nowe wybłyskały imiona, niekoniecznie świeże na Zachodzie, ale u nas nieznane; z pomiędzy nich najwięcej miał wpływu Karol Marx, a dalej przedstawiciele kollektywizmu, unarodowienia ziemi, i rozmaitych odmian nauk socyalistycznych. Z naszych pisarzy przez czas długi oddziaływały silnie pisma *Józefa Supińskiego*, budząc zapał do wiedzy i pracy.

W literaturze pięknej na nastrój poetycki w początkach tego okresu największy wpływ wywierali znani już poprzednio, lecz teraz dopiero głęboko odczuci Henryk Heine i Alfred de Musset, po części zaś Wiktor Hugo. W powieściopisarstwie odnaleźć można oddziaływanie pism Turgeniewa, Flauberta i wogóle „przedmiotowej“ metody twórczej. Zola i „naturalizm“ byli ciągle na ustach, znajdowali wprawdzie przeciwników, lecz mieli także zaciętych obrońców. Po Zoli Wit Maupassant zwrócił na siebie uwagę i znalazł nawet utalentowanego naśladowcę. Następnie dość szybko, jak rakiety, wystrzeliły w górę nazwiska różnojęzyczne. Głęboko wnikające w duszę powieści Dostojewskiego i Tołstoja oddziałały na pogłębienie zainteresowania się ciekawemi zagadkami psychologicznemi. Przytem powiały prądy ze Skandynawii, zrazu tylko krytyczno-literackie, reprezentowane przez Jerzego Brandesa, który przejażdżkami do kraju naszego i wygłaszanemi tu odczytami (nawet o polskim romantyzmie!) pozyskał sobie duży rozgłos; potem już sama twórczość Henryka Ibsena wywoływała podziw swą oryginalnością i przyzwyczajała do wyrażania symbolów w osobistościach wybitnych. Pewien odwrót od naturalizmu w utworach Pawła Bourget'a pozyskał poklask i u nas. W dalszym ciągu symbolizm w niezrozumiałych często przejawach belgijczyka Maeterlincka zajął miłośników tajemniczości, której poczucie potęgowano nanowo pojawiającemi się spirytystyczno-medyumistycznymi „seansami”, 'jakie i u nas zastosowanie znala-

zły. Francuscy dekadenci, norwescy indywidualiści (August Strindberg, Arne Garborg, Ola Hansson) i katolicki sensualista-moralizator Barbey d'Aurevilly, a z dawniejszych twórców rozanielony w panteizmie Shelley, oraz pieśniarz wstrząśnień okropnych Edgar Poë wywołali i u nas pragnienie sztuki „nowej", sztuki „czystej", wyrażającej „nagą duszę". Z naszych poetów najtrwalej i najsilniej oddziaływał zarówno co do treści, jak zwłaszcza co do formy, przez cały ten okres Słowacki, tak, że możnaby czas ten pod względem literackim nazwać okresem wpływu Juliusza Słowackiego. Dopiero przy samym końcu stulecia poetycka proza Zygmunta Krasińskiego znalazła oddźwięk w sposobie pisania niektórych „modernistów".

Zaznaczone tu przejścia skłaniają mię do podziału tego okresu na trzy doby (oczywiście do czasu, w którym piszę) a mianowicie: 1-a przedstawia walkę pozytywistów ze zwolennikami dawniejszych poglądów (1864 — 1874); 2-a pogłębienie poglądów społecznych i dążności do ich urzeczywistnienia (1875 — 1890); 3-a przeciwdziałanie indywidualizmu przeciwko wymogom gromady społecznej (od 1891...).

Doba pierwsza.

Boje pozytywistyczne i stańczykowskie.

V.

Jestto chwila nacechowana zuchwałym krytycyzmem w imię nauki i praktycznego na rzeczy poglądu, chwila entuzyazmu zaklętego w pracę. Przemaga w niej rozum. Chociaż bowiem przodownicy nowego ruchu wyznawali w teoryi potrzebę harmonijnego łączenia i doskonalenia wszystkich potęg du-

cha, to przecież z powodu uczuciowych błędów poprzedniego okresu, większy kładziono nacisk na ukształcenie władz poznawczych (intelektualizm), aniżeli siły ukochania. Trzeba w sobie wyrobić przedewszystkiem trwałe przekonania—powiadano—gdyż od nich zależy postępowanie, a stąd dobro lub klęski indywidualne i społeczne. Przekonania zaś opierać się miały na dwu zasadach: na wynikach ścisłej nauki i na doświadczeniu dziejowem. W rozbiorze istoty przekonań tracono na chwilę z oka niezmiernie ważny czynnik, jakim jest uczucie, i drugi, mniej doniosły w życiu praktycznem, ale najistotniejszy we wszelkiej twórczości — fantazyę.

Pod względem filozoficznym przekonania nowe wyrabiały się przeważnie w Warszawie, pod względem politycznym — w Krakowie.

Galicya wprawdzie najpierw wypowiedziała potrzebę gruntownej przemiany i w naszem wykształceniu i w naszem postępowaniu. Tu żył i pisał *Józef Supiński;* tu roztrząsano najgruntowniej jego wywody; tu przełożono i wydano najprzód wpływowe dzieło Buckle'a; tu przyszłe kolumny i pilastry zachowawczości i prawowierności (*Stefan Pawlicki* ur. 1839. *Kazimierz Chłędowski* ur. 1843 — dzisiejszy minister, *Ludwik Powidaj* † 1882) najwcześniej szerzyli i teoryę Darwina, a nawet materyalistyczne zasady, i poglądy Buckle'a i krytyczne oceny romantyzmu; lecz nie tu rozrósł się i wybujał pozytywizm. Po bardzo krótkiej chwili żywego zajęcia się nowym w nauce kierunkiem, w Galicyi zwrócono się gwałtownie przeciwko niemu (znowuż *Stefan Pawlicki, Józef Szujski, Teofil Ziemba* i in.).

W Warszawie i wogóle pod panowaniem rosyjskiem znalazł on grunt odpowiedniejszy. Istniejąca przez lat 7 (1862—1869) Szkoła Główna nie była wcale rozsadnikiem nowych teoryj, ale przez zaznajamianie ze stanem nauki europejskiej i przez budzenie zmysłu krytycznego pośrednio przyczyniła się do

wywołania ruchu całkiem od szerzonych w niej poglądów odmiennego. Kilku profesorów umiało niecić zapał do wiedzy; a wśród owoczesnego pokolenia znajdowało się dużo jednostek uzdolnionych, które nietylko dla przyszłego kawałka chleba się uczyły, lecz miały także bezinteresowne zamiłowanie w nauce. Wykładany z katedry przez prof. *Henryka Struvego* (ur. 1840) „idealny realizm", jakkolwiek troskliwie liczący się z nabytkami nauk przyrodniczych, a mianowicie fizyologii, nie zdołał zaspokoić umysłów młodzieży, ponieważ wydawał się jej półśrodkiem tylko, nie mogącym odpowiedzieć jej usposobieniu, skłonnemu wówczas do pewnego radykalizmu. Po krótkiem lubowaniu się w popularnych książkach materyalisty niemieckiego, Ludwika Büchnera, znalazła ta młodzież odpowiednią dla siebie karm' w pozytywizmie Augusta Comte'a, wielce zmienionym przez zaznajomienie się z psychologią doświadczalną (mianowicie *Wiktora Szokalskiego* i Hipolita Taine'a) i ekonomią polityczną. Rzecznikiem takiego pozytywizmu stał się rzutki, utalentowany, władający dzielnie i wierszem i prozą, zajmujący się magnetyzmem zwierzęcym, *Julian Ochorowicz* (ur. 1850).

Na samej filozofii nie poprzestawano oczywiście; starano się szerzyć „trzeźwe" poglądy we wszystkich dziedzinach wiedzy i pracy społecznej. Czczono wielkich twórców romantyzmu; ale nie lubiono pustego marzycielstwa, potępiano nadmierną wrażliwość, wyśmiewano bolejących elegistów, których wtedy było mnóstwo; zachęcano do pracy drobnej, mrówczej, wytrwałej, dla powetowania szkód, jakie gorączkowa wybuchowość sprowadziła. Młodzi widząc wkoło siebie nizki poziom ukształcenia, z pierwiastkami płytkiej feljetonowości i encyklopedyzmu, zapragnęli go podnieść i chociaż wcale nie upuszczali z uwagi spraw społecznych, chociaż całą duszą byli za oświecaniem i uobywatelaniem wyzwolonego od pańszczyzny ludu, uważali przecież za rzecz najpil-

niejszą rozpowszechniać wyniki wiedzy wśród warstw inteligentnych, „ogładzonych“, ażeby je jaknajbardziej zbliżyć do wzorca zachodnio-europejskiego. Badań samodzielnych zazwyczaj nie podejmowali i z powodu swego młodego wieku podejmować nie mogli; przyswajali tylko rezultaty najnowsze, najbardziej wówczas w Europie rozgłośne, ponieważ były zgodne z ich usposobieniem. Wolnomyślność, nie licząca się z nałogami myślowymi ogółu, a szczególniej teorya Darwina przez nich wykładana, wywołała gromy ze strony zachowawców, którzy nie będąc w możności wojować argumentami, posługiwali się stekiem zarzutów, dotykających moralnej i obywatelskiej strony młodzieży. Ta oczywiście nie pozostała dłużna w odpowiedzi i nie szczędziła epitetów ubliżających umysłowości przeciwników. Spór się zaognił. Czas najgorętszy walki przypada na lata 1871 — 1874. Wtedy to wystąpił *Aleksander Świętochowski* (ur. 1849) jako świetny publicysta, a zwłaszcza niezrównany polemista; wtedy gorączkową działalność rozwijały czasopisma: „Przegląd tygodniowy”, „Niwa”, „Opiekun domowy”, „Przyroda i przemysł”. Bezowocną pory tej nazwać nie można: haslo „pracy organicznej” utrwaliło się wszędzie, wyrobiła się pewna tolerancya przekonań; a kwestye przyrodnicze, ekonomiczne i filozoficzne zaczęły częściej niż dawniej zajmować łamy czasopism.

Galicya innego rodzaju staczała walki. Warunki polityczne zmieniły się dla niej. Uzyskała autonomią, język polski w szkołach i uniwersytetach, w sądownictwie i administracyi; duch polityki Wielopolskiego znalazł naśladowców; Polacy zajęli ważne stanowisko w wiedeńskiej radzie państwa. Ta zupełna przemiana stanowiska Galicyi względem Austryi, umożliwiona głównie pamiętną klęską pod Sadową 1866, dokonała się prawie bez walki wewnętrznej. Niektórzy wszelako politycy poprzestać na tem nie chcieli, pragnąc nie tylko przemiany stosunków, ale

także przemiany dusz przez wykorzenienie wszelkiej myśli rewolucyjnej i wytworzenie lojalności polsko-austryackiej. W r. 1869 trzej z pomiędzy nich: *Stanisław Tarnowski* (ur. 1837), *Stanisław Koźmian* (ur. 1836) i *Józef Szujski* (1835 † 1883) ogłosili w wydawanym przez siebie organie („Przeglądzie Polskim") pamflet polityczny p. t. „Teka Stańczyka", gdzie nie poprzestali na potępieniu niedawnych wtedy wypadków, lecz karcili zgóry wszelkie przyszłe usiłowania z ideą mesyaniczną w związku będące, a upatrzywszy we Lwowie („Tygrysowie") jaskinię spiskowców, ostro natarli na przedstawicieli tamecznej prasy i polityki. Oczywiście wywołali (mianowicie we Lwowie) okrzyki oburzenia, ciągnące się latami całemi, między innymi i z ust *Kornela Ujejskiego*. Ostatnim ich odgłosem najspokojniejszym, ale najdotkliwsze zarzuty czyniącym, nie już pamfletowi, lecz działalności politycznej Stańczyków, była „Teka Nieczui" (1883) ogłoszona przez *Zygmunta Kaczkowskiego*. Niewątpliwie nie można posądzać twórców „Teki Stańczyka" o chęć wyrugowania uczuć narodowych z serc młodzieży; ale ton ich sarkastyczny przyczynił się, w połączeniu z innymi, czysto życiowymi wpływami, do znacznego ochłodzenia ciepła serc w Galicyi i do wytworzenia serwilistycznie usposobionych karyerowiczów.

W przeciwieństwie do Stańczyków stał w Krakowie organ wolnomyślny i postępowy p. t. „Kraj", gdzie wśród innych jako publicysta wystąpił znany nam już z poprzedniego okresu *Mieczysław Pawlikowski*, długoletni później spółredaktor „Nowej Reformy". „Kraj" upadł rychło (w połowie 1874). Walka ze Stańczykami dłużej toczyła się we Lwowie, to w „Gazecie Narodowej", to w „Dzienniku Polskim". Największą zdolnością w ówczesnem dziennikarstwie lwowskiem był cięty feljetonista i dowcipny powieściopisarz, *Jan Lam* (1838 † 1886), autor „Panny Emilii" czyli „Wielkiego Świata Capowic",

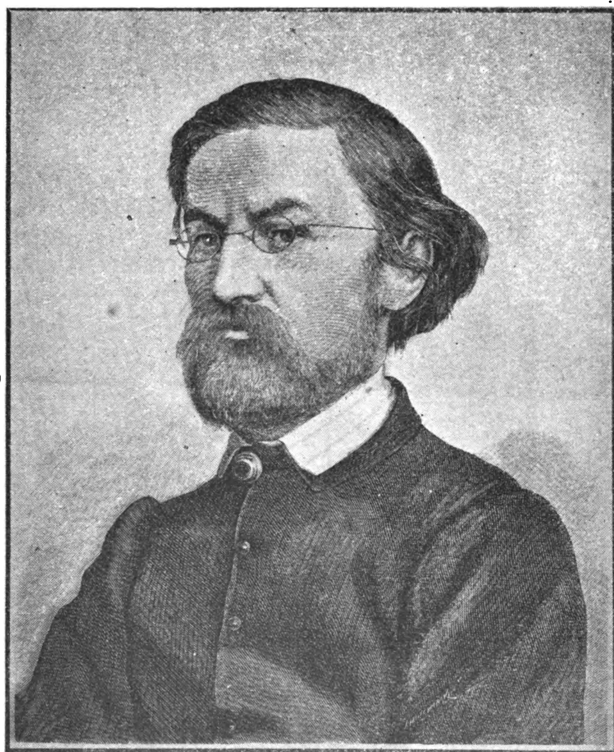
znakomitej artystycznej karykatury stosunków galicyjskich. Wierszem satyrycznym dzielnie władał, prażąc i Stańczyków i „tromtadratów“ (demokratów lwowskich) także we Lwowie *Włodzimierz Zagórski*, późniejszy śpiewak „Króla Salomona“.

W dzielnicy wielkopolskiej ciche tylko echa się odzywały zarówno pozytywizmu warszawskiego, jak i trzeźwości Stańczykowskiej, mając za sobą i słabych zwolenników i słabych przeciwników. Tu, jak wogóle na kresach zachodnich, chodziło przedewszystkiem o utrzymanie bytu wobec zalewu germańskiego. Jeżeli w W. Ks. Poznańskiem stosunkowo niezbyt wielkie pod tym względem objawy żywotności widzimy, to silne rozbudzenie się Ślązka, gdzie się rozwinęła działalność *Karola Miarki* (1824 † 1882) nader pocieszającym jest objawem. Zresztą dodać należy, iż w W. Ks. Poznańskiem jak najpierw powstała silna dążność ultramontańska.

VI.

Po za dziennikarstwem i broszurami (mianowicie *Kazimierza Krzywickiego*, 1872), których uwzględnić tu niepodobna, najdobitniejszy wyraz krakowskiej „trzeźwości“ widać w historyografii, zabarwionej politycznie, a wyraz warszawskiego pozytywizmu, a raczej tego, co w nim miało znaczenie praktyczne, t. j. haseł pracy organicznej, w powieści tendencyjnej.

Historyografię tę (nie mówię tu o badaczach specyalnych) reprezentują: legitymista austryacki *Antoni Walewski* († 1878), ksiądz katolicki *Waleryan Kalinka* (1816 † 1888) i nawrócony z demokraty szlacheckiego i entuzyasty poetyckiego Stańczyk, *Józef Szujski*. Każdy z nich ma mniejsze lub większe



Józef Szujski.
(Z Kłosów).

zasługi w dziedzinie czysto badawczej; każdy wyrósł i wyrobił się odrębnie; nie wpływał jeden na drugiego wcale; mają też swoje odrębne właściwości; ale wszyscy trzej posiadają także kilka cech wspólnych: uważają ustrój b. Rzeczypospolitej za wadliwy z gruntu, dopatrują się przyczyn jej upadku w czasach nader odległych, żałują, że nie miała ona silnego rządu, potępiają stanowczo wysiłki narodowe, od końca XVIII wieku podejmowane, każą w sobie samych dopatrywać winowajców i poprawić się przedewszystkiem z grzechu niekarności.

Powieści tendencyjne, wysławiające ważność nauki, doniosłość techniki i jej zastosowań, głoszące tolerancyę wyznań, podnoszące kwestye społeczne wychowania, emancypacyi kobiet, stosunku jednych warstw ludności do drugich, lub też wyśmiewające wady, dla organicznego rozwoju pracy szkodliwe, pisali w tej dobie głównie: *Michał Bałucki* (ur. 1838), głośny także jako wesoły komedyopisarz, a raczej krotochwilista, *Eliza Orzeszkowa* (ur. 1842) w pierwszej fazie twórczości swojej; *Walerya Morzkowska Marrené* (ur. 1832) i *Julian Wieniawski (Jordan*, ur. 1834). Artyzm u Bałuckiego zawsze (prócz pierwszych młodocianych szkiców) przedstawiał się słabo; u Orzeszkowej był takim w owych latach, z dodatkiem jeszcze nieprzyjemnym wielkiej rozwlekłości; Marrené ładnie stylizowała frazeologię miłosną, lecz w kreśleniu realnych życia stosunków popadała w zaniedbanie. Czytano ich powieści i ceniono, ponieważ odpowiadały potrzebom, lecz dzisiaj ze względu na piękno, ledwie można wspomnieć o niektórych scenach w „Panu Grabie" i o „Marcie" Orzeszkowej, o „Auguście" i „Mężu Leonory" Marrenowej; a z licznych opowiadań Bałuckiego chyba tylko „Młodzi i starzy" trwalsze w literaturze znaczenie osiągnęli. Wieniawski obudził żywe zajęcie ostrą, karykaturalną satyrą w „Wędrówkach delegata"; ale potem zmienił ją na jowalną żartobliwość, pełną wyrozumiałości.

Utwory tych pisarzów spełniły swoje zadanie w danej chwili i ze społecznego punktu widzenia mogą być wspominane z uznaniem.

Inni powieściopisarze, dawniej już występujący, zachowali właściwości swoje; tendencye odpowiadają raczej ich usposobieniom, aniżeli natchnieniu doby, która mogła ich tylko pobudzać do podjęcia pewnego tematu. *Kraszewski* z właściwą sobie chwiejnością nakreślił pośpiesznie pod pseudonimem *Bolesławity* cały szereg obrazków przedstawiających wypadki krajowe z r. 1861 — 64 oraz ich następstwa, jak niemniej przemiany, jakim ulegały osobistości, wydatnemi pojęciami czy uczuciami nacechowane. Każdy prawie z tych obrazków od „Dziecięcia starego miasta" (1863), poczynając, na „Zagadkach" (1873) kończąc, z odmiennego punktu widzenia jest kreślony, stosownie do usposobienia, w jakiem był tworzony. Powrócił w nich K. do dawniejszego (z przed r. 1850) trybu posługiwania się krótkimi rysami i mało rozwiniętemi scenami. Niebawem wszakże uległ wpływowi francuskiego autora kryminalnych powieści (Gaboriau) i wbrew naturze swego umysłu chciał snuć zawiłe intrygi, co mu się oczywiście nie udawało. Następnie pod częściowym wpływem naturalistów francuskiah powyrzucał z powieści wszelkie przemowy autorskie i starał się o zachowanie przedmiotowości; utworzył wtedy najlepsze swe powieści historyczne („Hrabina Cosel", „Macocha", „Ostatnie chwile Księcia Wojewody"), najlepszą nowellę („Z papierów starego dziada") i najlepszą analizę psychologiczną („Dajmon"). Natomiast cykl powieści historycznych, obejmujący całe dzieje Polski od doby przeddziejowej aż do Sasów, należy do najsłabszych jego utworów; wyjątek stanowi tylko pierwsza z tego cyklu: „Stara baśń" (1876). Choć Kraszewski nie utworzył ani jednego wielkiego arcydzieła, chcć w najważniejszych chwilach okazywał niezdecydowanie i nie umiał użyć swojej powagi dla skierowa-



W. Kalinka.

(Z Kłosów).

nia umysłów w pewnym kierunku, niestrudzona jednak działalność jego, zachęta do czytelnictwa, budzenie ruchu umysłowego, wreszcie niepospolity talent plastyczny, który stworzył dziesiątki tysięcy postaci różniących się od siebie bodaj drobnymi rysami zapewniają mu wybitne w literaturze naszej i w dziejach oświaty stanowisko. Słusznie mu się należał wspaniały obchód jubileuszowy w Krakowie 1879 r. Umarł w 1887.

O reszcie powieściopisarzów tylko krótkie wzmianki, gdyż w ich twórczości nowych rysów w tej dobie nie przybyło *Zacharyasiewicz* albo opowiadał zabawne zdarzenia z życia codziennego, albo się zżymał, tak samo jak Kraszewski, na zmateryalizowanie młodego pokolenia („Człowiek bez jutra", „Dzieje ideału" i t. p.); *Albert Wilczyński* kreślił nie zawsze interesujące humoreski; *Władysław Sabowski* († 1888) dowcipem krasił błahe zazwyczaj pod względem treści utwory.

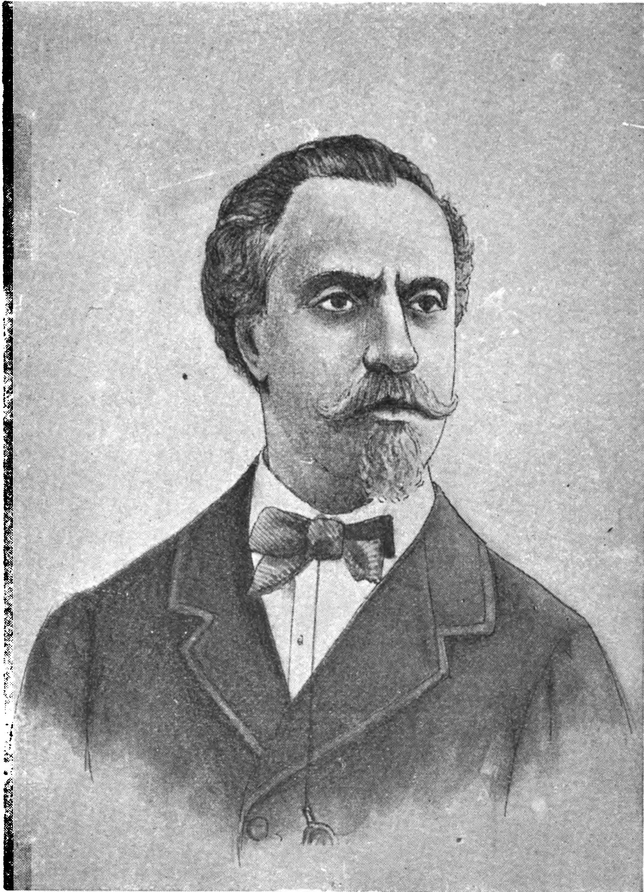
VII.

W poezyi brzmią najprzód ostatnie dźwięki czystego romantyzmu, a mianowicie bardzo widoczne i grube naśladowania Słowackiego w utworach *Władysława Tarnowskiego* (Ernesta Buławy † 1878), który w „Poezyach Studenta" wydanych w 4 tomach (1863 — 65) złożył dowód dużego zasobu fantazyi rozwichrzonej i niepoddanej artystycznemu kierownictwu, a w utworach swoich dramatycznych (Karlińscy, Joanna Grey) więcej okazał pomysłowości, aniżeli uzdolnienia scenicznego. *Maryan Kochanowski* (1847 † 1868), próbował najwyższych tonów z młodzieńczą nierozwagą i wywoływał blade widma postaci, które niegdyś w poezyi wielkiego Juliusza

zachwycały („Pośmiertne poezye". Kraków, 1869, „Ostatnie poezye", tamże 1870). *Bogumil Aspis* (1842 † 1898) próbował to satyry nakształt Beniowskiego („Salvator"), to poematu filozoficznego („Sen odrodzenia"), to pieśni miłosnych („Sulamita"), to opisów refleksyjnych („W Walhalli"); lecz osiągnął piękno szczegółów tylko. W ślady Pola i Syrokomli wstępował z początku *Stefan Giller (Stefan z Opatówka*, ur. 1833), kreśląc stylem kontuszowym „Krótkie curriculum vitae Matyasza, co zwan był Kobeżnikiem" (1860), lecz rychło zwrócił się ku stylowi podnioślejszemu („Dłutnik Maryi" 1861), z czasem zaczął dbać o wytworność wyrażenia i rymu, a w wyborze tematów, nie pomijając żartu, najchętniej opiewał ludzi i uczucia, mogące podziałać uszlachetniająco („Elegie i Sonety, 1890, Kraków). Jest on atoli, jako stylista, raczej mówcą niż poetą; próba komedyi („Nowe drogi" 1877) przezeń podjęta, ma dużo myśli rozumnych i kilka ślicznych ustępów, lecz z powodu wymuszonego, górnego stylu i braków w budowie, zadowolić nie może jako całość artystyczna.

Gdy pozytywiści zgromili liczną rzeszę młodszych nieudolnych śpiewaków, zamilkli nawet utalentowani, częścią na zawsze, częścią na czas długi (*Aleksander Michaux* czyli *Miron* † 1895); niektórzy, jak *Karol Świdziński* (1841 † 1877), *Władysław Szancer (Ordon* ur. 1850, oddawna obłąkany), próbowali zanucić pieśń nową o potrzebie pracy, nauki i trzeźwości; ale struny im się rwały; wśród huku maszyn nie umieli sobie poradzić. Dwaj tylko wybitni tworzyli w tej dobie poeci: Felicyan i El...y.

Felicyan Medard Faleński (ur. 1825) pierwsze poezye swoje drukował w r. 1850 i wtedy już zaznaczył hardo, że „sobie śpiewa, nie komu". Rzeczywiście o popularność się nie ubiegał, nawet wówczas, gdy obierał temata, mogące budzić sympatyczne echo w piersiach czytelników („Termopile"). Napisał jedną tylko rzecz, która w swoim czasie była bardzo



Felicyan Faleński.

szeroko znana, „Zdaleka i zblizka“, nowellę „humorystyczną“ we właściwem znaczeniu tego słowa, może jedyną humorystyczną, jaką literatura nasza dawniejsza posiadała. A zresztą był tylko artystą, któremu pod wpływem Słowackiego, a poczęści Cypryana Norwida, chodziło o jaknajoryginalniejsze wyrażenie pomysłu, choćby to wyrażenie przeciwnem było powszechnie przyjętemu trybowi wypowiadania uczuć, pewnych nastrojów. Owszem, im dalsze ono było od tego powszedniego trybu, tem żywiej prawdopodobnie cieszyło samego twórcę, sprawiając mu to zadowolenie, że się od „nieznacznego tłumu“ wyróżnił. A więc parodyował pod..nia greckie i średniowieczne, choć je same w sobie jako poeta cenić musiał; a więc opowiadając o wielkich wypadkach, o słynnych bohaterstwach, używał słów i obrazów jaknajprostszych, by broń Boże, nie wpaść w starą heroiczną deklamacyę lub w anielsko-szatańskie hiperbole romantyzmu. Co więcej, w miejscach, które z samego przebiegu wypadków mogły wywołać uczucie grozy, on, jakby chcąc zapobiedz wrażeniu, umieszczał jakiś realistyczny wyraz czy obraz, który sam w sobie prawdziwy, sprawiał przecież zgrzyt niemiły. A nie robił tego z braku poczucia artystycznego, bo był subtelnym znawcą sztuki i należał do największych erudytów w zakresie poezyi, takich już około r. 1860 czytając i studyując autorów (jak np. Poë), którzy powszechniejszy rozgłos dopiero w dobie najnowszej osiągnęli. Znał on i Heinego i Musseta i Baudelaire'a prawdopodobnie, a w Wiktorze Hugo był przez czas jakiś zakochany, pięknie tłómacząc jego dramata. Rozumiał zarówno rubaszność postaci komicznych Szekspira, jak podniosłość religijną bohaterów Kalderona, żar zmysłowej namiętności starożytnych elegików, jak i zachwyty mistyczne Ś. Franciszka z Assyżu, lub Ś. Teresy. Ukochał Petrarkę i wszystkie jego sonety po mistrzowsku językowi naszemu przyswoił; a z Boskiej Komedyi Dantego

kilka pieśni ślicznie przetłómaczył. Gdy oryginalnie tworzył, zdawało się, że wszystkie nastroje z jednakową wirtuozyą oddać potrafi, prócz szczerego i serdecznego uczucia; nie dlatego może, iżby go wyśpiewać nie zdołał, lecz z obawy, by nie wpadł w powszednią sentymentalność. Ta obawa wywnętrzania się z uczuciami, ochłodziła utwory Faleńskiego, wykwintne pod względem języka, stylu i wiersza, lecz nie mające przymiotu przyciągania i porywania serc.

Pierwszy zbiór swoich poezyj p. t. „Kwiaty i kolce" (1856, Warsz.) spalił podobno sam autor, gdy mu już jego wzmożonym wymaganiom artystycznym nie odpowiadał. Dalsze zbiorki wyszły z druku po upływie lat kilkunastu: „Z ponad mogił" (1870, Drezno), „Odgłosy z gór" (1871, Warsz.), „Świstki Sylena" (1876, Poznań), „Meandry" (1892, tamże), „Pieśni spóźnione" (1893, Kraków). Artystyczna strona twórczości w każdym nowym zbiorku nacechowana była coraz większą wytwornością wyrażenia, przez unikanie wszelkich frazesów spowszedniałych, przez niezrównane władanie językiem, niewolnym wszelako od pewnych dziwactw w tworzeniu nowych form i wyrazów, wywołanych potrzebą niezwykłego rymu. Refleksyjność wzmagała się z wiekiem i przytłumiała świeżość w wypowiadaniu wrażeń i bezpośrednich uczuć.

Podobnie rzecz się ma i z jego „Utworami dramatycznymi" (dotąd trzy tomy, 1896—99, Kraków), które możnaby nazwać ślicznemi studyami nad metodą twórczą w dramacie. Tragedya grecka, Szekspir, Kalderon, Wiktor Hugo byli jego mistrzami; ale on nie stał się ich niewolnikiem, korzystał jeno z ich wskazówek w sposób sobie właściwy. We wszystkich swych dramatach jest Faleński poetą-artystą, któremu chodzi nie o poklask tłumu, lecz o zadowolenie przedewszystkiem własnych poglądów moralnych i estetycznych, o piękno obrazowe, o wykoń-

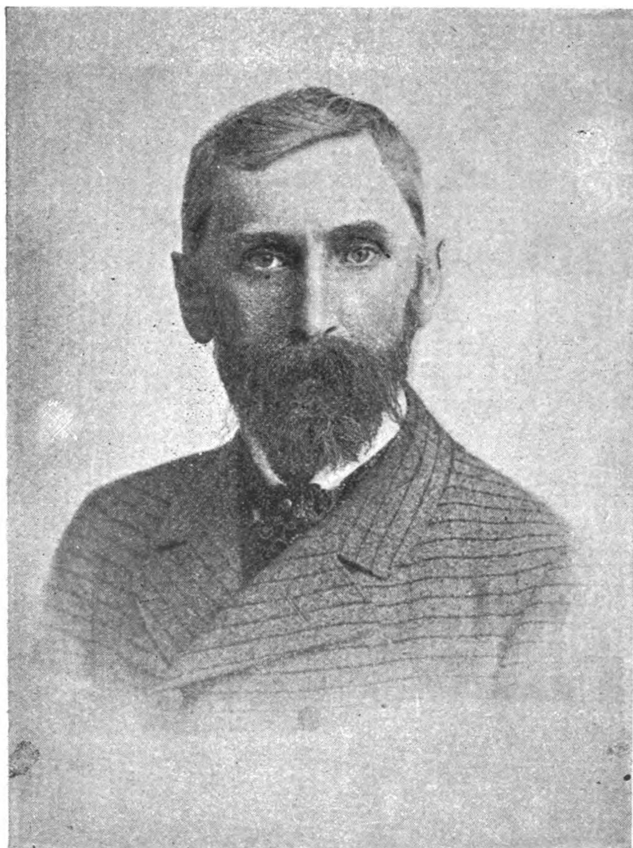
czone obrobienie tematu. Gardzi więc efektami scenicznymi, jeśliby te miały być umyślnie naciągane, a nie wypływać z samej głębi charakterów, z samej istoty stosunków między ludźmi. Pilnuje się ściśle psychologii osób, przez siebie utworzonych, i konsekwentnie ją od początku do końca sztuki przeprowadza. Namiętności gwałtownych nie unika, lecz w ich oddaniu zachowuje zawsze pewną powściągliwość słowa, mogącą chłodem się wydać. Społecznych celów nie zakładał sobie nigdy, chociaż czasami, jak w swoich gnomicznych wierszach, tak i w dramatach czynił satyryczne do spółczesności przystosowania („Tańce śmierci"); głównie pragnął odtwarzać konieczne następstwa pewnych usposobień, poglądów i starć między ludźmi; a ponieważ robił to bez dopasowywania wyników do zamiarów powziętych zgóry, można z jego kreacyj, tak samo jak z życia, wysnuwać wnioski najrozmaitsze, stosownie do nastroju, charakteru, stopnia rozwinięcia i ukształcenia jednostki, wnioski te wyprowadzającej. Niezawsze tedy w dramatach Faleńskiego cnota tryumfuje nad zbrodnią, niezawsze winni bywają ukarani. Nie znaczy to przecież, jakoby autor był obojętnym na zagadnienia etyczne. Umie on wystawiać złe i dobre czyny tak, iż sympatya czytelnika nie może być w niepewności, do kogo ma się zwrócić; umie on wielkie poświęcenia otoczyć aureolą, bez deklamacyi. W dyalogu jest zawsze wytwornym, a przedewszystkiem unika pospolitości; gdzie potrzeba, nie pomija słów grubych, ale niemi nie szafuje. Pierwszym jego drukowanym dramatem był „Syn gwiazdy" (1871, Kraków), najlepszym zaś jest „Królowa" (1888), gdzie poeta znakomicie przeprowadził psychologię dziewiczego serca (Jadwigi), które ze względu na pozyskanie całego narodu dla wiary chrześcijańskiej i wzmocnienie potęgi Polski, poświęca swe osobiste uczucia, zaślubiając Jagiełłę.

Charakter twórczości Felicyana nie był obliczo-

ny na popularność. W tej mianowicie dobie, o której mówimy, nie tylko jej nie posiadał, ale był wystawiony na ostrą krytykę ze strony młodzieży, wołającej o dążność społeczną utworów. Dopiero późniejsze pokolenie dojrzało w nim wielkiego wirtuoza słowa i poetę natchnień czysto artystycznych.

VIII.

Popularność natomiast uzyskał bardzo rychło *Adam Asnyk* (1838 † 1896), świetny również władca słowa, ale przytem wielce uczuciowy pieśniarz i myśliciel. Coprawda, nie ta cząstka najlepsza i najgłębsza, która w drugiej połowie twórczości autora „Nocy pod Wysoką" i sonetów „Nad głębiami" tak wydatne zapewniła mu miejsce w poezyi naszej, zdobyła mu tę popularność pierwotną. Z pieśni jego rozpowszechniły się te najbardziej, gdzie średnia skala uczuciowości falującej, zmiennej, przechodzącej z rozrzewnienia w ironię i sarkazm, znalazła swój wyraz wytworny, ale równocześnie dla ogółu inteligentnego zrozumiały i ponętny. Pieśni te, zawarte przeważnie w pierwszym tomiku „Poezyj El...y" (1869, Lwów), były u Asnyka przemijającymi jeno objawami nastroju i nie tylko nie wyczerpywały zasobów jego ducha, lecz nie stanowiły nawet jakiejś ważnej, istotnej jego cechy. Zanim poczuł w sobie siłę twórczą, przebył on i studya naukowe (zrazu lekarsko-przyrodnicze, potem ekonomiczne), a musiał też wiele odbywać ćwiczeń w zaciszu, gdy pierwsze jego drukowane wiersze (od r. 1864) odznaczały się już nie tylko niezwykłą poprawnością formy, ale także i pewną oryginalnością wyrażeń. Słowacki w dobie jego dojrzewania duchowego osiągnął tak wysoki stopień uwielbienia wśród młodzieży, iż niektórzy piewcę „Gro-



Adam Asnyk (El . . . y).
(Z fotografii J. Mien et Sebald).

bu Agamemnona" i „Króla-Ducha" wynosili nad Mickiewicza. Nerwowa, do wybuchów skłonna natura Juliusza Słowackiego, melancholia i gorycz, fantazya czarująca, styl wykwintny a barwny, upajający czar słowa działały na młode dusze jak haszysz i zapładniały je mglistemi, nieuchwytnemi niemal marzeniami u jednej strony, a z drugiej—niechęcią lub nawet wzgardą dla tłumu, nie pojmującego wysokich wzlotów, goniącego za chwilowem użyciem, pełzającego tam, gdzieby dla zachowania godności, jednostkowej czy ogólnej, hardo stanąć należało. Jedyny większy poemat Asnyka p. t. „Sen grobów" i kilka drobniejszych wierszy, np. „Apostrofa" bardzo wyraźnie wskazują zależność młodego poety od Słowackiego. Uczucia i myśli tu wypowiedziane dotyczą spraw ogólnych; niezawsze są one wyrażone jasno i zrozumiale; widać w nich wszakże duszę szlachetną, bolejącą nie nad sobą, lecz nad zanikiem podnioślejszych celów wśród ciżby, zapominającej łatwo o wszystkiem, co się nie tyczy bezpośrednio potrzeb osobistych chwili bieżącej.

I w tem upatrzyć można podobieństwo do Juliusza Słowackiego, że w poezyach owych, pogardliwie traktujących poziome pożądania tłumu, nie wskazywał poeta, jaki to jest ów ideał, w który, sam „skamieniały na ból," miał oczy utkwione. Przypuścić musimy, że Asnyk nie umiałby był naówczas powiedzieć wyraźnie: ku czemu społeczeństwo nasze dążyć było powinno, jakie obrać hasło dla działalności swojej. Niewątpliwie w duszy jego zachodziła rozterka, jak w duszy każdego głębszego myśliciela, kiedy dawna jego wiara we mgłę się rozwiewa. Ludzie tacy nie mogą poprzestać na zdawkowej monecie pojęć, krążącej wśród przeciętnego ogółu; poddając rozwadze zjawiska społeczne i wywody rozumowe, dążą oni do jakiegoś ogólnego na świat poglądu, by z niego wysnuwać wnioski idealne i zastosowania praktyczne.

Ideały romantyzmu, opiewane przez wielkich poetów naszych, nie mogły się ostać w całej swej pełni i świetności wobec brutalnego biegu wypadków i krytycznego rozbioru pojęć; ideały pozytywistyczne, które w owych czasach propagowało młodsze od Asnyka pokolenie, odstręczały od siebie dusze subtelne i wrażliwe pewnym chłodem czysto rozumowym i pewną bezwzględnością w stosowaniu praw bytu fizycznego do dziedziny uczuć i pragnień. Na pogodzenie tych sprzecznych z sobą nauk i dążności potrzeba było czasu i dojrzałego namysłu.

Asnyk zanadto dobrze znał wyniki wiedzy nowożytnej, ażeby, jak wielu jego rówieśników, wystąpić wrogo przeciw wyraźnej dążności wieku, a zanadto był wrażliwym i zanadto poetą, by odrazu i bez zastrzeżeń pójść za nowym prądem. Nie dziw zatem, że w duszy jego nastała przykra, gnębiąca rozterka, ujawniająca się w jego twórczości początkowej. Widniały w niej: pragnienie wiary i sceptycyzm, zmysłowość i ulatywanie w krainy nadobłoczne, ufność w potęgę ludu i pogarda dla tłumu, rzewność i sarkazm, naiwność i bachiczne okrzyki. A gdy się rozterka wewnętrzna przedłużała, życie zaś, w naturalnym rozwoju swoim, zagarniało poetę w swe nurty, musiał on dostroić się nieco do otoczenia, ażeby nie razić zbyt jaskrawem przeciwieństwem. Sprzeczność idealnych marzeń i pragnień z płochą i poziomą rzeczywistością, wywołała subtelną ironię tak samo, jak u Heinego i Musseta, lecz z wyraźnym odrębnym odcieniem przytłumionej rzewności. Wśród takiego to stanu duszy powstały ulotne, błyskotliwe, dowcipne wiersze, opiewające uczucia i pół-uczucia towarzysko-salonowe, wiersze najmilej też w salonie przyjęte. Z artystycznego punktu widzenia należą one do najlepszych, jakie utworzył Asnyk; ale gdyby takie tylko utworzył, byłby wielce miłym piewcą, uważanym za nader utalentowanego wirtuoza słowa; twórczość atoli jego nie posiadałaby ani silnej do-

niosłości narodowej, ani też znacznej wartości myślowej...

Wpatrywanie się w przyrodę i rozmyślanie nad nią wyrwały Asnyka z przesiąkłej sztucznemi woniami atmosfery salonu. W Tatrach odetchnął poeta głębiej i objął szersze widnokręgi myśli. Walczące dotąd w duszy jego sprzeczne kierunki zaczęły się uspokajać i ku jednemu zmierzać punktowi. Głębokie zrozumienie *prawa rozwoju* (ewolucyi) stało mu się punktem zbieżności. Majestat natury dał się uczuć poecie dobitnie pod jednym z najpiękniejszych szczytów tatrzańskich, pod Wysoką. Groza martwego świata głazów przygniatała go z początku strasznym smutkiem, gdyż odczuł on boleśnie swą bezsilność wobec tego ogromu i chciał się cofnąć przed rozesłaną na przepaściach nocą, przed skrytych potęg gwałtownym objawem, przed nieubłaganem, bezlitośnem prawem, rozpasanych żywiołów odmętem... ale powoli obawa i przestrach mijały; poeta uczuł się cząstką tej groźnej natury i uspokoił się, bo potrafił duchem własnym ogarnąć te ogromy, odzyskać swobodę wewnętrzą skutkiem tej świadomości i dostrzedz ścisły z sobą związek wszystkich czynników świata.

Warto zaznaczyć postępową, ewolucyjną różnicę wpływu widoków natury i rozważania dziejów ludzkich, jaką widzimy, zestawiając „Sonety krymskie" Mickiewicza z poezyami tatrzańskiemi Asnyka. I na Mickiewicza oddziałała przyroda kojąco, lecz poeta do siebie jeno odniósł ten wpływ natury, nie myślał rozciągać go do innych, nie wysnuwał stąd wniosków ogólniejszych; związek z naturą nie był u niego jeszcze tak ścisły, ja u nowoczesnego poety. Romantycy wogóle mówili bardzo wiele i bardzo pięknie o widokach przyrody, niektórzy nawet chcieli się w niej rozpłynąć; były to wszakże poetyczne raczej wylewy uczuć, aniżeli umiejętne zrozumienie rzeczywistego stosunku człowieka do natury. Nauka nowożytna, uwydatniająca coraz wyraźniej i silniej

zasadę rozwoju, przemieniła w pewnik to, co było przeczuciem jedynie, a tym sposobem dała poetom, a u nas Asnykowi przed wszystkimi, możność mówienia o owym ścisłym związku człowieka z przyrodą, bez przesady poetyckiej, lecz z całą świadomością rzeczy. Z tej zasadniczej myśli ewolucyjnej wypłynęły dalsze poezye Asnyka, zarówno te, w których malował krajobrazy, jak te, w których się zastanawiał nad cywilizacyjnym pochodem ludzkości. Rozwój ludzkości odbywa się według praw, nieznanych nam szczegółowo, lecz niewątpliwych co do istnienia swego.

W ten sposób połączywszy zasadnicze wyniki nauk przyrodniczych, wyłączające z pozoru wszelki pierwiastek moralny, z najpodnioślejszemi wymaganiami etyki, Asnyk zharmonizował swą niezachwianą cześć dla ideału z wymaganiami życia rzeczywistego, wszechludzkie dążności z ukochaniem ziemi, twierdząc zgodnie z teoryą rozwoju, że każdy „może tylko tam na swej własnej niwie zakwitać silnie i szczęśliwie, tam tylko znajdzie odpowiednie soki, właściwy zakres i warunki bytu, tam kształt i barwę właściwą przybiera, na czas dojrzewa i na czas zamiera.” Zarówno w kilku poszczególnych utworach („Ociemniały Thamyris,” „Mgławice,” „Światła,” „Noc pod Wysoką”), jak i w całym szeregu sonetów „Nad głębiami” mieści się tak dużo niepowszednich myśli filozoficznych, ujętych w jasną i piękną formę, że słusznie można nazwać Asnyka poetą filozofem, jakiego przed nim literatura nasza nie posiadała, gdyż natchnienia Stefana Garczyńskiego i Zygmunta Krasińskiego zamykały się w stosunkowo dość szczupłym zakresie myślowym.

A nie abstrakcyjnie i nie dla „wtajemniczonych” tylko tworzył te poezye wielki liryk refleksyjny, lecz zawsze miał na pamięci społeczeństwo własne, serdecznie odczuwał jego położenie, rozumiał jego potrzeby, a solidaryzując się z demokracyą postępową,

chciał wpływać na wzmocnienie w niej ducha. Nie zacieśniał się w obrębie samego artyzmu lub refleksyi filozoficznej, nie głosił wyłącznego hasła „sztuki dla sztuki," pomimo swego subtelnego poczucia formy i wydatnego indywidualizmu; jak każdą działalność publiczną, tak i działalność poety poddawał wymaganiom wyższych dążeń społecznych, bo i poeta winien być obywatelem kraju, dbającym o jego dobro i szczęście, nie zaś samolubnym sybarytą-estetą, wyzyskującym społeczeństwo na rzecz swoich zadowoleń artystycznych. A przecież Asnyk, jako mistrz formy, należy do największych, jakich mieliśmy w poezyi naszej. Język jego odznacza się taką czystością szczeropolską, że za wzór służyć może tym, co dobrze po polsku mówić i pisać pragną; a wiersz ma takie czarujące właściwości, samemu tylko Asnykowi właściwe, że zachwyca i upaja. Niewątpliwie, najdzielniej włada stylem i rymem, gdy idzie o delikatne cieniowanie uczuć lub też wysłowienie głębokich myśli filozoficznych; mniej one natomiast są mu podatne, kiedy chciał wydobyć wrażenie siły i grozy. Uczuciowość w rozległej bardzo skali — prócz żaru namiętności — ironia, szyderstwo, sarkazm, a obok tego refleksya, nurtująca w najzawilszych nawet głębiach myśli, były to dziedziny, w których poeta ten albo nie miał sobie równych wśród współczesnych, albo też był pierwszym, co się w nich z taką swobodą i wdziękiem obracał. To jego chwała i trwała podwalina znaczenia w poezyi naszej.

Prócz czterech tomów „Poezyj" (pierwszy 1869, czwarty 1894 r.) zostawił Asnyk ośm utworów dramatycznych. Już z tego, com o właściwościach jego talentu powiedział, wywnioskować można, że nie mogły one wystarczyć na stworzenie dobrego dramatu. Zamało posiadał on siły i skupienia dla odmalowania grozy tragicznej; zamało zaś wesołości, by napisać prawdziwą komedyę. Ale chociaż żaden z jego utworów dramatycznych nie może być nazwany

doskonałym; wiele w nich znajdujemy piękności poszczególnych. Są tu trafnie nakreślone charaktery, są przepiękne sceny liryczne; jest nieraz dowcip rzetelny, a przedewszystkiem jest czysta atmosfera moralna. Poeta miał wstręt, jak Faleński, do wszystkiego, co brudem moralnym cuchnie, i starannie unikał kollizyj, tak ulubionych przez dramatyków nowoczesnych. W jego złych ludziach jest zawsze pierwiastek szlachetniejszy i podnioślejszy, ocalający ich od miana pospolitych nikczemników. Najbardziej wykończonym, jakąś klasyczną niemal pogodą odznaczającym się jest dramat dziejowy wierszem p. t. „Kiejstut." Inny dramat prozą: „Cola Rienzi" ma kilka scen doskonałych. Żywotną kwestyę wypierania żywiołu polskiego przez niemiecki w W. Ks. Poznańskim poruszył w komedyi: „Bracia Lerche." Ładny charakter cygana-malarza dał w „Przyjaciołach Hioba." Dużo wdzięku posiada komedyjka p. t. „Gałązka heliotropu." — Poezye i dramata Asnyka zebrano razem i wydano p. t. „Pisma" (Warszawa, 1898, pięć tomów).

IX.

Twórczość dramatyczna Asnyka prowadzi nas do zaznaczenia, że w tej dobie pod wpływem autorów francuskich, mianowicie Ponsarda i Augiera, poczęści wskutek samego rozwoju stosunków krajowych, wytworzył się nowy odcień komedyi, bardzo mało w sobie wesołości posiadający, a poważnem zastanowieniem nad zagadnieniami społecznemi nacechowany. Twórcą tego nowego odcienia nazwać można *Józefa Narzymskiego* (1839 † 1872), znanego dobrze i w literaturze i w dziejach życia narodowego. Pierwsza jego komedya, napisana w r. 1859 p. t. „Wielki

Adamowi Plugowi.

Błogosławione te jasne i proste
Serca wierzące z młodu, co z głębi,
Które przetrwawszy ciężką burz chłostę
Szlachetnych pragnień w sobie nie wyziębią,
I choć je ziemi burza nieraz miota
Widzą wciąż piękno i dobro żywota.

Krakow d. 14 Lut 1887

El...y. (Adam Asnyk)

(Ze zbiorów Leupolda Meyéta).

człowiek powiatowy," nie była drukowana, lecz z samego tytułu wnosić można, że kwestya społeczna musiała w niej odgrywać pewną rolę. Przez lat siedm milczał Narzymski w literaturze; w r. 1871 dopiero wystąpił jako publicysta w W. Ks. Poznańskiem, między innymi żądał on, żeby autor dramatyczny był nie tylko sztukmistrzem, lecz i „myślicielem, moralistą, propagatorem, agitatorem," żeby ostrzegał przed zgubnymi prądami, siekł i chłostał wszystko, co podłe i nikczemne, podnosił kwestye społeczne, budził odwagę gasnącą, wyszlachetniał dusze, pchał bryłę świata silnemi ramiony. Nastając na tę dążność społeczną, karcił krytyków, co zarzucali dramatykom francuskim niemoralność; jego zdaniem kwestye „drażliwe i dwuznaczne" należą do tych, które „podnosić, wyjaśniać, oczyszczać z przesądów jest rzeczą dramatu;" nie chciał jednak ślepego naśladownictwa Francuzów i nawoływał do wyrabiania sobie samodzielności, do brania postaci wprost z życia naszego, nie zaś szukania ich w książkach lub własnej fantazyi. Jakby spełniając ten program, Narzymski dał obrazek sceniczny: „Prezydent miasta Krakowa w kłopotach," gdzie na tle dziejowem chciał wskazać rajcom miejskim współczesnym, a mianowicie krakowskim, jakimi być nie powinni. Następnie napisał dwie sztuki, które na konkursach dramatycznych otrzymały nagrodę i były w swoim czasie we wszystkich teatrach przedstawiane z powodzeniem. W „Epidemii" odtworzył gorączkę gry giełdowej i napiętnował osoby, dobrowolnie zarażać się dające, wykazując szkodliwy jej wpływ zarówno pod względem materyalnym, jak i moralnym. W „Pozytywnych" wychłostał objawy braku serca, zepsucia, patrzenia z ubóstwieniem na interesa tylko materyalne, a z pogardą na wyższe cele, ku którym naród zdążać powinien; nadużycie wreszcie hasła trzeźwości i praktyczności politycznej, jakie dostrzegał w „Tece Stańczyka." Zarówno w jednej, jak i w drugiej komedyi widnieje

dobra znajomość społeczeństwa i jego pierwiastków składowych. Narzymski zastanawiał się poważnie i sumiennie nad przyczynami rozstroju, a raczej zamętu moralnego, jaki się w różnych warstwach narodu w przeszłości i w czasach nowych zauważyć dawał. Zadanie komedyopisarza społecznego, by prądy czasu i kwestye palące rozstrząsał, wskazując złe, a podnosząc dobre objawy, spełniał z rozwagą i szczerością, znamionującą człowieka przejętego silnie ukochaniem ogółu, oburzonego dowodami upadku ducha i zgnilizny moralnej. Wszędzie widać człowieka prawego, który kocha wielkie cele i wielkie ideały, a nienawidzi wszelkiej podłości, wszelkich poniżających układów z sumieniem. Nie rozwinął wprawdzie Narzymski szeroko tematów, przez siebie podejmowanych, ale tłomaczy go to, iż w szczupłych szrankach naszego życia społecznego nie miał dostatecznej podniety ku obrabianiu rzeczy na skalę rozległą. Pod względem artyzmu, trzeba powiedzieć, iż w utworach swoich dawał zawsze pierwszeństwo tematowi i charakterystyce osób. Ludzie jego, nietylko w pomyśle, ale i zachowaniu się, są istotami rzeczywistemi, działającemi w warunkach rzeczywistych i zawsze się jasno przed umysłem czytelnika i widza rysują. Sytuacye są prawie wszystkie naturalne, bez sztucznego i gwałtownego naciągania: tu i owdzie tylko znajdzie się jakiś środek teatralny przestarzały, np. mimowolne podsłuchiwanie, pociągające za sobą ważne następstwa. Niekiedy dla efektu zanadto hałaśliwe wydobywał dźwięki. Układ scen nie zawsze zadawala. Niema tu tegoześrodkowania wszystkich motywów, tej spójności kompozycyi, jaka znamionuje np. sztuki Augiera. Pod względem stylu miał Narzymski jedną wielką zaletę: jędrność wyrażenia. Lubił się streszczać, pisał zazwyczaj krótkiemi, urywanemi zdaniami. Kiedy chodziło o uplastycznienie sytuacyj lub wygłoszenie poglądów, styl ten czynił zadość wymaganiom dramatycznym, ale kiedy szło o przedstawienie uczu-

cia namiętnego i wzburzonego, dykcya taka wydaje się suchą. Uczuć tkliwych, serdecznych wyrażać nie umiał; stąd pochodzi ubóstwo scen miłosnych i niepozorność bohaterek dodatnich. Nie tylko wszakże role kobiece tracą na tej właściwości stylu; w niektórych położeniach przydałoby się i mężczyznom słowo lotniejsze, wyraz potężniejszy. Komedye Narzymskiego dają pole do rozwagi, ale nie wzruszają. Żywioł komiczny jest w nich słaby, chociaż autor nie był wcale pozbawiony pomysłowości w sytuacyach, mogących wywołać uśmiech. Ponieważ jednak mówił o sprawach poważnych, nie chciał tedy obniżać ich znaczenia przez częste użycie środków, któreby mogły myśl czytelnika lub widza wprowadzć na tory dalekie od zamierzonej przez komedyopisarza dążności. Zapewne mylił się w tej mierze: umiejętne zastosowanie żartu i komizmu nie rozprasza uwagi, lecz ją zaostrza, a przerywając poważne rozprawy, odpędza znużenie i wraża w pamięć to, o co komedyopisarzowi chodziło. Sposępnienie komedyi społecznej nie może być poczytywane za objaw pożądany w rozwoju sztuki; śmiech zdrowy i szczery jest rzeczą przyjemną i pożyteczną zarówno dla ciała, jak i dla duszy. Pogodna kraina artyzmu nie powinna nam przecież sprawiać przykrości i zasępiać czoła, Nastrój atoli owej doby był poważny, a komedya „społeczna" przemieniała się niemal w dramat; żart i niewybredny komizm oddano prawie wyłącznie krotochwili, czyli farsie.

X.

Takie krotochwile tworzył w owej dobie rówieśnik Narzymskiego, *Michał Bałucki*. Miał lat 30, kiedy nakreślił pierwszą swą sztukę: „Radcy pana

radcy (1867 r.) w chwili, kiedy Galicya zaczęła używać swobód autonomicznych. Z wyboru tematu mogło się zdawać, że autor wejdzie na drogę satyry politycznej, że będzie poszukiwał nowego żywiołu dla komedyi w tych objawach ujemnych, jakie w kraju po całowiecznym niemal ucisku germanizacyjnym ukazać się musiały, gdy mu przyszło nanowo radzić o samym sobie. Prócz atoli poszczególnych postaci i sytuacyj w niektórych komedyach, lub głównej osnowy w jeszcze mniejszej ich liczbie, Bałucki poprzestawał na napomknieniach i przygryzkach, ale poważnie spraw polityczno-społecznych obrabiać nie umiał. Przebywał natomiast chętnie w dziedzinie słabości i słabostek ogólno-ludzkich, zabarwionych cechami miejscowemi, mianowicie krakowskiemi. Próżność w najrozmaitszych postaciach, chęć życia nad stan, wkręcanie się w sfery pańskie, zarozumiałość, próżniactwo, marnotrawstwo, lekkomyślne szafowanie uczuciem, interesowność, zawiść, śmieszności starokawalerskie, czy staropanieńskie, strojenie się za pożyczane pieniądze, wyzyskiwanie cudzej dobroci i t. p. oto zwykłe temata licznych a niewybrednie wesołych sztuk i sztuczek, według starego hasła: za pomocą śmiechu karcić obyczaje. Na słabości i błędy jest komedyopisarz wyrozumiały; tu i owdzie sarknie dotkliwie, ale jeno na czas krótki; największą karą dla błądzących bywa ośmieszenie lub upokorzenie; tak zwane grzeszki kawalerskie traktuje lekko. Przemiana usposobień w jego osobach, zarówno na złe, jak i na dobre, dokonywa się bez trudu, bo się odbywa w duszach płytkich, nie biorących nic głęboko ani do serca, ani do umysłu. Bohaterowie i bohaterki dodatnie są zbyt jednostajni i nie przedstawiają powodu do głębszej rozwagi. Rozmowy miłosnej, mogącej zająć sama przez się, niema tu wcale; uczucia wyrażają się w słowach pospolitych, prawie banalnych; zachowanie się tylko postaci nadaje tej stronie komedyi niejaki interes, chociaż bynajmniej nie naj-

większy, gdyż istotną dziedzinę pomysłowości autora i jego zasługę stanowią figury charakterystyczne od niedorostków do staruszków, pobudzające w większym lub mniejszym stopniu do śmiechu. W malowaniu tego mrowia ludzkiego, śmiesznego swemi pretensyami lub niezgodnością słów z postępowaniem, używa Bałucki rysów wydatnych, grubych, często wpadających w karykaturalność, ale osiąga zawsze efekt zamierzony. Ażeby sytuacyę uczynić komiczną, nie waha się uciekać do zawikłań nieupowodowanych, nieprawdopodobnych. Intryga w jego sztukach bywa zazwyczaj bardzo prosta, nawet błaha, tak że jej rozsnucie i rozwiązanie nie wymaga wielkich wysiłków ze strony komedyopisarza. I język osób sprowadzony został do nizkiego ich poziomu umysłowego. Z wyjątkiem jednej komedyi („Po śmierci cioci"), gdzie styl jest bardziej literacki, we wszystkich innych panuje szarota pospolitości, częstokroć nieogładzona nawet z chropowatych kantów; wyższego dowcipu trudno się tu doszukać. Komedye Bałuckiego nie są do czytania, lecz do widzenia na scenie. Uwydatnione grą artystów rysy znamienne osób, zrozumiałych dla wielkiej masy widzów; komizm sytuacyj działający sam przez się bez pomocy słów nawet, pogoda umysłu autora, udzielająca się publiczności, szczera i zdrowa wesołość, tem wydatniejsza, im więcej ludzi ją podziela: sprawiają, że repertoar teatrów naszych bardzo wiele zawdzięcza Bałuckiemu.

Obok tych dwu głównyoh przedstawicieli dramatyki naszej w owych czasach, pozyskali pewien rozgłos: w komedyi poważnej *Władysław Koziebrodzki* (1839 † 1893), w krotochwili *Jan Aleksander Fredro* (1829 † 1891, syn znakomitego powieściopisarza.

Niwę dramatu historycznego uprawiał w dalszym ciągu *Józef Szujski*, lecz nie zdołał stworzyć nic piękniejszego ponad te trzy utwory, jakie wymieniłem w okresie poprzednim.

XI.

Krytyka literacka w tej dobie miała przeważnie cechę publicystyczną; oceniano utwory przeważnie ze stanowiska potrzeb społecznych, lubo nie zapominano bynajmniej o wymaganiach psychologiczno-artystycznych. Dowodem tego jest, iż np. początkowe powieści Orzeszkowej, pomimo swojej dążności, mogącej obudzić sympatyę w zwolennikach pozytywizmu, nie były jednak przez nich wychwalane bezwzględnie, a to dlatego, iż szwankowały mocno w artyzmie. Równocześnie jednak cacka artystyczne, w których młodzież postępowa nie mogła się dopatrzyć celu społecznego, ulegały surowej ocenie. Poglądy Hipolita Taine'a na warunki powstawania dzieł sztuki i na sprawdzian ich piękności znajdowały zwolenników wśród młodych, a przeciwników wśród starych. I młodzi atoli nie przyjmowali tych poglądów po szkolarsku, nie stosowali ich w swych krytykach w sposób pedantyczny; widać to mianowicie z ówczesnych ocen, pisanych przez *Feliksa Bogackiego* (ur. 1844), *Józefa Kotarbińskiego* (ur. 1849) i in. Z pomiędzy starszego pokolenia krytyków, co z początku wrogo przeciw Tainowi wystąpili, a potem pewne, dość ważne z jego pism przejęli czynniki, należał wspomniany już w okresie poprzednim *Kazimierz Kaszewski*. Inni dawniejsi krytycy, nie wdając się w polemikę z nowymi poglądami, eklektycznie łączyli hasło „sztuka dla sztuki" z wymaganiami myśli poważnej, *Fr. H. Lewestam*, *Józef Kenig*, a zwłaszcza *Aleksander Tyszyński*. Największy atoli rozgłos w tej dobie osiągnął znany nam już z okresu poprzedniego *Antoni Małecki* swojem znakomitem dziełem o „Juliuszu Słowackim w stosunku do współczesnej epoki" (1866/7).

Doba druga.

Spotęgowanie dążności społecznych.

XII.

Walka sama z zastarzałymi nałogami myślowymi i obyczajowymi nie mogła trwać długo w swojem pierwotnem natężeniu; musiała z konieczności przycichnąć, lubo nie ustała bynajmniej po dziś dzień. Od polemiki potrzeba było przejść do pozytywnego działania, a to musiało wpłynąć na pewne zmiany w samych wywodach teoretycznych. Przedewszystkiem zaznaczyć należy wielkie wzmożenie się badań specyalnych nietylko w dziedzinie historyi politycznej i historyi literatury, ale także w dziedzinie nauk przyrodniczych i ekonomicznych. Dwa uniwersytety z wykładem polskim (w Krakowie i we Lwowie), politechnika we Lwowie, przemienione Towarzystwo Naukowe na Akademię Umiejętności w Krakowie (1873); dawne Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu i nowozałożone (1878) w Toruniu; Kasa pomocy naukowej imienia Mianowskiego (1881) w Warszawie; Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu: oto główne instytucye, dopomagające do rozwinięcia się i utrwalenia zarówno popędu do wiedzy, jak i do przyswajania jej nabytków, lub też do robienia nowych odkryć naukowych. Mamy też w tej dobie liczny zastęp uczonych: historyków politycznych, historyków literatury, bibliografów, archeologów, etnografów, geografów, ekonomistów, matematyków, fizyków, chemików, medyków, filologów i pedagogów, których badania mogą być postawionemi na równi z wynikami nauki europejskiej, a niekiedy (jak np. odkrycia *Zygmunta Wróblewskiego* † 1888 i *K. Olszewskiego*) nowemi ją zdobyczami wzbogacają.

Wyznać atoli trzeba, że szczupła jedynie cząstka tych prac naukowych staje się własnością ogółu ukształconego; zazwyczaj korzystają z niej tylko specyaliści. Wynik to naturalny drobiazgowego ich charakteru, niemogącego obudzić żywszego zajęcia wśród warstw średnio ukształconych.

Warstwy te mają dla swego pożytku naukowego organa miesięczne i tygodniowe, popularyzujące wyniki badań szczegółowych i starające się przedstawiać je z ogólniejszego, a więc ponętniejszego stanowiska. Niewielkie rozpowszechnienie miesięczników świadczy, że nawet i ta karm' naukowa jest jeszcze dla ogółu inteligentnego niezbyt pociągająca; wystarczają dla niego tygodniki, podające karm' ową w dawkach małych i osłodzonych.

Na wielostronną oświatę ludu oddziaływały i coraz liczniejsze szkółki elementarne, i zawiązywane w W. ks. Poznańskiem, Galicyi i na Ślązku austryackim „kółka włościańskie“ czy „rolnicze,” i wzmagające się w ilość i jakość czasopisma, z pomiędzy których śląski „Katolik” w Bytomiu zyskuje sobie pokaźną liczbę odbiorców (przeszło 20 tysięcy), i wreszcie „Macierze,” t. j. instytucye, mające na celu wydawanie i rozpowszechnianie tanich a dobrych książek. „Macierz” lwowska powstała z funduszów, dostarczonych za pośrednictwem Kraszewskiego w r. 1880; „Macierz szkolna dla księstwa Cieszyńskiego” w r. 1886 z inicyatywy Pawła Stalmacha. Ku temuż celowi zdąża „Towarzystwo szkoły ludowej” w Galicyi.

XIII.

Powieściopisarstwo jak w poprzedniej dobie tak i teraz stało na czele piśmiennictwa i liczyło największą liczbę przedstawicieli; a pogłębiło się i udo-

skonaliło zarówno pod względem treści jak i formy. Wielbienie różnego rodzaju fachowców, tak poprzednio częste, zaczęło się miarkować; a dawniejsze zadanie wytrzeźwienia narodu z mrzonek idealistycznych przemieniło się zwolna w rozszerzenie jak najrozleglejsze istoty ludzkiej przez budzenie w niej nie tylko świadomości, ale i zapału do rzeczy i spraw, mających ogólny, najwszechstronniejszy rozwój na celu. Pogłębienie w malowaniu strony wewnętrznej człowieka jest widoczne. Psychologię chłopa coraz lepiej i dokładniej studyowano, a chociaż w większości wypadków zwracano głównie uwagę na jego najprostsze, żywiołowe, że tak powiem, przymioty i wady, nie brakło jednak i takich powieści, gdzie idealniejsza, bardziej duchowa strona nie tylko uwzględniona, ale i ładnie lub nawet po mistrzowsku była odmalowana. Psychologia dziecka po raz pierwszy u nas z takim wdziękiem i z taką serdeczną rzewnością zostały oddane, że już nie potrzebujemy zazdrościć Anglikom Dickensa, a Francuzom Wiktora Hugo lub Daudeta. Prawdziwa, ciężka, brudna nędza również po raz pierwszy w tej dobie zajmuje naszych powieściopisarzów. Dawniej albo nie przedstawiano jej wcale, albo też posługiwano się nią tylko jako artystycznym kontrastem, gdy zamiłowano malownicze łachmany żebraków czy cyganów. Nic dziwnego. Dawniejsi nasi powieściopisarze sami nie doznawali niedostatku, a nawet rzadko się spotykali z biedą straszliwą, twierdzili nawet niekiedy, że u nas nędzy jak na Zachodzie niema wcale. Inaczej się stało po roku 1863, kiedy wiele rodzin niegdyś zamożnych popadło w ubóstwo, kiedy się trzeba było chwycić pracy jakiejkolwiek, byle tylko zarobić na utrzymanie. Przykładów nędzy nie trzeba było wyszukiwać; rzucała się ona w oczy — i to na tle zbytku i przepychu miejskiego. Wielu też powieściopisarzów osobiście

ciężko o byt walczyć musiało. Stąd odczucie i żywe przedstawienie nędzy materyalnej w całej jej przygnębiającej ohydzie.

Nie tylko wszakże masy były malowane w powieści; uwzględniano w niej również wybitne, oryginalne indywidualności, które wśród swego najbliższego otoczenia nie znajdują z jakichkolwiek powodów dostatecznej karmi dla swej duszy, ani też odpowiedniego pola do działania. Jest to właśnie przeciwstawienie różnorodnych genialnych umysłów czy serc, zwichniętych czy normalnych, tłumowi płytkiemu i powszedniemu, jest to upomnienie się o słuszne prawa jednostki pod wpływem rozbudzonego żywiej uczucia i fantazyi, wobec poziomo utylitarnych wymagań rozsądku, zaprawionego do kierowania drobnymi tylko interesami.

Zdaje mi się, że i wskrzeszenie powieści historycznej, nieco zaniedbanej w dobie poprzedniej, z tychże w znacznej części wypływa pobudek. Wbrew orzeczeniu cenionego i przecenianego skądinąd krytyka duńskiego, Jerzego Brandesa, który szydersko powieść historyczną nazwał „prawdziwą kawą figową," u nas znalazła ona znowuż, jak przed laty, ogromne powodzenie. Są bowiem pewne strony życia, są pewne charaktery, których niepodobna grzedstawić wśród warunków dzisiejszych, a jednak ze względu na wszechstronność w odmalowaniu objawów ducha przedstawiać je potrzeba. W takich wypadkach uciekają się autorowie do dziejów i wyprowadzają na widownię postaci i sytuacye bohaterskie „dla pokrzepienia serc" spółczesnych.

Wreszcie wpływ nauk przyrodniczych i psychocholii doświadczalnej wywołały u nas po raz pierwszy *osobne* powieści (dawniej były tylko epizody) o zwierzętach, jako przyjaciołach lub wrogach człowieka, oraz ze względu na nie same; a nowość ta (wprowadzona przez *Adolfa Dygasińskiego*, ur. 1839) zyskała sympatyczne przyjęcie.

Pod względem czysto artystycznym powieść nasza zyskała bardzo wiele w tej dobie. Przedewszystkiem pozbyła się jaskrawo występującej tendencyi, gdyż większe wniknięcie w samą istotę spraw i wessanie w siebie soków społecznych, w połączeniu z wysubtelnieniem smaku pozwoliło autorom zupełnie swobodnie wcielać pomysły, nie wykrzywiając i nie fałszując prawdy stosunków ludzkich. Kreślenie charakterów, zużytkowanie sytuacyj, styl wyrobiły się znakomicie, nawet w porównaniu z najlepszymi tworami czasów dawniejszych. „Przedmiotowość" czy raczej „bezosobowość" opowiadania była głównym nabytkiem, jaki przyjęto od naturalistów francuskich (Flauberta, Zoli) i umiano się nią posługiwać znakomicie, nie wpadając w suchość i bezuczuciowość; nauczono się bowiem tak przedstawiać ludzi i wypadki, żeby nie potrzeba było słów osobnych autora do ich odczucia i zrozumienia. Realizm, oparty na bystrem postrzeganiu i doświadczeniu życiowem, rzadko kiedy, u niektórych tylko pisarzy, i w niektórych scenach przemieniał się w naturalizm (*Antoni Sygietyński*, ur. 1850, w większych swych powieściach). Kompozycya całości tylko, w najświetniejszych skądinąd utworach, zazwyczaj szwankowała, jeżeli to były dzieła obszerniejsze; stąd arcydzieł zadawalających bezwarunkowo, szukać musimy jedynie wśród drobnych nowel, szkiców i obrazków.

Ze znacznej liczby powieściopisarzów, pomiędzy którymi są i bardzo utalentowani, uwydatniam tylko trzy osobistości, z zapewnionem na zawsze wysokiem stanowiskiem w literaturze.

Największym plastykiem i największym artystą w tej dziedzinie twórczej jest niewątpliwie *Henryk Sienkiewicz* (ur. 1847). Z początku pisywał i on wyraźnie tendencyjne utwory, zrazu blade i urywkowe („Z teki Worszyłły", „Na marne"), później jaskrawo zabarwione, o śmiałych zarysach („Szkice węglem"); lecz rychło się opanował, dając spokojne, pełne

umiaru nowelle („Stary sługa", „Hania"), natężając niekiedy strunę rozrzewnienia („Janko muzykant", „Z dziennika nauczyciela poznańskiego", „Latarnik"), lub dmąc silnie w surmę dzielności szafowanej bezmyślnie („Bartek Zwycięzca"), dopóki nie wszedł na niwę dużych powieści, zarówno historycznych, jak obyczajowych czy psychologicznych. Okazał się tu mistrzem opisów i charakterystyk; doskonale malował zarówno śmiałe, bohaterskie postaci, jak tchórzów samochwałów, zarówno bierne jak energiczne istoty, zarówno proste i szczere natury, jak przebiegłe i chytre. Umiał bez popadania w deklamacyę przedstawiać wzniosłość, a bez sentymentalności czułość, rzewność, poświęcenie. Umiał wybornie przemawiać językiem miłości i zmysłowej i uduchowionej; usposobienia prawdziwie poetyczne i udające cześć i zachwyt dla sztuki; natury zdrowe i chorobliwie przedrażnione, ludzi trzeźwych i marzycieli. Trylogia jego z dziejów Polski wieku XVIII („Ogniem i mieczem", „Potop", „Pan Wołodyjowski") miała taką poczytność, jak może żadna z powieści naszych, a obraz Rzymu za czasów Nerona („Quo Vadis") obiegł całą cywilizowaną Europę. W „Krzyżakach" (1900), jakby rywalizując z „Olbrachtowymi Rycerzami" Kaczkowskiego odmalował, niekiedy porywająco, stosunki cywilizacyjne Polski z początków XV wieku, w starciu się z potężnym a przewrotnym Zakonem niemieckim. — W powieściach spółczesnych nieporównane kreślił obrazy ze stosunków artystycznych („Ta trzecia"), ziemiańskich i mieszczańskich („Rodzina Połanieckich", „Bez dogmatu"); lecz w rozbiorze postaci, duchowo bardzo złożonych (Płoszowski), okazał się słabszym myślicielem niż artystą. Nie ogarnął rozległych widnokręgów myśli ludzkiej, nie pogłębił filozoficznie swoich poglądów na życie, na stosunek jednostek do społeczeństwa i przyrody, a społecznie nie stanął na takiej wyżynie, by mógł różnorodne, sprzeczne z sobą kierunki sprawiedliwie



Henryk Sienkiewicz

(Z fotografii M. Puscha).

i trafnie ocenić. Pomimo olbrzymiej popularności, jest w tem nieco podobny do Kraszewskiego, że przewodnikiem myślowym społeczeństwa stać się nie mógł. Z początku demokrata, jak całe pokolenie, do którego należał; zapędziwszy się trochę naprzód, niebawem się cofał i w jakiemś niewyraźnem umiarkowaniu szukał uchrony. Powróciwszy z Ameryki, zaczął silniej odczuwać słabe tętno naszego postępu, lecz krótko bardzo trwał w tym nastroju i zbliżył się do stronnictwa, wywieszającego wyraźnie sztandar zachowawczy. Wybitna jego indywidualność nie dała się pochłonąć prądom stamtąd wychodzącym, umiał utrzymać swą samodzielność i drwił niekiedy z tego, co w owym obozie robiono, lecz nie zerwał z nim wcale, a w jego działaniach biernie przynajmniej brał udział. Odczuwa on doskonale tętna życia społecznego, rozumie je nawet, ale wyraźnie wypowiedzieć swego o nich zdania nie chce, i z szerokiej widowni, na której mieści go talent, usuwa się jak najczęściej w ustronie pracy artystycznej. Wpływ Słowackiego na jego twórczość a zwłaszcza na język i styl; nadto wpływ Turgeniewa i Daudeta, a z dawniejszych Aleksandra Dumasa-ojca, nie ulega wątpliwości.

Eliza Orzeszkowa przebywała, jak wiemy, długi proces doskonalenia swego artyzmu; do pomyślnych wyników doszła najprzód w drobnych obrazkach, drukowanych od r. 1875, a zebranych w 3 tomach p. t. „Z różnych sfer“ (1880—1882). Uczucia i namiętności rozpatrywała tu jako dźwignie życia duchowego; śledziła ich początek i rozwój, nie wahała się wykazywać ich zboczeń i krzywizn, nie poświęcała dla efektu żadnej ich strony prawdziwej, dobrze zaobserwowanej. A nie występowała też jako natrętna moralistka, któraby wady coprędzej chciała wyrwać z serc ludzkich i dla przyśpieszenia takiego skutku najsympatyczniej przedstawiała osoby niemi upośledzone. Owszem, dążac do wydobycia na jaw „czy-

stej“ treści człowieka, lubiła pod skorupą niepozorną, a więc lekceważoną, ukazywać duszę choć w jednym kierunku, choć w jednem uczuciu wielką i potężną, wzniosłą a cichą, pokorną, śmieszną często, lecz sympatyczną. Od siebie autorka żadnych nie dawała uwag, starając się rozwinąć opowiadanie przedmiotowe, bezosobiste, i osiągała w tym względzie wysoki nieraz stopień doskonałości. — Zastosowała potem ten sam sposób tworzenia do powieści większych, ale tu nie odrazu się jej szczęściło. Wybitna ich tendencya długo jeszcze i w tej dobie nie wchodziła organicznie w samą istotę postaci i stosunków, lecz je trochę naginała do siebie. Ale pod względem odczucia bólów zbiorowych i prądów społecznych przewyższała wszystkich spółczesnych powieściopisarzy („Ławicz i jego koledzy“, „Nad Niemnem“, „Dwa bieguny“, „Bracia“, „Australczyk“, „Argonauci“). W przedstawieniu doli ludu białoruskiego połączyła dokładne studya nad jego zwyczajami i obyczajami, z silnem spółczuciem dla jego położenia, w którem ciemnota i złe wpływy robią straszne spustoszenia („Niziny“, „Dziurdziowie“). Natężone wmyślenie się w duszę chłopa, targanego dwiema namiętnościami: ślepem, bezwzględnem przywiązaniem do szlachcianki zaściankowej, co go zwodziła, i mistycyzmem religijnym, sprawiło, że autorka, oderwawszy się od wszelkiej tendencyi, stworzyła swe arcydzieło, artystycznie wykończone („Cham“ 1888). Upoetyzowanie duszy szlachetnego, marzycielskiego żyda zrobiło z „Meira Ezofowicza“ jedną z najcieplej, choć w stylu niemal epickim napisanych powieści. I w dziejach dawniejszych, wystudyowanych starannie, stosunek Żydów do Rzymian posłużył za temat do pięknie zbudowanej, uczuciowo kreślonej „Mirtali.“ Spotkanie się wielkiego pana, poszukującego nowych wrażeń, ze świeżą, naiwną, szczerą a poetyczną dziewczyną przecudnie odmalowała nam „Pieśń przerwana.“ Dążności społecznej nie zapomniała Orzeszkowa naturalnie i teraz,



Eliza Orzeszkowa.
(Z fot. Rembrandta, ze zb. L. Meyeta).

lecz ona mniej lub więcej szczęśliwie harmonizuje się z osnową powieści. Dążność tę można wogólności wyrazić zdaniem, że niezadowolenia, smutki, pesymizmy i melancholie znajdują ukojenie swoje w podzielaniu smutków i cierpień cudzych, w spójni łączącej jednostkę z ogółem, w poświęceniu małych, poziomych przyjemności i upodobań dla spełnienia podniosłego obowiązku, w chęci przyniesienia innym choć odrobiny radości, w staraniu o ulżenie, choćby w małej mierze, brzemienia, które ludzie dźwigać muszą. Dostojewski i Tołstoj oddziałali na niektóre jej poglądy, a po części i na sposób pisania.

I *Aleksander Głowacki (Bolesław Prus*, ur. 1846) długo łamał się z formą, przetwarzając swą początkową skłonność do karykatury i rubasznego żartu w wierne a prawom artystycznym odpowiednie malowanie rzeczywistości. Podobnie jak Orzeszkowa, doszedł najprzód do wysokiego stopnia doskonałości w małych obrazkach, z których najpiękniejszym, najgłębszym psychologicznie był „Antek“, jedna z rzadkich u nas nowelli rzetelnie humorystycznych. Z większemi kompozycyami szło mu trudniej, ale w każdej z nich poruszał jakąś sprawę wielkiej doniosłości, a potęgował swe środki artystyczne. W „Powracającej fali“ (1880) uderzył w wielki dzwon palącej sprawy społecznej, rozpatrując stosunki między pracodawcami a robotnikami fabrycznymi. Wyzysk z jednej strony, niezaradność, brak ukształcenia i organizacyi z drugiej — oto najkrótsze tych stosunków sformułowanie, przybierające u Prusa kształty plastyczne, a wstrząsające w wykonaniu. W „Placówce“ (1884) przedstawił wybornie, a z wielkiem uczuciem i fantazyą poetycką, anormalność naszych stosunków wiejskich, wśród których pomiędzy sąsiadami z dworu i chaty nie może przyjść do porozumienia, czy to z powodu lekkomyślnego sposobu postępowania jednych, czy nieufności drugich, z czego korzystają żywioły nieprzyjazne w postaci kolonistów niemie-

ckich, zagarniających ziemię i uszczuplających zarobki mieszkańców tubylczych. W „Lalce“ (1891) na szeroko a świetnie odmalowanem tle stosunków mieszczańskich nakreślił postać genialnego odkrywcy, który w skutek warunków nieprzyjaznych i nieszczęśliwej miłości nie może swych wielkich uzdolnień należycie rozwinąć. W „Emancypantkach“ (1894) wyrażając spółczucie dla tych kobiet, co w cichości dokonywają czynów poświęcenia, wychłostał fałszywe, niedojrzałe dążności do „wyzwolenia“, kończące się na frazeologii, awanturach i bylejakiem małżeństwie. W „Faraonie“ (1896) prócz odtworzenia cywilizacyi staroegipskiej, chciał dowodnie wskazać, jak trudną i złożoną jest sztuka rządzenia państwem. — Prus ma dużo dowcipu, ale nie zawsze umie wybrać najstosowniejszy; ma dużo rozumu i jest realistą z przekonania nie tylko w literaturze, ale i w życiu społecznem; trzeźwość prowadzi go niekiedy zadaleko; ratuje go atoli zawsze nieprzebrany zdrój uczucia, ukryty, lecz wiecznie żywy i kryształowej czystości.

Z pomiędzy innych powieściopisarzów, co się w tej dobie rozsławili, prócz wspomnianych już przygodnie, najważniejsi są: *Ignacy Maciejowski (Sewer*, ur. 1839), malujący wybornie stosunki ludowe; *Klemens Szaniawski (Junosza*, ur. 1849 † 1898), kreślący doskonale postaci żydów; *Maryan Gawalewicz* (ur. 1852), biegły w przedstawianiu życia bogatych sfer mieszczańskich; *Wincenty Kosiakiewicz* (ur. ok. 1860), najswobodniej obracający się w światku drobnomieszczańskim i wśród dzieci; *Adam Krechowiecki* (ur. 1850), w przedstawianiu uczuć namiętych nie bez zalet; *Teodor Jeske-Choiński*, więcej publicysta zachowawczy, niż artysta; *Gabryela Śnieżko Zapolska*, realistka lubiąca sceny melodramatyczne; *Marya Rodziewiczówna*, obrabiająca głównie dwa typy: energicznego, skupionego w sobie mężczyzny i miękkiej, poświecającej się kobiety.



A. Głowacki (Prus).

(Z fot. J. Golcz).

Nowella w tej dobie była ulubionym rodzajem literackim. Z autorek i autorów, co się w tej dziedzinie odznaczyli, wspomnieć należy przedewszystkiem *Józefę Sawicką (Ostoję*, ur. 1859), która w malowaniu głębokiego, a hamowanego uczucia sięgała niekiedy wyżyn psychologii i artyzmu; *Stefanię Chłędowską* (1850 † 1884), *Cecylię Walewską* (ur. 1859), trafnie i wiernie przedstawiających istoty zdenerwowane; *Adama Szymańskiego* (ur. 1850), umiejącego bardzo prostymi środkami wywołać rozrzewnienie; *Władysława Łozińskiego* (ur. 1843), który po wielu niezbyt udatnych próbach powieści historycznej i spółczesnej teraz dopiero napisał prawdziwie piękną nowellę p. t. „Madonna busowiska".

XV.

W poezyi nie wszyscy mogli myślą tak poszybować wysoko jak Asnyk i zharmonizować sprzeczności, jakie zachodzić się zdawały między wynikami wiedzy ścisłej, a potrzebami serca i wyobraźni. Stąd w umysłach wrażliwych, a z natury skłonnych do marzenia, powstało zwątpienie o mocy i wartości wielu prawd uważanych za niepożyte, na miejsce których nie umiały one sobie przyswoić innych, nie mniej pola dających do rozwinięcia pomysłów rozległych. Zwątpienie to, w połączeniu z rozważaniem bied i nieszczęść ludzkości i jej cząstek, pogrążały owe umysły w otchłań pessymizmu i wywoływały westchnienia do Nirwany. Te pessymistyczne atoli objawy były i są u nas po większej części wyrazem raczej nastroju, aniżeli głębokiego filozoficznego przeświadczenia; nie zakorzeniły się też one silnie w duszy nie tylko czytelników, ale i samych piewców.

Z rodzajów poetyckich najwięcej i najobficiej była uprawiana liryka, najmniej epika, którą prawie

zupełnie wyparła powieść prozą pisana. Wysubtylizowane i przesiąknięte nawskroś refleksyą uczucia charakteryzują najrozleglejszą część liryki owoczesnej, lubo nie wypełniają jej całkowicie; mieliśmy bowiem i proste piosenki, których największą zaletą — szczerość i naturalność; były i kantaty, w których potężne, pełne uniesienia i zapału opiewano motywy, mogące poruszyć serca ogółu. Wykwintność formy, którą się odznaczały poezye Faleńskiego i Asnyka, stała się teraz niejako obowiązującą dla wszystkich młodszych; a pogoń za rymem rzadkim, za niepowszednią budową wrotki, za wyrazem czy obrazem niezwykłym nieraz tak pochłaniały uwagę twórców, iż zapominali o wlanie w tę prześliczną formę równie pięknej treści.

Epika, od śmierci *Władysława Tarnowskiego* prawie nie istniejąca w poezyi naszej, ożywiła się w tej dobie cokolwiek, a lubo w nader szczupłych zazwyczaj mieściła się kształtach i wobec wielkich dzieł romantycznych przedstawiała się ubożuchno, w każdym jednak razie w porównaniu z bezpośrednio ubiegłą chwilą dziejową na zaznaczenie zasługuje. Były w niej próby (niefortunne co prawda) stworzenia eposu przeddziejowego („Baśń nad baśniami" 1888 *Wojciecha Dzieduszyckiego)*, były powieści historyczne z silnie uwydatnionym pierwiastkiem uczuciowym i fantazyjnym („Kniaziowie Różyńscy" 1888 *Bronisława Komorowskiego*, „Borys" 1893 *Julii Terpiłowskiej)*; były obrazki z życia ludu („Hanka" 1881 *J. S. Wierzbickiego* ur. 1853), były nawet i gawędy *(Włodzimierza Wysockiego* † 1894).

Najwierniejszą, bo najwrażliwszą przedstawicielką smutków, bólów, rozczarowań, wahań społecznych w formie lirycznej stała się w tej dobie *Marya Konopnicka* (ur. 1846). Podobnie jak Asnyk w dobie poprzedniej była ona z początku na rozdrożu pomiędzy romantyzmem a wymaganiami rzeczywistości; to też długo nie mogła przyjść sama z sobą do zgody



Marya Konopnicka

(Z rys. M. Dulębianki; ze zb. Leopolda Meyéta).

wewnętrznej, długo szamotała się pełna niepokoju wśród dręczących ją wątpliwości. Jak Asnyk, tak i Konopnicka zostawała zrazu pod silnym wpływem zarówno nastroju, jak i stylu Słowackiego; stosowała je atoli do opowiadania o rzeczach codziennych, a przynajmniej krążących bardzo blizko ziemi („Romans wiosenny“, „Co pocznie“ i t. p.). To też istniała wewnętrzna wtedy niezgodność między treścią realną, a zbyt wybujałą frazeologią, budząc dość często wrażenie napuszoności, a rzadko wydając utwory pięknie pod względem artystycznym zharmonizowane. Co do nastroju, poetka choć znała wartość energii duchowej i umiała ją niekiedy sławić, choć dawała dużo rozumnych wskazówek dla kobiety zwłaszcza, sama przecież niepewna i drżąca, pełna trwóg i niepokojów nieokreślonych i może tem bardziej dręczących, rzucała w ciszę „pytania namiętne“, nie mogąc ich rozwikłać; albo też pragnęła niecierpliwie pochód myśli ludzkiej przyśpieszyć i usiłowała (oczywiście napróżno) pójść tam, „gdzie tchnienia czas nabiera w biegu, gdzie przestrzeń linie swe rozmierza, gdzie nicość w życie jak piorun uderza.“ Nie zadawalały wówczas jej utwory pod względem myślowym, ale rzetelnie i pięknie odtworzyły to zawichrzenie pojęć i uczuć, jakie wśród społeczeństwa naszego, niewykształconego filozoficznie, miękkiego i podatnego na wszystkie podniety wrażeń i wstrząśnień, rzeczywiście panowało i było przyczyną zwichnięcia wielu czulszych istnień. Świeżość, barwność, wykwint stylu istniały już i w tych początkach twórczości; ale w układzie wielkie zachodziły błędy. Poetka dawała się porywać obfitej wymowie, retorycznie rozwijanej, nie szeregowała i nie streszczała swych rozumowań i wywodów, ale opisywała pomysły, jak się same nasuwały; stąd wynikały powtórzenia, wcale się nie przyczyniające do wywołania rozkoszy estetycznej. Dopiero w drugim zbiorku jej „Poezyj“ (1883) obok nienaturalnych, przesadnych skojarzeń uczuciowych,

znajdują się liryki prawdziwe, tchnące prostotą i smutkiem, a wzięte z melodyj ludowych.

Z dość licznej gromady innych liryków cele społeczne ukochali całą duszą: *Bolesław Czerwieński* (1852 † 1888), *Jan Kasprowicz* (ur. 1860), *Julian Adolf Święcicki* (ur. 1850), *Antoni Pilecki* (ur. 1853), *Marya Bartusówna* († 1885). Nie zrzekali się ich, lecz woleli przebywać w sferze artystycznej, o wytworność słowa dbając nadzwyczajnie: *Wiktor Gomulicki* (ur. 1851), *Włodzimierz Stebelski* (1848 † 1891), *Czesław Jankowski* (ur. 1857), *Franciszek Henryk Nowicki* (ur. 1864), *Artur Oppman (Or-ot*, ur. 1867).

XVI.

W dramacie tej doby widzimy usilne starania o utworzenie tragedyi historycznej. Prócz wzmiankowanych już poprzednio przy charakterystyce twórczości Faleńskiego i Asnyka znajdujemy mnóstwo innych prac, w których już to poetycznie, trochę na wzór Słowackiego (*Bronisław Komorowski*, *Paulin Święcicki* † 1876, *Władysław Książek* cz. *Julian Łętowski* 1857 † 1897, *Karol Brzozowski* ur. 1823), już realistycznie, zbliżając się bardziej do trybu tworzenia Korzeniowskiego, Szujskiego, a przedewszystkiem Romanowskiego, *Adam Bełcikowski* ur. 1839, *Wincenty Rapacki* ur. 1840, *Józef Wojciechowski* † 1871, *Bronisław Grabowski* ur. 1841, *Józef Kościelski* ur. 1845, *Franciszek Lasocki* ur. 1845 roku i wielu innych)—usiłowano odtworzyć wielkie starcia lub wielkie osobistości dziejowe, głównie polskie, lecz bez wyłączania ogólno słowiańskich lub europejskich. Kilka z tych dzieł („Mieczysław II", „Bolesław Śmiały" Bełcikowskiego, „Wit Stwosz" Rapackiego) uznała

A kiedy czasu słońca nie staje,
Co kwiaty życia barwami ogniście
Zamro się kończą łąki i gaje,
Ono przez marzeń porozwijanych kraje
Idzie, mając liście.

I gdy się zamyka róża w wrzesieni
I lilja świecąca dzwonami srebrzyście
Ono odchodzi w krainę cieni
Z skargą tak cichą, jak gdy w jesieni
Skarżą się liście.

M. K.

Autograf M. Konopnickiej.

krytyka za trafne i prawdziwe odtworzenia dramatyczne wizerunków przeszłości z ich barwą właściwą, ale trwalszego powodzenia na scenie nie osiągnęły i one. To też zapał początkowy, w tym kierunku rozbudzony, słabł z wolna i już tylko tu i owdzie potem ukazywały się nowe próby *Pauliny Moers Tuszewskiej*, *Kazimierza Glińskiego* (ur. 1850), *Stanisława Gabryela Kozłowskiego*, *Jana Gadomskiego* (ur. 1859), *Józefata Nowińskiego* (ur. 1863). Zajęto się społecznością i zaczęto w komedyach, coraz posępniejszych i prawie całkiem podobnych do dramatów obrabiać ważne zagadnienia, moralne, socyalne lub filozoficzne.

Naoryginalniejszym w tej gałęzi literackiej twórcą jest *Aleksander Świętochowski* (ur. 1849). Lubo był, jak wiemy, najświetniejszym publicystą obozu postępowego; lubo odczuwał, rozumiał wszystkie drgnienia społeczne i przyczyniał się dzielnie do ich uświadomienia, nigdy przecież nie żywił zapału dla naturalizmu a nawet dla realizmu w sztuce. W czasie największego natężenia tego prądu artystycznego starał się wprawdzie w swoich nowellach „O życie“ o nakreślenie osób wziętych wprost z otoczenia, o nadanie im nawet mowy odrębnej, znamionującej ich temperament i stopień ogłady; rychło jednak porzucił te chwilowe zabiegi, niezgodne z jego wysoce wyrobionym indywidualizmem i całkiem się oddał właściwemu sobie, wykwintnemu sposobowi tworzenia. Miał on coś wspólnego i z Wolterem i z Wiktorem Hugo, a z góry patrząc na drobiazgi bytu powszedniego, zwracał, podobnie jak Żmichowska, głównie uwagę na życie wewnętrzne duszy, na jej wzloty i upadki, na jej stosunek do wszechświata, a w szczególności do zagadnień filozoficznych i powszechnych stosunków ludzkich. Posługiwał się nieraz allegoryą i symbolem, lecz jasny jego rozum nie pozwolił mu nigdy popaść w mglistość; styl zaś idealnie zwięzły, a jednak zupełnie wolny od suchości, „lśniący jak

mozajka", obfity w dziwne napozór, lecz uprawnione i myślą przesiąkłe zestawienia wyrazów, staranny, jak mało u którego z pisarzów, pod względem języka przeczysty, dawał mu możność wyrażania pomysłów swoich, niezwykłych po większej części, w sposób subtelny a świeży. Wyświetlenie pewnej idei więcej dla niego znaczyło, niż plastyczne odtworzenie jakiegoś charakteru, a tembardziej stosunków towarzyskich. Panującym u niego przedstawicielem ukształconej ludzkości jest człowiek rozumujący, dowcipny aż do rozkrwawienia ran serca własnego, zręczny dyalektyk, przemawiający abstrakcyami, zamienionemi w obrazy, sprytny i przebiegły w myślach, mniej zdolny do czynu, drażliwy, nerwowy, pessymista i cynik potrochu. W wiekszej części opowiadań i dramatów Świętochowskiego idzie o swobodę, o niezależność osobistą, której grożą jakieś nieprzyjazne potęgi, czy zuchwałego magnata, czy opinii publicznej, czy współzawodnictwa, czy fałszu społecznego i splotu interesów. W rozwoju poglądów swoich przeszedł Świętochowski tęż samą drogę, co Orzeszkowa i Konopnicka, tylko oczywiście zupełnie po swojemu. Jako stanowczy determinista, w pierwszym swoim dramacie „Niewinni" (1876) wykazywał skrępowanie woli naszej czynnikami zewnętrznymi i wewnętrznymi; w ostatnim z ogłoszonych: „Duchy" (1895) przedstawiającym rozwój pojęć moralnych i obyczajowych wśród ludzkości, uwielbił zasadę ofiary i poświęcenia; rozbujałemu indywidualizmowi nałożył hamulec dobrowolnie przyjętego i spełnianego obowiązku. Zbiór P„ism" Świętochowskiego (nowel i dramatów) wyszedł w Krakowie w 7 tomach 1895—1900.

Inni autorowie dramatyczni prawie wyłącznie trzymali się ziemi, rzeczywistości, poruszali zagadnienia moralne i społeczne, lecz w dziedzinę wyższych filozoficznych poglądów nie zaglądali. Najpłodniejsi z nich: *Kazimierz Zalewski* (ur. 1848) i *Edward Lubowski* (ur. 1839), jeden celujący umiejętnem prowa-



(Z fotogr. W. Twardzickiego).

dzeniem intrygi i biegłością w użytkowaniu efektów scenicznych, drugi — siłą charakterystyki, wzbogacili i wzbogacają teatra nasze zarówno komedyami społecznemi jak krotochwilami, najprzód pod wpływem francuskim, potem pod niemieckim i skandynawskim. W języku i stylu ich mało jest swojskości, a wśród postaci przeważają figury mniej więcej kosmopolitycznego mieszczaństwa. Toż powiedzieć należy o posępnych komedyach *Stanisława Graybnera*. *Zygmunt Sarnecki* (ur. 1837), *Zygmunt Przybylski* (ur. 1856), lubo z mniejszym talentem, bardziej swojskością tchnące pisali sztuki.

Najbardziej polskim komedyopisarzem tej doby był niewątpliwie *Józef Bliziński* (1827 † 1893). Żart dobroduszny, nieraz dosadny i rażący wydelikacone salonowe ucho, wesołość szczera, do szerokiego uśmiechu znaglająca, zmysł praktyczny, lecz nie zacieśniający znaczenia praktyczności do miałkich i płytkich stosunków życia codziennego, te cechy dawnego naszego usposobienia, silnie się w nim skupiły. Zawdzięczał je swemu szlacheckiemu pochodzeniu i swemu bardzo długiemu pobytowi na wsi, gdzie wierniej i trwalej niż w mieście przechowują się znamiona rodzime. Nie odrazu talent jego zajaśniał w całej pełni; owszem Bliziński przechodził dłuższą niż inni drogę stopniowego udoskonalenia od „Imienin" (1860) do „Pana Damazego" (1877). Bliziński wyjątkowo tylko występował w roli surowego sędziego („Chwast" 1893), z goryczą patrzącego na zdrożności ludzkie i mającego na ustach wciąż słowa cierpkiej nagany; przeciwnie z uśmiechem łagodnej, wyrozumiałej ironii przypatrywał się temu małemu światkowi szlacheckiemu, w którym są wpawdzie liczne słabostki, spotykają się nawet zgubne wady, dużo łatwowierności, niewiele wykształcenia, lecz serc przewrotnych i z gruntu zepsutych —mało. Werwa komiczna przejawia się u niego, jak u plastyków zazwyczaj bywa, nie tyle w słowach

ile w sytuacyach; lecz i dowcipu słownego jest dużo, a język piękny, czysty, szczeropolski, bo Bliziński znał gruntownie i kochał gorąco mowę ojczystą, broniąc ją przeciw barbarzyńskim oszpeceniom.

XVII.

Krytyka literacka i artystyczna i w tej dobie, posługując się mniej lub więcej metodą Taine'a, czasem nawet nieświadcmie jej ulegając, szukała *przedmiotowych* podstaw do zrozumienia i oceny dzieł. Nie polegajac na wrażeniach tylko osobistych, na poczuciu artystycznem, nie wyprowadzając utworu wpros2 jeno z ducha twórcy, jakoby niczem nie skrępowanego, lecz śledząc jego powstawanie w przyrodzonych usposobieniach narodu, w warunkach czasu i miejsca, *Bronisław Chlebowski* (ur. 1846), *Antoni Gustaw Bem* (ur. 1848), *Henryk Biegeleisen* (ur. 1855), *Józef Tretiak* (ur. 1841) i inni w tym duchu pracowali. *Stanisław Witkiewicz* (ur. 1848), *Antoni Sygietyński* (ur. 1850), uznając zasadę przedmiotowości w badaniu i ocenie, kładli większy nacisk na samą indywidualność twórcy. *Władysław Bogusławski* (ur. 1838), *Józef Tokarzewicz (Hodi*, ur. 1842) przeważnie na wrażeniu osobistem oceny swe opierali. Nie wdając się w uogólnienia historyozoficzne, zastosował ścisłą metodę krytyczną w badaniach *Roman Pilat* (ur. 1846), a następnie niestrudzony *Aleksander Brückner* (ur. 1856).

Nie ci jednak krytycy największy w tych czasach osiągnęli rozgłos, lecz dwaj, w poglądach filozoficznych i w metodzie odmienni pisarze, mający jednak pewne wspólne cechy we względzie politycznym i w sposobie podawania swych ocen, gdyż obok

celów estetycznych, mieli zawsze ubocznie jakąś dążność do przeprowadzenia. Byli to: *Stanisław Tarnowski*, jeden z autorów „Teki Stańczyka”, i *Włodzimierz Spasowicz* (ur. 1828), biograf i apologeta Aleksandra Wielopolskiego. Pierwszy, bezwględny wielbiciel Juliana Klaczki, obdarzony subtelnem poczuciem piękna, władający z natury stylem żywym i obrazowym', celował jako mówca zachwycający pięknem oddaniem wrażeń, odniesionych przy czytaniu dzieła, i drugi, adwokat z zawodu, ale także wykształcony estetycznie, głównie zajmował umysły rozbiorem idei i jej odpowiedniości lub nieodpowiedniości względem potrzeb społeczeństwa, jakie za istotne uważał. Obaj lubili tak zestawiać dowody, żeby się nadawały do uzasadnienia myśli z góry powziętej; obaj zabarwiali swe oceny dążnością polityczną.

---

3. Doba trzecia.

Uroszczenia indywidualizmu.

XVIII.

W literaturze pięknej objawiają się już bardzo znamiennie nie tylko usiłowania, ale poważne wyniki opozycyi względem realizmu artystycznego.

W dążeniach tych, lubo nader odmiennych co do szczegółów, widnieje zasadnicza idea: indywidualizmu i w życiu i w tworzeniu. Itea ta, przypominająca tak silnie okres świetności w ruchu romantycznym, różni się w zastosowaniu: dawniej przygłuszały ją cele gromadne, działanie dla mas i przez masy; teraz ukazują się wysiłki wyzwolenia jednostki zarówno od ciążenia na nie „tłumu“, jako też od

obowiązków dla niego. Dwie tu wyróżnić potrzeba strony: całkiem uprawnioną i samowolną.

Teorye naukowe, wykazujące setki wpływów na umysł każdego człowieka; rozbiory krytyczne, wydobywające na jaw źródła najoryginalniejszych napozór natchnień poetów, tak zdawały się usuwać myśl o samodzielności jednostki, nawet genialnej, że w duszach nadwrażliwych i temperamentach gorączkowych mogły wzniecić obawę, iżby indywidualność nie rozpłynęła się w oceanie społecznym jak drobna, ledwie dostrzegalna kropelka. A dalej, zwyczaje towarzyskie, popędem naśladowczym kierowane, często bezmyślne, narzucały jednostce nie tylko sposób ubierania się i zachowywania wśród ogółu, lecz także sposób myślenia i czucia, albo, mówiąc ściślej, formy, w jakich uczucia i myśli uzewnętrzniać się w towarzystwie powinny. Stronnictwa polityczne, wymagające sfornego działania dla osiągnięcia pewnych, często nader drobnych zwycięstw; dążności społeczne wreszcie, nakazujące poświęcać swoje upodobania a częstokroć i poglądy, na rzecz dobra powszechnego i zalecające nie wyodrębnianie, lecz łączenie się we wspólnej pracy, zdawały się również nastawać na prawa swobodnego rozwoju jednostkowego.

Gdy wykazane tu czynniki połączyły się z wystudzeniem secr pod hasłem „trzeźwości," z dominującem poczuciem niemocy rozwiązania wielkich zagadnień bytu, z osłabieniem woli pod wpływem doktryn fatalistycznych, płynących z krańcowego a płytkiego pojmowania zasady przyczynowości, ze zwątpieniem filozoficznem o celowem urządzeniu wszechświata, z bardzo wreszcie naturalną u ludzi, a zwłaszcza u młodzieży żądzą użycia bez dźwigania ciężaru obowiązków: — podniosła się powrotna fala subjektywizmu i indywidualizmu, tak silnie bijąca w okresie romantycznym, lubo się z odmiennych składała pierwiastków; teraz bowiem żywioł zmysłowości, niczem

nieraz nieosłoniętej, w dziwnem pomieszaniu z zawrotnym mistycyzmem, nie tyle może szczerym, ile upajającym, jaskrawo się uwydatnił, przypominając tem nie naszą, lecz niemiecką, a po części francuską romantykę.

Indywidualiści krańcowi, jakim był w Niemczech niegdyś (między r. 1840—50) Max Stirner, a w naszych czasach Fryderyk Nietzsche († 1900), utrzymują, że dla jednostki świadomej siebie i wyrobionej, jedynem prawidłem postępowania pod jakimkolwiek względem powinna być własna tylko jaźń, usiłująca zrzucić z siebie wszelkie pęta, pozbyć się wszelkich wpływów, wydalić ze swego wnętrza obce naleciałości, ażeby zajaśnieć w całej prawdzie i szczerości, w całym blasku i potędze „nagiej duszy". Moralnem i niemoralnem, dobrem i złem, pięknem i brzydkiem, prawdą i fałszem dla jednostki takiej ma się stać to wyłącznie, co ona sama, bez względu na wszelkie prawa, zasady i przepisy, za takie uzna, gdyż kierując się tem, co „przeciętnie" w społeczeństwie za moralność, dobro, piękno i prawdę uchodzi, naraża się jednostka uświadomiona na bolesne ze sobą starcia, co więcej, na skrzywienie, na „okaleczenie"; — albo też upodobnia się do całego szarego tłumu ze szkodą dla wielkiego celu czy to udoskonalenia ludzkości, czy też dla osobistego szczęścia. Nie jednostka wyrobiona ma się stosować do nawpół uświadomionego „niewolniczego" tłumu, lecz przeciwnie tłum brać powinien, jeżeli zdoła, wzór i przykład postępowania z wyborowej jednostki, nie w tem naturalnie znaczeniu, żeby ją miał ślepo naśladować, ale żeby dążył, jak ona, do wytworzenia wśród siebie jak największej liczby samodzielnie myślących, czujących i działających osobistości.

Niewątpliwie, nawoływanie do samodzielności nie tylko nie jest złem, ale owszem zasługuje na jaknajwiększe uznanie i upowszechnienie. Wychowawcy i publicyści wspólnie w tym kierunku dzia-

łać powinni, ażeby wytworzyć jak najwięcej jednostek myślących, czujących i postępujących samoistnie, bo społeczeństwa, pragnące rozwijać się prawidłowo, ku udoskonaleniu potrzebują nie małp i papug, ale obywateli oświeconych, rozumiejących swoje prawa i spełniających swoje obowiązki ze świadomością ich znaczenia i z głębokiem przekonaniem o ich potrzebie. Będzie to owo „stworzenie się człowieka przez samego siebie", o którem marzył Hoene-Wroński.

Rozumiemy więc i uznajemy powody, wyłuszczone przez *Zenona Przesmyckiego (Miriama*, ur. 1861), gdy mówi o niedawnym ruchu poetyckim w Belgii: „Ciasnota i pospolitość horyzontów życia publicznego; banalność pojęć, wyobrażeń i tendencyj względnie nieoświeconej demokracyi wieku dzisiejszego; jasny do zrozumienia, wrogi nastrój tejże demokracyi względem każdej rzeczy nowej, która nad inne pod strychulcem równości ugięte głowy wznieść się ośmiela; opasły, handlarski materyalizm pragnień i dążeń społeczeństwa; wszystko to mogło tylko odstraszająco działać na pierwszych pionierów poezyi na niegościnnym gruncie belgijskim, skłaniać ich do zamknięcia się w sobie, do oddzielenia się murem nieprzebytym od *profanum vulgus* (niepoświęconego tłumu), do szukania czegoś nowego, niezużytego, świeżego, oryginalnego, ukrytego w najdalszych dusz zakątkach, wyższego ponad codzienne interesa, tendencye i dążenia, do chłonięcia wreszcie całą piersią, całą duszą, dochodzących z poblizkiego Paryża dźwięcznych i dla nich zwłaszcza ponętnych ech nowej ewangelii sztuki, zawartej w teoryach i dziełach wielkich mistrzów francuskich".

Każdy umysł subtelniejszy czuje się wśród ciasnoty pojęć i stosunków jakby nieswoim i pragnie wyjrzeć po za nią. Motyw zatem szukania czegoś nowego i świeżego zasługuje na całkowite uznanie. Ale zwrócenie się do wzorów francuskich, wykazuje

zarąz przykładowo, że nie tak to łatwo dzisiaj zdobywa się samodzielność prawdziwą.

Kto ma talent rzeczywisty, a chce w nim stanąć na stopniu doskonałości, ten musi poznać i to poznać dobrze, co i jak przed nim już zrobiono, ażeby nie powtarzał rzeczy dawno już i może lepiej dokonanych. Jeżeli, zmierzywszy się z olbrzymami myśli i fantazyi, będzie miał odwagę, z całą sumiennością wobec siebie, wierzyć, iż zrobi coś doskonalej, niż oni, niech próbuje szczęścia, a wówczas może istotnie wywrze wpływ silny na swój czas i na swe otoczenie, może dorzucić jeden promyk więcej do blasków wiedzy lub sztuki. Geniusze pojawiają się rzadko wśród ludzkości. Nie są one słońcami, czy gwiazdami stałemi, coby nam przyświecały ciągle; są to raczej meteory, jaskrawem światłem przerzynające atmosferę i niknące niebawem. Pozostaje po nich spadek duchowy, spożytkowywany nieraz bardzo długo przez talenta i pomniejsze zdolności; stąd rodzą się wzory i ich naśladowania.

Można oczywiście i w szczuplejszym zakresie zachować swą samoistność, nie współzawodnicząc z geniuszami. Ale wówczas nie wolno, bez narażenia się na zarzut zarozumiałości, wykrzykiwać, że się jest oryginalnym, że się tylko czerpie z wnętrza własnej „nagiej duszy,” niekiedy zgoła nieciekawej. Bo jak się często łudzimy w ocenie swego charakteru, biorąc naprzykład upór za dzielność woli; tak jeszcze bardziej łudzimy się w ocenie naszych uzdolnień, biorąc mętne rojenia za genialne pomysły, paradoksy dowcipne za prawdy niewątpliwe, talent frazeologiczny za obfitość nowych pojęć i ich połączeń. Przeniknięci takiem złudzeniem, zaczynamy pomiatać wszystkiem i wszystkimi, bo się nam wydaje, że my w jednej godzinie potrafimy wygłosić więcej świeżych, oryginalnych i doniosłych myśli, aniżeli pokolenie poprzednie wygłosiło ich przez całe życie swoje.

XX.

Ponieważ nasi indywidualiści prawią o swej oryginalności, o odkryciu nowego świata duszy i nowej sztuki, musimy tu z naciskiem zaznaczyć, że jak dotychczas, prócz stylu, nie przynieśli ani pod względem treści, ani pod względem formy nic takiego, czegoby nie było już w literaturze francuskiej, belgijskiej, angielskiej, niemieckiej, duńsko-norweskiej, szwedzkiej, rosyjskiej.

Wpływ poezyi francuskiej na naszą w tej dobie można określić słowami, jakiemi *Miriam*, najrozumniejszy teoretyk nowych prądów, scharakteryzował pożyczki wzięte od Francuzów przez młodą Belgię. U Flauberta i braci Goncourt znajdowali twierdzenie, że sztuka powinna być arystokratyczną, a więc nie ubiegać się o poklask tłumów, że powinna być „ezoteryczną,” t. j. dostępną jedynie dla wtajemniczonych. Od Parnasistów uczyli się nadmiernie wysokiego cenienia formy, ekspresyi, harmonii w rytmach, bogactwa i rzadkości w rymach. U Baudelaire'a odnajdywali pogardę dla banalności i pobudkę do pogoni za nowością, egzotycznością i — ostatecznie — za sztucznością. U Verlaine'a i Mallarmé'go, uznanych za wodzów symbolizmu, widzieli odsunięcie idei wgłąb, a położenie głównego nacisku już to na „nastrój,” już to na suggestyę posiłkującą się zestawianiem nie zdań, lecz słów, które winny były budzić w duszy słuchacza pewne określone obrazy i wrażenia. Dodałbym jeszcze do tego spisu, że nasi indywidualiści od Haraucourt'a przejęli wyrażenie: „naga dusza;” od Huysmans'a—zamiłowanie w samodręczycielstwie; od Barbey'a d'Aurevilly—okropne sceny zmysłowości wyuzdanej; od Maeterlincka—niejasność symboliki.

Z literatury angielskiej, a mianowicie od genialnego fantasty, Edgara Poë, wzięli upodobanie w malowaniu sennych scen, przerażających grozą. Od

Nietzschego i Ibsena razem nauczyli się wystawiać swoją jednostkowość, jako zawrotną przepaść niezgłębionych tajemnic, jako państwo udzielne, w którem każde indywiduum ma za najpierwszy i najświętszy obowiązek—obowiązek względem siebie samego, żeby mogło w całej pełni używać życia, bez względu na ogół, odtąd pomiatany jako „niewolniczy." Od Garborga zapożyczyli pojęcie i objawy zdenerwowanych, „znużonych" dusz. Od Strindberga nauczyli się rozważać stosunek płciowy jako wyraz olbrzymiej walki, toczącej się ze szkodą mężczyzny, od czasu zjawienia się ludzi na ziemi. Od Tołstoja przejęli silną przymieszkę realizmu w rozważaniu stosunków płciowych, jako też wzgardę dla współczesnej cywilizacyi; od Garszyna—pojęcie o niemożności odczuwania szczęścia.

Czy w poezyi ojczystej nie mieli wcale wzorów i przewodników? Owszem, indywidualiści za patrona swego poczytują Słowackiego, a za ogniwo pośrednie między sobą a nim—Faleńskiego i Asnyka; Cypryan Norwid jest im, zdaje się, nieznany. Od tych atoli ojczystych poetów przejęli głównie dbałość o barwny język, staranność o wytworną formę wiersza, trochę panteizmu i pessymizmu, wreszcie jakby swojskie przeczucie „nad-człowieka" Nietzschego w Królu-Duchu.

XXI.

Nie odrazu oczywiście i nie u wszystkich zwolenników zasada indywidualistyczna tak się przedstawiła, jak ją tu określić się starałem. Pojawił się najprzód wzmożony pesymizm, tak silny i wymowny, jak nigdy przedtem, w twórczości *Kazimierza Tetmajera* (ur. 1865), olśniewającego przepychem swego ję-

zyka i stylu. U niego najmniej podobno przemawiały wpływy zagraniczne. Język i wiersz wyrobił na Słowackim i Asnyku, głębokie odczucie natury dała mu tęsknota do miejsc rodzinnych pod Tatrami, pessymizm i tak już unoszący się w powietrzu świata cywilizowanego, spotęgowało w nim mierzchnienie idei mesyanicznej, której, studentem będąc, był zapalonym wyznawcą, zmysłowość wreszcie jaskrawą winien swemu temperamentowi. Jeżeli były oddziaływania zagraniczne, to przeważnie za pośrednictwem tłomaczeń i rozpraw literackich. Uwidoczniły się one głównie w jego próbach dramatycznych, a mianowicie w „Sfinksie," który powstał przez naśladowanie Maeterlincka, z wyłączeniem jednak jego wydwarzająco prostych dyalogów. Celów społecznych nie zarzekał się on i nie zarzeka dotychczas.

Rozpowszechnicielem hasła „sztuki czystej" był w tej dobie *Zenon Przesmycki Miriam*, poświęcający swój talent przeważnie przyswajaniu nowych utworów obcych (Vrchlickiego, Zeyera, Maeterlincka, Verlaine'a itd.). W założonym przez siebie organie literackim „Życie," wydawanym od r. 1887 w Warszawie, pozwalał on swobodnie wypowiadać się najrozmaitszym poglądom społecznym, byleby tylko same twory czyniły zadość warunkom istotnego piękna; krańcowości jeszcze tam nie dopuszczał. Dopiero pobyt w Paryżu i rozpatrzenie się szczegółowe w twórczości symbolistów i dekadentów naprowadziły go na dziwaczny paradoks, iż należy odebrać myśli przodkujący w dziele sztuki charakter, czyli inaczej mówiąc, „wyzwolić język z pod supremacyi myśli," tak, żeby wyrazy „otrzymywały życie własne, tajemnicze, duchowe."—W swojej atoli twórczości Miriam zgoła się tej zasady nie trzymał. Dbał on wielce o czystą, poprawną, wytworną formę językową i wierszową, lecz zapełniał ją treścią, niekiedy bardzo głęboką i dobrze przemyślaną; właśnie te refleksyjne, a wciąż pełne myśli utwory jego należą do najlepszych, bo

w wyrażeniu uczuć, mianowicie jednostkowych, talentu wielkiego nie okazał.

Nie można wogóle pomyśleć nawet, żeby owa zasada zniesienia supremacyi myśli mogła kiedykolwiek znaleźć całkowite zastosowanie; powstałyby bowiem wówczas szeregi wyrazów, mających każdy zosobna swoje właściwe „duchowe" znaczenie, ale nie dających w związku z sobą żadnego sensu, żadnego logicznie pomyślanego zdania, lecz za to brzmiących dźwięcznie, ukladających się w pewne oryginalne melodye. Nawet najwięksi młodzi wirtuozowie formy, jak *Antoni Lange* (ur. 1863), z równem ukochaniem i z jednaką doskonałością oddający najrozmaitsze nastroje i jakby szukający w tem chluby, że mogą czuć i odtwarzać dwa sobie wprost przeciwne usposobienia, grzeszą czasem niejasnością, mglistem symbolizowaniem i allegoryzowaniem, ale nie wyzwalają języka poezyi z pod supremacyi myśli.

XXII.

Inny natomiast czynnik, również przez Miriama teoretycznie uzasadniony, mianowicie zagarnięcie w obręb twórczości artystycznej nieświadomych stanów duszy, znalazł rozległe i u nas zastosowanie. Na zasadę, wyrażoną przez Miriama zgodzić się można w zupełności. „Mistycyzm dzisiejszy w sztuce—mówi on—stracił dawny, ascetyczny, religijny, odrywający się od ziemi charakter i stał się naukowym raczej. Pojęto, tym razem wyraźniej już, nie przeczuciowo jedynie, że nieskończoność, ku której wiekuiste, nieukojone wloką nas tęsknoty, nie kryje się gdzieś po za granicą świata zmysłowego, w niebiosach, lecz stanowi istotę wewnętrzną świata całego, człowieka każdego, zjawiska najdrobniejszego, istotę,

kryjącą się pod powloką efemerycznych, przejściowych form i postaci, i przezierającą niekiedy na zewnątrz w tych właśnie objawach, dla których ludzie żadnego nie mogą znaleźć wytłomaczenia. Pojęto dalej, że jeśli, z jednej strony, doktryna naturalizmu, mająca na oku jedynie podległą zmysłom rzeczywistość, łudzi się, sądząc, iż dąży do prawdy; to z drugiej, mistycyzm, odbiegający zupełnie od świata zewnętrznego, naprzód traci również możność należytego ogarnięcia całości i osiągnięcia możliwej wszechstronności; powtóre sam sobie odbiera zrozumiałość i dostępność, mówiąc abstrakcyjnie, lub za pomocą sztucznych symbolów o tej istocie rzeczy, która najczęściej w ramach form zmysłowych nam się jawi i którą dogodniej byłoby obserwować w tych właśnie, chociaż niezrozumiałych nam, ale jak świetlne promienie przez szczeliny musu ograniczoności zmysłowej przenikających przejawach; potrzecie wreszcie, że człowiek, zawierzając wyłącznie i zupełnie abstrakcyom, dochodzi częstokroć do próżnego fantazyowania. Zrozumiano jednem słowem, iż jak w życiu nie mamy możności przyjrzeć się wewnętrznej, nieskończonej świata i człowieka istocie, i musimy zadowolić się tymi oślepiającymi oko przebłyskami, które rozdzierają od czasu do czasu szare tło zmysłowej rzeczywistości; tak też i w poezyi można tylko w ramy rzeczywistych i odpowiednich szczegółów zmysłowych oprawiać perspektywy nieskończoności, specyalnemi dotknięciami pędzla poetyckiego markować te ostatnie, kazać się ich domyślać duchowi zdolnego do marzenia czytelnika—i tu i owdzie tylko fosforycznym błyskiem drogę ku głębiom ukrytym rozświetlać..."

Chociaż ciężko i zawile, lecz wogóle trafnie napiętnowano tu zgubną wyłączność naturalizmu i abstrakcyjnego mistycyzmu; jeden tylko, ale bardzo ważny szczegół nie został rozjaśniony: czy poeta, który sam nie rozumie istoty zjawisk dziwnych i tajemni-

czych, może dotknięciami pędzla swego uwydatniać perspektywy nieskończoności, czy może fosforycznym błyskiem rozświetlać drogę ku głębiom ukrytym? Zdaje mi się, że ten tylko wskazać zdoła drogę innym, kto ją zna sam; że odkrywanie perspektyw nieskończoności może być dziełem umysłu ogarniającego te perspektywy i umiejącego ustawić w nich szczegóły znamienne, które pomogą czytelnikowi do zoryentowania się. Zarozumiałość gotowa utrzymywać, że poeta jest „absolutem," jest Bogiem, nie potrzebującym nic badać, nad niczem się zastanawiać, gdyż twórczem słowem swojem wyprowadza światy całe z nicości, a więc nic dla niego tajemnicą być nie może; ale kto rozważnie i bez uniesienia czyta wyrazy takie, uśmiechnąć tylko musi z podobnych uroszczeń bezbrzeżnych a bezpodstawnych.

W skromniejszych tedy granicach utrzymując zakres twórczości artystycznej i wyrażając się poprostu, owa dążność do uduchowienia poezyi, do otwarcia dla niej dziedziny mało dotąd przez artystów zwiedzanej, ale przez naukę już nieco rozjaśnionej, powiedzieć można, iż poeci i powieściopisarze nowsi, idąc w ślady wyjątkowych twórców z czasów dawniejszych (u nas Malczewski, Słowacki, Sztyrmer, Żmichowska, Faleński, Asnyk, Świętochowski), zarzucili szczegółowe opisy strony zewnętrznej życia, a wprowadzili w większej niż kiedykolwiek mierze usposobienia, nastroje, sny, widzenia duszy subtelnej, zdenerwowanej, a z jakąś zaciętością krwiożerczą rozpatrującej się w swoich słabościach, udręczeniach i upadkach. Prostota, szczerość, naiwność, bezpośredniość, wylewność uczuć zanika, a ich miejsce zajmuje rozbiór niespokojnych, drżących jak „ptak spłoszony" stanów duszy, dających rzadko rozkosz, a najczęściej okropną męczarnię. Najnowsi poeci i powieściopisarze nie cierpią całkowitych uczuć, całkowitych wrażeń, całkowitych krajobrazów, jakiś za-

kątek utajony serca, jakieś przelotne wzruszenie, jakiś błysk światła, jakaś dziwnie nachylona gałązka czy źdźbło trawy, jakieś „ręce łkające“ mogą wprawić czytelnika w taki stan duszy, który się wyda poetycznym i godnym uwiecznienia. Takie stany duszy, nazwane „nastrojami,“ można i potrzeba opiewać, bo tym sposobem wnosi się nowy żywioł w stężałe formy twórczości poetyckiej, daje się treści urozmaicenie, a kształtom zewnętrznym możność odmalowania najsubtelniejszych, najdelikatniejszych, przemijających uczuć i wrażeń—za pomocą dźwięków.

Można w tem widzieć niejakie podobieństwo do dążności, jaka od lat już bardzo wielu panuje w nauce. Rozspecyalizowanie się badań, drobiazgowe poszukiwania i obserwacye najniższych na skali istnień żyjątek, zastanawianie się nad faktami i faktcikami dziejowymi choćby najmniejszego znaczenia, stały się hasłem umiejętności i sprawiły, że częstokroć taki specyalista tracił niemal z oczu całość, nie tylko już nauki wogóle, ale nawet pewnej jej gałęzi, a zatapiał się w śluzie jakiego wymoczka przyrodniczego czy historycznego. Poezya—jak zwykle w nowszych czasach—nieco później poszła za przykładem umiejętności, i upędzając się za odtwarzaniem drobiazgowych wzruszeń, spostrzeżeń, załamów światła w przyrodzie i w duszy, zapominała o wielkich uczuciach i ideach, a nie umiała odnaleźć w człowieku tego, co jest trwałem i całkowitem. Ani nauce, ani poezyi nie można odmówić prawa do zaciekań szczegółowych; owszem, uznać potrzeba, że na tej drodze badań drobiazgowych dokonano mnóstwa rzeczy ważnych i pięknych; ale zarówno nauce jak poezyi przypominać wolno, że świat i człowiek składa się wprawdzie z miliardów atomów, stanowi przecie, dla nas przynajmniej, jakąś całość. Dzisiejszy stan dusz, na atomy sproszkowanych, wstrząśnieniami ustawicznemi targanych, wciąż w refleksyi pogrążonych, nie-

zdolnych niemal do odczucia szczęścia, nazwano „modernizmem;“ a poezya i powieściopisarstwo malowaniem dusz takich się zajęły.

XXIII.

Poetów mamy obecnie taką ilość, jak może jej nie było za najświetniejszych czasów romantyzmu. Prawie wszyscy oni władają formą znakomicie, lecz nie wszyscy dobrym i poprawnym piszą językiem. Wielu z pomiędzy nich, przyglądając się pilnie drgnięciom własnej duszy, nie spostrzega, że jeżeli ona jest dla nich wszechświatem, to czytelnicy niezawsze dojrzeć go w niej mogą, choćby atom wart był rozpoznania i ukochania. O takich atoli nie ma co tu wspominać. Pomiędzy wirtuozów słowa, celujących w wypowiadaniu raczej myśli, refleksyj niż uczuć, myśli nieraz głębokich, policzyć należy *Lucyana Rydla* (ur. 1870), *Jerzego Żuławskiego* (ur. 1873), *Ludwika Szczepańskiego* (ur. 1872), *Zdzisława Dębickiego* (ur. 1871). I w ich utworach nie jest pomijana strona społeczna, zwłaszcza o ile z psychologicznemi zagadkami się łączy; ale uwydatnia się ona szczególniej w energicznych, młodzieńczą rzeźwością tętniących poezyach *Andrzeja Niemojewskiego* (ur. 1864), w subtelnych, tęsknotą owianych pieśniach *Adama M-skiego*, *Franciszki Arnsztajnowej* (ur. 1865), w ponurą grozą huczących pomysłach *Gustawa Daniłowskiego* (ur. 1871), w zadumanych nad dolą ludów rozważaniach *Jana Nitowskiego* (ur. 1859), w wypracowanych wierszach *Ignacego Balińskiego* (ur. 1862), w uczuciowych wzlotach splątanych nieco *Józefy Cybulskiej* (*Szczęsnej*, ur. 1863). Rozmaite „nastroje,“ głównie pod wpływem wrażeń od przyrody odbieranych, wy-

rażali mniej lub więcej pięknie: *Wacław Wolski* (ur. 1866), *Władysław Bukowiński* (ur. 1871), *Edward Słoński* (ur. 1872), *Sterling Władysław* (ur. 1876) i *Kazimierz, Bogusław Butrymowicz, Franciszek Mirandolla, Józef Jedlicz.* W duchu dekadenckim, o myśl jasną nie dbając, a goniąc za niezwykłemi połączeniami wyrazów, śpiewali dwaj bracia *Brzozowscy Wincenty* i *Stanisław, Stanisław Wyrzykowski* (ur 1875), *Włodzimierz Perzyński.* Poetą żądzy zmysłowej jest otwarcie *Bogusław Adamowicz.*

W powieści i nowelli, oprócz autorów i autorek, którzy już w poprzedniej dobie rozpoczęli swą działalność, stany duszy ludzkiej głównie malując, zjawiło się teraz sporo kobiet i mężczyzn, prowadzących z coraz to większą drobiazgowością analizę psychiczną i sięgających do „wnętrza trzew,“ ażeby niemi zatargać. Z pomiędzy nich wielką głębią duchową; subtelnem odczuciem bólu i stylem oryginalnym wygórował *Stefan Żeromski* (ur. 1864); spokojnym napozór rozbiorem targań wewnętrznych, z utajoną w głębi czułością, odznaczył się *Ignacy Dąbrowski* (ur. 1869), subtelną ironią i wyrażeniem pełnem wdzięku zwrócił na siebie uwagę *Józef Weyssenhoff* (ur. 1860). Inni próbujący sił swoich w odtwarzaniu stanów duszy mniej byli szczęśliwi, w każdym razie liczą się do wydatniejszych: *Helena Ceysinger* (ur. 1868), *Zofia Jankowska, Marya Zabojecka, Marya Turzyma, Jan Rutkowski, Antoni Potocki, Władysław Orkan, Jan Sten* (ur. 1871), *Tadeusz Miciński* (ur. 1873), *Augustynowicz Jan* (ur. 1876). Wszakże nawet wśród tego młodego, przeczulonego pokolenia, nie zanikły bynajniej talenta realistyczne, całą siłą trzymające się ziemi, lubo oczywiście nie tylko w jej objawach zewnętrznych, lecz także i duchowych. Przedstawicielami tej najnowszej fazy realizmu artystycznego są: *Artur Gruszecki* (ur. 1853), *Alfred Konar, Wilhelm Feldman* (ur. 1868), *Wacław Karczewski (Maryan Jasieńczyk), Aleksander Mańkowski,*

Ludwika Godlewska (*Exterus*, ur. 1863), *Zygmunt Niedźwiecki* (utalentowany naśladowca Maupassanta), a przedewszystkiem *Wacław Sieroszewski* (*Sirko*, ur. 1860), odczuwający i malujący oryginalnie krajobrazy i zjawiska przyrody, oraz *Władysław Reymont* (ur. 1868), odznaczający się żywiołową niemal potęgą w malowaniu ludzi i rzeczy, lubo nie panujący nad większą kompozycyą.

W dramacie nowe psychologiczne prądy najtrudniej dały się ukształtować w sposób piękny a zrozumiały. Łatwiej bo w wyobraźni wystawić sobie czy to subtelne wzruszenia i nastroje, czy to najdziwniejsze fantasmagorye, aniżeli patrzeć na nie jako wcielone w żywe ludzkie postaci na scenie. Dramat domaga się akcyi koniecznie; potrzeba więc rzeczywiście niepospolitego talentu, ażeby drobiazgową analizę lub też widzenia senne upostaciować plastycznie, a nie uczynić ich zbyt mało lotnemi. Potrafił to genialnie zrobić jeden podobno tylko Niemiec Gerhart Hauptmann w „Hanusi,“ która też ogromnego doznała powodzenia i wywołała naśladownictwa. Prócz niego na młodych autorów dramatycznych u nas oddziałał Maeterlinck, Ibsen i Artur Schnitzler. Dotychczasowe próby nie wychodzą z zakresu błądzenia trochę po omacku. Najobfitszym i najwytrwalszym z przedstawicieli nowego zwrotu jest utalentowany malarz *Stanisław Wyspiański* (ur. 1869), którego sztuki wydają mi się silnie i szczerze odczutemi; posiadają one pomysły wyborne, o ile dotyczą samej fantazyi, lecz ujęcie ich w słowa dotychczas było ułomne; każdy jednak utwór dalszy wykazywał postęp w tym względzie; a ostatni z ogłoszonych, z życia ludu wzięty, p. t. „Klątwa“ ma miejsca znakomite. Obok Wyspiańskiego są pisarze, których sztuki znajdowały na scenie większe oklaski (Zaczarowane koło“ L. Rydla), ale w pomysłowości ustąpić muszą jego dziełom. *Maciej Szukiewicz*, *Jan August Kisielewski*, *Tadeusz Konczyński*, *Zofia Wojcicka*: oto na-

zwiska dramatyków, znajdujące odgłos wśród najmłodszych.

XXIV.

Organem, skupiającym siły pracujące w „nowym“, modernistycznym duchu było czasopismo „Życie“, wydawane od sierpnia 1897 do lutego 1900 r. w Krakowie. Założycielem jego był *Ludwik Szczepański*, wspomniany już poprzednio. Za jego redakcyi cele społeczne, jakkolwiek w dziedzinie „sztuki czystej“ usuwane na plan dalszy, nie były przecież pomijane. Ale już wtedy pojawiały się tam głosy, że logika i zasady są to rzeczy błahe, o które się artysta troszczyć nie potrzebuje, że dusza z natury swojej jest posępna, gdyż nic jej zadowolić nie może, że zmysłowość mistyczna jest najwyższą poezyą i t. p. Myśli tego rodzaju zapanowały w tem piśmie wyłącznie, gdy redakcyą objął *Stanisław Przybyszewski* (ur. 1868), głoszący, że sztuka jest tworem „jedynego dla jedynego“. Dał on się poznać najprzód w literaturze niemieckiej utworami pełnemi śmiałych paradoksów (wszyscy, co dokonali rzeczy wielkich, byli „synami szatana“, tylko złe jest głębokiem i t. d.) i scen, drażniących popędy płciowe. Miał on jedną niewątpliwą zaletę: dalekim był od opiewania ćwierć-uczuć i ósemek nastrojów, drwił z cacek stylowych, a posiadał styl własny, przeciążony ozdobami, chorujący na przekrwienie, lecz silny, nadzwyczaj giętki i muzykalny. Gdy zaczął pisać po polsku, zalety te po części znikły z powodu, że autor popełniał liczne błędy językowe, a w doborze epitetów i porównań, oraz w budowie okresów gmatwał się często. Niektóre wszakże pisma, wolne od tych usterek, pociągały wielkim czarem stylu. Umie on malować najlepiej okropne wizye, męczarnie targanej niepoko-

jem duszy. Dawną frazeologiczną przeciwstawność: rozkosz cierpienia i cierpienie rozkoszy potrafił on podnieść do znaczenia niewysłowionej tragedyi, śmiertelnej walki między popędem płciowym a świadomością o jego obrzydliwym brudzie. W pojęciach jest mocno zależny od zagranicy; a jego własna teorya o wrogim stosunku mózgu do duszy, o poecie jako o „magu-kosmopolicie“ może być tylko ceniona jako zręczny paradoks. Krańcowy jego indywidualizm objawił się w pogardzie nietylko dla tłumu (dla „trzody“, dla „mydlarzy“), nietylko dla wszelkiej praktycznej „mądrości“, ale w zupełnem wykluczeniu wszelkich celów społecznych z zakresu sztuki, w lekceważeniu etyki, w podporządkowaniu wszystkiego idei szczęścia osobistego, w uwielbieniu zmysłowości, okrytej zasłoną wizyj mistycznych i ciągłych wspomnień o strasznych przepaściach „nagiej duszy“, tej duszy, co to wygląda, jak „zaciśnięta pięść, która ku niebu się wyciąga i bramy jego roztrzaskuje“. Za jego redakcyi „Życie“ stało się przeważnie zbiorem utworów tłómaczonych z literatury, której słusznie się należy nazwa dekadenckiej, w jakimkolwiek języku się przejawia.

Od nowego roku 1900 w Warszawie zaczął wychodzić organ „nowej sztuce“ poświęcony p. t. „Strumień“, ale trwał krótko i zapisał się w pamięci głównie błyskotliwą frazeologią *Stanisława Pieńkowskiego*. Obecnie ma wychodzić organ „sztuki czystej“ p. t. „Chimera“ a pod redakcyą *Zenona Przesmyckiego*. „Krytyka“ i „Młodość“ wychodzące w Krakowie, a „Teka“ we Lwowie, częściowo hołdują modernizmowi.

XXV.

I w krytyce literacko-artystycznej prąd indywidualistyczny wybujał w tej dobie. Najoględniejszym jest tu *Ignacy Matuszewski* (ur. 1858), najbardziej krańcowym *Stanisław Lack*. Pośrednie między nimi stanowisko zachowują: *Napoleon Hirszband (Cezary Jellenta*, ur. 1861). *Władysław Jabłonowski* (ur. 1867), *Władysław Rabski* (ur. 1865). Cele moralno-religijne wysoko w swych krytykach podnosi *Maryan Zdziechowski*, łącząc z ich uwydatnieniem szczery dla poezyi entuzyazm. Oczywiście nie brak i teraz zwolenników możliwej *przedmiotowości* w ocenie dzieł sztuki. Przeciwko wybujałym roszczeniom indywidualizmu wystąpił teraz dobitnie *Antoni Sygietyński*. Jak wszędzie, tak i w tej gałęzi literatury widzimy obecnie silną mieszaninę najróżnorodniejszych poglądów i kierunków.

* * *

Wracamy do początku. I najświeższe objawy w twórczości naszej stwierdzają prawdę słów Kromera, że umysły Polaków okazują dzielność we wszystkiem, do czego tylko się zwrócą; lecz wolą raczej poznawać cudze wynalazki, niż sami coś nowego obmyślać i doskonałość w jakiejkolwiek rzeczy osiągnąć. Mieliśmy genialne jednostki, co potrafiły przemódz w sobie ten popęd do uznawania cudzych tylko wynalazków, i umiały obmyślić rzeczy oryginalne i prawdziwie swojskie. One to stworzyły wielkość naszej mianowicie poezyi romantycznej, którą możemy śmiało stawiać obok najznakomitszych w Europie, o ile się to strony artystycznej i uczucia dotyczy; głębią bowiem myśli im nie dorównała. Ogół atoli twórców, choć głośno zapewniał o umiłowaniu narodowości i samodzielności, chętniej przecie wstępował w ślady obce i przyswajał sobie to, co za

granicą obmyślano i przerobiono. Ciągłość udoskonalenia doznawała u nas przerw niejednokrotnie; a brak skłonności do poważnego i głębokiego zastanowienia („myśl nie trwa ni godziny") oraz zamiłowanie naśladownictwa („pawiem narodów byłaś i papugą") sprawiały, że wytworzone już pewne zasady i sposoby, ulegały zmianie, nie dlatego bynajmniej, jakoby się zestarzały i przeżyły, ale dlatego najczęściej, że za granicą powiał prąd inny, chociażby dla nas nie miał doniosłego znaczenia. Indywidualizm nasz narodowy, nie rwący przecież nici społecznych, w ostatnich czasach pod wpływem kierunków cudzoziemskich, rozbujał się zanadto i zaczął wydrwiwać „obywatelskość", rozumiejąc przez nią może z niemiecka bezmyślne mieszczuchostwo.

Mając silną wiarę w żywotność narodu, nie przerażam się tymi objawami, choć uznaję potrzebę ich karcenia, i sądzę, że one, gdy się oczyszczą z naleciałości obcych, będą silną podporą w wyrobieniu prawdziwej samodzielności. Życie społeczne jest nietylko bojowaniem, jak je nazwała księga Hioba, lecz także szeregiem usług i ustępstw wzajemnych. Gdyby można było pomyśleć sobie istnienie ludzi pojedyńczych, w żadne nie wiążacych się grupy, od rodziny poczynając,—wówczas tylko mogłaby być mowa o zachowaniu całkowitej i niczem nieskrępowanej indywidualności. Ale że o takim stanie nawet w fantazyi zamarzyć niepodobna, bez popadnięcia w grubą niedorzeczność; więc indywidualizm czysty tylko w dziedzinie jednostkowego myślenia i czucia może być konsekwentnie przeprowadzony; w zetknięciu zaś z życiem zbiorowem, a więc i w działalności poetyckiej musi koniecznie prawa tego życia uwzględnić, nawet z niem walcząc w zamiarze przeprowadzenia zmian, jakie za pożądane uznaje. Tak zwane zaś usuwanie się od tego życia do zakątka sztuki czystej, jest albo wynikiem pasożytniczego samolubstwa, albo też poczytywaniem cienia za istotę żywą.

Nabytki cywilizacyjne uspołecznienia przyszły z trudem, wymagałv mnóstwa wysiłków, drogo bywały okupywane; idzie więc o to, ażeby te nabytki nie zmarniały wskutek samolubnych dążeń, mających na widoku tylko szczęście jednostki; budzenie i podsycanie uczuć społecznych leży w interesie gromad ludzkich. Nie znaczy to bynajmniej jakiegoś zamachu na prawa indywiduów. Wielkiego znaczenia egoizmu w rozwoju ludzkości nikt zapierać nie myśli. Atoli egoizm ani obrony, ani podsycania nie potrzebuje; sam bowiem umie się bronić doskonale, a podsyca go ustawicznie pragnienie utrzymania bytu wbrew krańcowemu pessymizmowi. Przeciwnie, altruizm, choć ma także swe źródło w sercu ludzkiem, inaczej bowiem niepodobna-by go było obudzić—wymaga podniecenia, gdyż widok dobra, którego on jest sprawcą, nie tak łatwo daje się ocenić oku popospolitemu, przywykłemu do rozpatrywania wszystkich rzeczy ze stanowiska wyłącznie jednostkowego. Potrzeba ten widok przybliżać, znaczenie jego i ważność wykazywać i rozjaśniać, ażeby pewną przynajmniej część uspołecznionego ogółu ku niemu pociągnąć. Hasło: „sztuka dla sztuki", „sztuka czysta" jest słuszne, jeżeli ma na widoku umiłowanie piękna dla niego samego, ale musi być nazwane niedorzecznem, jeśli z zakresu piękna wyklucza to wszystko, co jest dla społeczeństwa najdroższem. Zdaje się, że tradycya literatury naszej na „pożytku powszechnym" gruntującej się, odniesie i teraz zwycięstwo; tylko samo pojęcie tego „pożytku" oczyści się, pogłębi, rozszerzy, wysubtelnieje.

K O N I E C.

Skorowidz nazwisk autorów, tłómaczów i wydawców.

SPROSTOWANIE

główniejszych błędów tomu V.

Str.	wiersz	zamiast:	czytaj
27	ostatni	odpowiednie	odpowiednio
34	16	póra	pióra
58	32	młodym	młodymi
64	32	blegają	biegają
65	9	młodych	młodo
70	36	i na pieśni serbskie ogłoszone	i pieśniami serbskiemi, ogłoszonemi
81	26	te objawy	objawy
95	16	uczynił	uczyniły
112	9	jego	tego
118	9	1865	1867
144	32	oskarżających	oskarżając ich
152	23	P. Izabella Zbiegniewska w liście z 6 czerwca 1900 r. zapewnia mię, że wieść o opuszczeniu Karola Balińskiego przez narzeczoną (Helenę Młocką) była fałszywa, lecz że B, dowiedział się o tem dopiero na krótko przed zgonem.	
		zamiast:	czytaj:
168	10	„Cierpienie“	„Capriccio“
187	24	wrażenie	wrażenia
194	21,22	„Linkmine“	„Linksmine“
„	24	Jacewicza	Jucewicza
200	38	na nic	na nie
206	32	W tym	Wtem
207	7	1807	1805
211	5	polegał	polegał tu
214	4	zawody	wady
216	11	przypomnienia	przypomnienie
219	28	dla ludzi	dla ludu
221	21	iść ani	ani iść
224	10,11	zwanych	związanych
245	22	w ten zdobyty	zdobyty w ten
246	30	konwencyonalną	konwencyonalna
262	18	literackiej	literackich
270	26	gromadni	gromadki

W *Sprostowaniu błędów* należy rok wyjścia drugiego tomu dzieła Cieszkowskiego: „Ojcze-nasz“ poprawić na: 1900.

SPROSTOWANIE

główniejszych błędów tomu VI.

Str.	wiersz	zamiast:	czytaj:
17	2	te *zdanie*	te zdani*a*
20	38	*Aleksander* Bronikowski	*Antoni* Br.
24	12	Jakóba *Jurkowskiego*	Jakóba *Jurkiewicza*
27	26	*Piotr* Stalmach	*Paweł* Stalmach
35	18	*ta*	*tu*
51	6	(1864)	(1854)
54	1	Lepsz*ym*	Lepsz*ą*
55	36	*to*	*ta*
64	27	„Habdank“	„Habdank“, a szczególniej „Bitwa“..., arcydzieło liryczno-epiczne Lenartowicza....
		zamiast.	czytaj:
73	28	*go* dopiero	„Wandę“ dopiero
84	4	„Hersyli“	„Hersylia“
133	33	wy*t*warzana	wy*d*warzaną
172	32	*o*głoszonem*i*	głoszonemi

UKŁAD DZIEŁA.

